STEFAN ŻEROMSKI

WIERNA RZEKA

KAROL PIĄTKIEWICZ

STEFAN ŻEROMSKI

WIERNA RZEKA

K L E C H D A

DAR RADY POLONII AMERYKAŃSKIEJ
POLISH WAR RELIEF OF U. S. A.

NAKŁADEM RADY POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Drukiem Alliance Press
1130 No. Ashland Ave.
Chicago, Ill.—1944

508

I.

Ocknęło się znów zimno targające wnętrzności— i cierpienie, co raz wraz, jak toporem rozrąbywało głowę. W prawem biodrze ból szarpał się nieustannie, niby hak wędy żelaznej, wyrywany nazewnątrz. Co chwila ogień niepojęty, nieznany zdrowemu ciału, latał po plecach, a ciemność pełna wielobarwnych iskier oślepiała oczy. Ranny zawinął się i zatulił w półkożuszek, który jeszcze za dnia zdarł był z sołdata ubitego w zaroślach na brzegu rzeki. Nagie nogi i skrwawione biodra wpychał głębiej w stos trupów, szukając tych dwu ciał, które ciepłem broczących ran rozgrzewały go w ciągu nocy, a wyciem i jękiem budziły ze snu śmierci do łaski życia. Lecz tamci dwaj ucichli, ostygli i stali się równie ohydni, jak zagon skrwawionem okryty ścierniem. Ręce i nogi, poszukujące ciepła jeszcze żyjących, trafiały wciąż na obmokłe i śliskie zwłoki.

Podźwignął głowę.

Zobaczył zmysłem wzroku dokonanie, które był przeżył, spostrzegł to dzieło nowe, które w duchu przecierpiał. Leżeli w kilkuset, tworząc w zmierzchu rannym białą górę—podobijani, gdy padli z ran na rozkaz wodza nieprzyjaciół, rodaka i niedawnego spiskowca, obdarci przez wojsko ze szmat do ostatniego gałgana,—roztrzęsieni na bagnetach,—po dziesięć razy do ziemi przybici sztychem oficerskiej szpady, pchniętej nawskróś,— z głowami rozwalonemi kulą z lufy przystawionej do

czoła,—porozgniatani przez pędzące koła armat Czengierego.

Zrudział daleko przypiaskowy grunt ode krwi, co do ostatniej kropli z tych zwłok wyciekła. Zmiękły grudy twardej oraniny. Roztajał śnieg. Wleczeni w to miejsce ze wszech stron za nogi zamietli do czysta włosami szeroką niwę. Ugrabili ją kostniejącemi palcami. Naszeptali w zagony ostatnich słów i pokąsali je w ostatnim szlochu.

Oniemiało i zacichło małogoskie pole. Ostatni żywy żołnierz patrzał w nie przez mgłę półśmierci przy brzasku cichego poranka.

Zdało mu się,—dopiero co stały w tem miejscu konie. Jeszcze dudni ziemia, gdy ze śmiertelnym krzykiem pędzą we trzystu towarzysza na zdrajcę. Gdzież źrebiec. Gdzie pałasz. Gdzie pod stopą żelazne strzemię, ostatni towarzysz.

Nie słychać już łoskotu granatów Dobrowolskiego, zasypujących dolinę. Znikły flankiery kozactwa i dragonów, co przez cztery z górą godziny miotały tyralierski ogień. Skąd wybuchały kępy i kłęby dymów a błyskał ogień, wzgórze strome od południa szarzeje w ciszy.

W zachodniej stronie biała smuga cmentarnego muru, gniazdo Jeziorańszczyków, jazdy, armatek. A tam pośrodku, gdzie stała piechota,—niema nic! Z dubeltówkami, bijącemi na sto kroków,—u nogi—stali pod ogniem rotowym nieprzyjaciela, co w nich celował, jak do tarczy, z karabinów, niosących na tysiąc pięćset metrów. Czekali cierpliwie z wytrwałością greków,—przyjdź i weź!—aż wróg się zbliży na strzał, aż padnie rozkaz—do ataku. Leżeli teraz zwaleni na jeden stos. W odległości kłębiły się i wałęsały nad niziną dymy

miasteczka, do przyciesi spalonego przez wojsko. Raz wraz szeroki płomień, jak skinienie chorągwi nieubłagania podrywał się ze zgliszcz, popielisk i dymów,—migotliwym blaskiem naigrawał w mrokach śmierci i postrzępionym językiem mówił ku czarnemu niebu. Wtedy rozdzierający krzyk ludzki, spomiędzy czarnych piecowisk wybuchający, dosięgał uszu rannego—obojętny już dla serca i niezdolny podźwignąć ramienia. Podobnie, jak nad zgliszczami ogień, zrywały się w człowieku czucia, lecz jak on w czarnym dymie ślepych cierpień gasły.

Puścił się drobny deszcz ze śniegiem. Zawiała z lasu nad Łośną mokra mgła. Przeciągnęły tumany po nagich i stromych wzgórzach, wlokły się po nadrzeczu i przez pole. Zwilżyły twarz, jakoby mokra chusta. W tej mgle rannej dawał się widzieć włochaty od świerków, ciemny las. Z jednolitego zastępu drzew ciągnął na nagie pole jakgdyby ciepły podmuch,—łaskawy poszum gałęzi. Chwiały się powolnym ruchem długie, powyciągane spławy, nisko rozpostarte, obmokłe wiechy, wołając głuchym głosem, żeby tamtędy uciekać.

Ludzi żywych nie było. Nikogo,—nigdzie. W pobliżu leżał zabity człowiek, który miał na nogach brudne zgrzebne spodnie. Przekręciwszy się przez zagon, ranny począł zdzierać zeń tę odzież i co tchu wciągnął ją na swe nagie, dygocące nogi. Szukał oczyma na trupach butów, lecz ani jeden ich nie miał. Wszystkie zzuto i zrabowano. Nagle we wschodniej stronie, od Bolmina, rozległ się łoskot armatniego strzału. Po nim drugi, trzeci. Ten dźwięk obudził życie. Coś w całem jestestwie drgnęło i ruszyło siły. Bitwa! Do broni! Do szeregu! Począł w tamtą stronę czołgać się na czworakach, brózdą, co tchu! Lecz już po kilku-

nastu poruszeniach zapadł nanowo, głową między skiby. Prawa noga wlokła się bezwładnie. W biodrze rwał ból. Zmacawszy to miejsce, inwalida trafił dużym palcem ręki na głęboką opuchniętą dziurę, z której skąpo, lecz wciąż krew się sączyła. Na lewe oko nie widział. Wyczuwał palcami w miejscu brwi, powieki, gałki ocznej i policzkowej kości wypukłą bulwę, w której ogień wciąż drgał, sypiąc wielobarwne iskry. Nie było już oka, lecz dziwne i rozśmieszające zjawisko wielkiej narośli. Głowa, zrąbana szablami w bitwie, wysączyła we włosy dużo krwi, która zastygła w zlepienia, w sople i utworzyła na czaszce istną czerwoną czapkę. W piersiach, między żebrami, w ramionach narywały rany od wielokrotnych pchnięć bagneta. Ale mocniejsze, niż wszelki ból, było zimno. Żelazną garścią chwytało za skrwawione włosy, zapuszczało w kości i między żebra szpony, potrząsając zrąbane pół-zwłoki dreszczem bez pardonu. Ono to gnało naprzód. Powlókł się znowu na bałyku. Raz na dwu rękach i lewem kolanie, drugi raz na stopie i dłoniach, gdy bezwładnie ciągnęła się prawa noga,—czyniąc z całej figury obraz wielkiej śmieszności istotnego nieszczęścia. Tak dowlókł się do pierwszych drzew lasu. Chwiały się w zimowym deszczu i we mgle świerkowe gałęzie. Spadał z nich na ziemię niemowny szum. Ani w nim nie było żałości, ani współczucia, ani miłosierdzia, ani pogardy. Długo spływał ten zimny szum na serce półumarłe.

Samotnik dźwignął się na rękach i, objąwszy pień pierwszego w lesie drzewa, stanął na nogach. Nasłuchiwał odgłosów bitwy. Nic nie przerywało ciszy. Patrzał na pobojowisko. Nie żałował ani tych, co w czarnem polu leżeli, ani siebie, ani dzieła. Jedyne czucie osiadło w jego piersiach, jedyna myśl pod skrwa-

wionemi włosami: bić się. Patrzał był, jak żołnierze mordowali rannych żołnierzy, jak półżywych odzierali ze szmat. Nie było czem zagasić życia, które się zmieniło w hańbę i śmieszność. Pożałował legowiska między trupami. Począł się prosić o śmierć. Padł na ręce i twarz. Duszę ogarnął mrok.

Długo trwało bezczucie, bo gdy się obudził, słońce było wysoko. Z pola dochodził gwar. Uniósłszy głowy, zobaczył ludzi. Ciągnęli zwłoki kędyś popod górę. Ktoś ludziom tym wydawał rozkazy. Ranny poczuł w sobie przeraźliwą trwogę, że go żywcem zakopią. Począł uciekać. Czołgał się zaroślami świerczyny, wskróś śniegów napoły roztajałych, po oślizgłych igłach sosnowych. Zdrętwiałe nogi rozgrzewały się od tego ruchu, od pełzania na kolanie i rękach. Śniło się w rozbitej głowie, że las zbiega, zakrywa zielonemi wełniakami, że przed złemi oczyma zasłania włochatym rańtuchem,—że ktoś niewidzialny a przecie oczywisty chyżo-chyżo pokazuje drżącą ręką tajne dróżki między pniakami, wydeptane przez kwiczoły, szlaki przetarte stopkami i ogonami lisów. Kędyś, daleko w lesie na tej swojej zawiłej drodze, w głuchym ostępie napotkał krzywy kostur, uschniętą jedli gałąź, spadłą na ziemię z wysokości drzewa. W grubszym swym końcu zeschnięty ów spław miał sęk, który się wraz nadał, jako oparcie pod ramię. Długość jego była akuratnie na kulę. Wsparłszy się na tym kiju, zbieg zadumał się przez krótkie mgnienie czasu, kto też podrzucił przed bezwładną nogą ten kostur na dzikiej drodze. Wszechmogący Bóg, czyli sam bezżałosny los? I roześmiał się z litości ich, mówiąc z głębi swej duszy, która niczego już nie chciała, ani od Boga, ani od losu, wszystko przeżywszy w powstańczych pochodach i bit-

wach,—że tą litością ich pogardza i, że ten jej dowód może odrzucić precz! Ale wspomniał na braci pobitych, na popieliska Małogoszcza—i przycisnął do boku tę ostatnią broń. Przez całe jestestwo przeleciał jakgdyby zemściwy krzyk orła, a w serce wstąpiła zaciekła moc. Poczuł w sobie dziką, oszałałą, starą, od męki do cna okrutną duszę Czachowskiego. Poszedł teraz naprzód wsparty na swej kuli, wielkimi kroki, jak na szczudłach. Zdawało mu się, że zdąża w stronę Bolmina, na pomoc braciom. Od ruchów cielesnych bóle w biodrze, plecach i głowie stawały się nie do zniesienia, jak ciosy ognistego pręta. W kościach i żyłach zapalał się istny pożar, ogarniał głowę i dymem ciemnym zawlekał oczy. Bosa stopa w pochodzie swym raz wraz trafiała na sęki, korzenie, patyki, kolki i igły leśne, ukryte w śniegu. Przebita do głębi krwawiła. Częstokroć zmordowane ciało waliło się w śnieg kędyś w zagaju podszewki leśnej, albo na mchu do głębi przemokłym. Objęty nagłem zimnem człowiek zrywał się nanowo i brnął w zmurszałym śniegu, w kępach zlodowaciałych borówek, — brodził w długich, nieskończonych smugach leśnej niecieczy, znieruchomiałej po nizinach. Jak okiem sięgnąć, jak uchem zachwycić, las był pusty. Tam i sam leśny ptaszek zaćwierkał, spłoszony szelestem kroków człowieczych—i daleko uciekał. Nieme w około drzewa i nieme nad nimi niebo. Ziemia porośnięta przeklętą roślinnością, dręcząca poranione nogi. Krew sączyła się z ran. Ślady jej zostawały na śniegu, na gałęziach świerkowych, na badylach i mchu.

W oczach upadającego co chwila las ów, dobrotliwy niedawno, wydłużał się, rozszerzał, otwierał coraz dalej, —ukazywał swe chodniki przedziwne i zapadnie bez

wyjścia, głębie głuche i kręgi, zachylenia półkoliste i międzydrzewne korytarze bez końca. Mijały godziny, a nie przerzedzał się i nie kończył ów las olbrzymi. Tu i owdzie dźwigał się piasczysty wzgórek, stromy i uciążliwy do przebycia, jak tatrzańska przełęcz. Leśna droga rozcięła obszary drzewne na dwie części i sama między nimi znikła. Wspierając się na swej kuli, zbieg dotarł do jednego z wydmuchów. Położył się na nim i tam postanowił spać na zawsze. Życie, czy śmierć stały się równe i takiesame. Tylko już nie trząść się z zimna, nie cierpieć dziwacznych katuszy i nie myśleć! Zapomniał, w którą stronę brnąć dalej. Zmylił drogę.

Usnął odrazu. Ale był to sen potworny, pełen widm i wrzawy. Las okalający zdawał się drgać i stękać. Wszystko w nim kipiało od ciosów szalonego serca. W głębi ziemi, na której strudzone ciało spoczęło, huczy,—śniło się,—grzmot podziemny i połyskują pioruny. Jęk boleści wyrywał się z głębiny i, jak miecz, na dwoje rozcinał niebo.

Dreszcz gwałtowny dźwignął rozbitka znowu i pognał dalej. Nanowo zaczęło się czołganie z bezwładną nogą z prawej, sękatym kijem z lewej strony. Sunął na łokciach i kolanie, trzymając pod pachą znalezioną kulę. Staplane w błocie i wodzie poły kożucha odrażającem zimnem przejmowały brzuch i piersi, a sucha jego na grzbiecie część potem krwawe rany zalewała. Stopy poprzebijane kolkami rozpuchły i zakrwawiały każdy moczar, każdą kałużę. Było po południu, bo słońce zachylało się za korony drzew. Ostrzejszy chłód dołem lasu pociągał. Ranny szukał dogodnego miejsca, żeby się zaszyć w leśne gęstwiny i doznać ochrony od zimna. Lecz teren wciąż był zwilgły, zarośnięty ze-

schłym szuwarem. Brał się więc w bok; to w jednę, to w drugą stronę i zabrnął w szarpiące chrósty, w dzikie jeżyny przysypane śniegiem, w wikle i rokiciny, pełne nastawionych kolców, jak pazury czyhającego szatana. Ponachylane badyle leśnych malin i dzikie głogi szarpały twarz i raniły ręce. Przebijał się przez te ostępy, przeklinając swą dolę. Wybrnąwszy zaś z tych zarośli, podniósł oczy i głębokiem zdumieniem, nagle i niespodziewanie ujrzał pole,—pustą przestrzeń,—nizinę łąki. Wydało się, że to Bóg odsunął wreszcie ręką dzikie głogi i dał spojrzeć w bezdrzewne pustkowie. W dali ciągnęły się ośnieżone wzgórza,—pod ostatniem z nich widać było szereg chat wsi. Dymy nad nimi błękitne na niebie zaróżowionem. W pewnej odległości od tej wsi budynki szerokie o murowanych słupach, dwór z czarnym dachem rozsiadły wśród drzew. Widok ten tak był nieprawdopodobny dla powstańca po nieskończoności jednolitych drzew, że zdawał się być fenomenem snu, złudzeniem, naigrawaniem złego. Domostwa. Ludzie. Dym nad radosnym ogniem.

Nieszczęśliwy obalił się na ziemię. Leżąc, patrzał bezsilnie na białe obłoki, płynące w wysokiem niebieskiem przestworzu,—na pochyłą ziemię,—na ludzkie osiedla. Ostatnie tak samo były dalekie jak pierwsze. Nic na ziemi i niebie nie chciało tej ofiary z ran i z przelanej krwi. Wszystko jej było wrogie. Ta ziemia, na którą upadła głowa, była głucha. Ślepy i niemy był przestwór. Zimny wiatr nadciągał zdala. Tylko ten daleki dym. Błękitny, prześlicznym zwojem płynący coraz wyżej, powoływał, jak niepojęte a przecie przyjazne skinienie.

Ranny wypoczął,—wstał i, wsparty na kosturze, pociągnął w kierunku wsi. Miejsce teraz było równe,

bez chróstów i kolek. Śnieg za dnia odtajały, pokrywając się cienkiem szkliwem od wieczornego przymrozka, ułatwiał drogę. Nogi sunęły po nim snadniej i bez bólu. To na czworakach, to na kuli chory przemierzył całą prawie szerokość równiny. Słyszał już dolatujące ze wsi szczekanie psów, ryk bydła i głosy ludzi. Lecz między nim i krańcem tego błonia ukazała się nieoczekiwana przeszkoda:—rzeka. Ukryta w wysokich, obłych brzegach, wysłanych rudą murawą,—zataczając się niezliczonemi półkolami, które tworzyły długi szereg półwyspów, rzeka biegła bystrym, czarnym nurtem. Z jednej i drugiej strony, u brzegów była obmarznięta, lecz nigdzie błona lodowa nie okryła całkowitej wodnej powierzchni. Powstaniec czołgał się wzdłuż brzegu, szukając ławy, lub kładki, po której mógłby się na drugi brzeg przedostać. Nigdzie czegoś podobnego nie znalazł. Był zaś tak z sił wyczerpany, że iść dalej, wzdłuż zakrętów, wijących się jakby naprzekór, jakby dla wydłużenia w nieskończoność tego marszu, nie było sposobu. Jak przedtem las, tak obecnie rzeka tworzyła nieprzebytą zaporę. Linia jej brzegu, która z drogi czyniła gzygzak, wijącą się wstęgę, była dla strudzonego nową formą natrząsania się losu. Poranione nogi okrążały półwyspy, wracając,—zdawało się,—w tosamo miejsce. Naśmiewający się diabeł rzucił oto przed te nogi rzekę i puścił je w taniec, w pląs na prawo i na lewo, bez końca i bez celu.

W pewnem tedy miejscu, gdzie woda rozlewała się nieco szerzej, brzeg był łagodniejszy, a głębia płytsza,—ów polski tancerz przerwał swój pląs, zsunął się do wody i począł wbród ją przebywać. A skoro tylko zanurzył się, doznał ulgi szczególnej. Zaczerwieniła się w około niego czarna rzeczna woda. Zabulgotał, jak-

gdyby z głębi jęknął, wart jej środkowy. Tkliwem po tysiąckroć chlustaniem, pracowitem myciem woda oczyściła każdą ranę, a, jak matka ustami, wycałowała z niej srogość cierpienia. Wchłonęła w siebie ta rzeka prastara i wiecznie nowa szczodrą powstańca krew, zliczyła jej krople, skrzętnie w siebie zabrała, pojęła w głębiny, rozpuściła w sobie, wessała i dokądś poniosła—poniosła. Zbieg opłukał w zimnej wodzie rozpuchnięte nogi i, drżąc ze straszliwego zimna, wydostał się na brzeg. Zgrzebne spodnie przylgnęły do nóg i nieznośnie ziębiły, lecz je na sobie dla wstydu zachował, idąc o kiju, w górę, ku wsi. Łąki się tam kończyły i poczynały pola, od nizin odgrodzone. Środkiem ornych niwek ciągnął się wygon w opłotkach. Ten szlak szeroki, pochyły, zdeptany od kopyt bydlęcych i zryty w rozmaitych kierunkach ścieżkami głębokiemi, pełen był podmarzłego błota. Ranny lazł ostatkiem sił, trzymając się żerdzi i wspierając na kiju. Na tej drodze mozolnej, która mu się wydawała być bez końca, spotkali go ludzie, idący z cebrami i wiadrami po wodę do rzeki. Byli to mężczyźni i kobiety, starzy i wyrostki.

Ujrzawszy go, przystanęli i ciekawie mu się przyglądali. Ktoś z tego tłumu huknął w kierunku wsi, ktoś inny pobiegł tam z pośpiechem. Młody powstaniec szedł dalej, ślizgając się bezsilnie po marznącem błocie.

Od strony wsi poczęli nadciągać chłopi, gospodarze w sukmanach i kożuchach. Jedni z nich zbliżali się statecznie, inni biegli, coś między sobą gadając. Na przedzie tej gromady, zstępującej z góry, szedł wieśniak z blachą żółtą na piersiach. Ten postępował śmiałym krokiem, a stanąwszy w pobliżu, mierzył oczyma krwawego przychodnia. Zapytał:

— Człowiek,—coś jest za jeden?

— Widzicie, że jestem ranny—odpowiedział zapytany.

— A każ cię to tak poranili?

— W bitwie.

— W bitwie? Toś ty powstaniec?

— Powstaniec.

— No bracie, skoro sam powiadasz, iżeś buntownik i, żeś w bitce był, to my cię w areszt zajmujemy.

— Dla czego?

— Do miasta cię musimy odstawić.

— Wy, mnie?

— Juści. Pójdź z nami. Ja tu sołtys.

Czerwony gość tej wsi milczał. To byli właśnie ci, dla których wolności z pańskiego domu poszedł był spać w polach, w zimie, na roli,—przymierać głodem,—jak pies słuchać rozkazu,—bić się bez broni,—i tak oto z placu boju wracać. Podchodzili do niego wszyscy wraz, półkolem.

Wtedy rzekł:

— Puśćcie mnie wolno, bo przecie ja za waszą swobodę i za wasze dobro się biłem i takie na sobie mam rany.

— E, takie gadki to my już słyszeli. Ty se ta gadaj, a tu jest przykaz. Chodź, bracie, z dobrawoli.

— Dokąd mam iść?

— Teraz pójdziesz z nami do wsi. A potem, to się dowiesz.

— Co myślicie ze mną zrobić?

— Na sianie cię położymy, to se ta spoczniesz. Sianem się wóz wyściele i do miasta cię odstawimy podwodą.

— I to wy, mnie?

— Nie nasze dzieło. Taki przykaz—i pokój.

Ranny milczał i spokojnie patrzał na nich wszystkich. Zimno go trzęsło. Uśmiechnął się smutnie do myśli, że z takim trudem przez las i rzekę brnął, ażeby wreszcie przyjść do celu.

Ktoś w tłumie odezwał się:

— Ij,—takiego ta wieźć! Sprzężaju szkoda. Toć toto do figury w Borku nie dojedzie i uświerknie.

— Widzieliście, moi ludzie, jaką to magierę czerwoną ma na łbie.

— Jakiemuś chłopu ukradł te czerwoną czapkę, panie?

— Bez rzekę przelazł. Woda mu z kożucha ciecze.

— Ludzie! Boso toto idzie.

— Kajeś buty zgubił, te "wolność"?

— Zdaleka to tak idziesz, panie wojskowy?

— Kożuch ma jakisi ze znaczkiem.

— Pewnie ukradł.

Sołtys nastawał, swarząc się ze swoimi, jakby u całej gromady szukał potwierdzenia urzędowych czynności:

— No, chłopcy, trza go wiązać!

— Takiego ta wiązać.

— Postronka szkoda!

— Ino się człowiek spaprze.

— Zamrze i bez postronka.

— E—puścić toto—ktoś mruknął zcicha.

— Bo i prawda,—niech ta lezie skąd przyszło.

— Aby do wsi nie szło, to wygonem—nie nasze dzieło.

— Kwardego, co się bije i ludziom we łbach mąci, wiadomo, odstawiaj. Ale takie ta ciaciastwo wiązać.

— Przecie krześcijan.

— A jušci!—wrzasnął sołtys—po śladach przyjdą, zobaczą, że my go w rękach mieli i wolno puścili. Ty

wtedy za mnie zaświadczysz, mądrala, ty będziesz nahaje brał?

— No, ja ta nie sołtys. Wiązać, to wiązać.

— Postronka by trza.

— Skocz ta który, postronek przynieść.

— A to niech skoczy który z brzega!

— Rusz się!

— U mnie postronka niema.

— Powrósłem związać.

— Bo i pewnie—brzozową witką i tyla.

Osaczony spostrzegł wyłom w zmurszałym płocie. Wszedł w otwór leniwym krokiem, opierając się na swoim kosturze, i począł przebywać zagon po zagonie w ukos pola ku dworskim zabudowaniom. Tam poszedł, bo przejście w tę prowadziło stronę. Tłum za nim postępował, bełkocąc, naradzając się i swarząc. Ktoś szedł z tyłu i nawoływał, żeby się wrócił, to znowu, żeby stanął. Lecz że nie stanął, a zabudowania folwarczne były w pobliżu, więc zbiegowisko chłopów, ciągnące za powstańcem, coraz mniej natarczywie nalegało. Śmiech tylko rozlegał się raz wraz pospólny, głośny na widok najzabawniejszych pokracznych ruchów zbiega. Ktoś z tłumu podjął z ziemi skibę zmarzniętej ziemi i cisnął. Trafił w plecy. Ktoś inny trafił w głowę i przychylił ją niżej jeszcze, ku zagonom. Wołano nań rozmaitemi przezwiskami, lecz zdala i coraz bardziej zdaleka.

Młodzieniec dowlókł się do tyłów dworskiej stodoły i oparł o murowany słup plecami. Widział po przez ognie gorączki, zawlekające mu oczy, chłopów, którzy stali zdaleka i grozili mu pięściami. Spoczywał. Wiatr tam nie dolatał. Miejsce to w zachyleniu ścian było ciche, suche i radosne. Nie było w sercu smutku, ani żalu, ani żadnego ziemskiego popiołu.

Tylko już pragnienie wiecznego snu.

Ażeby nie mieć w oczach chłopstwa, które się nie rozpraszało i wciąż jeszcze radziło na wygonie, posunął się wzdłuż ścian stodoły. Gdy się ściana pod prostym kątem załamała, brnął obok tego załamania. Wstąpił na gumno. Pusto tam było. Nigdzie ani żywej duszy. Otworem stały stajnie. Przychodzień zajrzał we drzwi, lecz nie znalazł koni. Śnieg, nawiany dawniej, klinem leżał we wnętrzu,—żłoby i drabinki nad nimi były puste. Po drugiej stronie okólnika folwarcznego czerniały zwaliska i zgliszcza spalonych obór, śpichlerza, czy stodół. Nawet drzewa w przyległym ogrodzie były zwęglone na poły i dalekie płoty osmalone. Znacznie niżej, poza temi zgliszczami widać było duży, staroświecki dwór.

Powstaniec przeszedł wpoprzek dziedzińca i znalazł się u wejścia do kuchni. Ponieważ drzwi były zamknięte i żadnego nigdzie nie widać ruchu, więc nieśmiało zakołatał we drzwi. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, po długiem wyczekiwaniu, ujął za wyślizganą, żelazną klamkę i spróbował, czy się nie da otworzyć. Drzwi ustąpiły. Wszedł do ciemnej sieni, gdzie było pełno gratów kuchennych, pustych fasek, naczyń i koszów. Na lewo czerniały drzwi, z poza których jakiś szmer dawał się słyszeć. Znowu tedy nacisnął prostacką klamkę, otwarł drzwi i stanął w progu. Owiało go ciepło ognia, płonącego pod blachą komina. Jakże głębokie na ten widok uczuł wzruszenie! Przed paleniskiem, twarzą do płomienia zwrócony stał wysoki, zgarbiony starzec, biały, jak gołąb, z gęstą nad wyraz czupryną,—i patrzał w duży żeleźniak, w którym perkotała się rozgotowana kasza. Duża kuchnia dworska była pusta. W głębi stało werko z brudnym barłogiem.

Przybyły zawołał, lecz stary człowiek nie obejrzał się. Zawołał powtóre,—i również napróżno. Wtedy, wyciągnąwszy kostur, zlekka potrącił go w plecy. Starzec drgnął i obrócił się gwałtownie. Był już bardzo wiekowy, niemal zgrzybiały, lecz rozrośnięty w barach, kościsty, prędkich ruchów i, widać, mocny. Twarz jego o kolorze żywej rdzawości zimowego jabłka była zbiegowiskiem nieprzeliczonych zmarszczek, które przecinały ją we wszelkich kierunkach, jak ślady cięć tasaka na kucharskiej desce, tworząc istne promieniska dokoła ust i oczu. Biała, jak śnieg, gęsta i zwarta czupryna nad tą twarzą zoraną, pełną potęgi i wiedzy o życiu, jaśniała w zmierzchu. Wielkie ręce były jak narzędzia zużyte i zdarte od pracy. Na widok przybysza twarz starego stała się sroga i okrutna. Wszystkie zmarszczki zbiegły się ku krzakom brwi i jamom oczu, otaczając je niby las igieł najeżonych.

— Wont!—zakrzyknął, tupiąc na miejscu wielkiemi butami. Kolana, wyłażące dziurami zgrzebnych portek, tłukły się w złości jedno o drugie. Między końcami rozchełstanego kołnierza kożuszyny widać było szyję sfałdowaną, jak u kondora. Jakieś wyrazy bulgotały w tych fałdach. Pięście były zaciśnięte. Dzikość zionęła z oczu. Gość nie odchodził. Chciwie patrzał na ogień. Wyjść z tego ciepła na srogi wiatr w szmatach mokrych, ziębiących nogi, brnąć znowu po grudzie na spuchniętych stopach. Zobaczyć znowu na drodze swej chłopską gromadę.

Uczuł w sercu szczęście wysokie, radosny spokój,—usłyszał jakoby pieśń śpiewaną dokoła głowy. Spostrzegł, że spłacił już wszelakie długi, odkupił winy nie tylko swoje, lecz jakieś cudze, i stało mu się dobrze w duszy, jak nigdy jeszcze w życiu. Poprosił gestem

nie błagalnym, lecz jakby skinieniem kupca, czyby nie można zagrzać się przy ogniu.

— Wont!—powtórzył okrutny dziadyga. Powtarzając raz za razem to słowo, wlepił przecież w twarz nieznajomego swe małe, czarne jak tarki, przenikliwe oczy.

— Dwór przez ciebie spalą, ty jucho czerwona! Abo to już stodół, obór nie popaliły, dyable zatracony? Wont mi zaraz!

Zbieg, nie mogąc sprawnie przekroczyć z powrotem progu, usiadł na nim w bezsilności swej. Ręce jego osunęły się na ziemię, kij z nich wypadł.

Stary kucharz zawściągnął na sobie kożuch i lewą garścią szukał czegoś za pazuchą. Mamrotał, wyszczerzając zęby, wśród których dwu na przedzie brakowało. Znagła zakrzątnął się. Chwycił wymytą miskę i, nabrawszy z żeleźniaka warzechą rozgotowanej jęczmiennej kaszy, wrzucił w naczynie i podał rannemu.

— Na, zeżeraj, i wont mi z miejsca, bo tu za tobą po śladach przyńdą. Dwór spalą, a mnie nahajami ubiją. Żywo, rusz się!

Powstaniec pokazał gestem, że nie ma łyżki. Starzec cisnął mu na kolana drewnianą, wygryzioną. Patrzał spodełba, jak poraniony drżącemi rękoma niesie do ust war kaszy, jak łyka go z pośpiechem i niewypowiedzaną rozkoszą,—parząc sobie wargi. Wkrótce miska była pusta, kasza niezrównanej dobroci i smakowitości wyjedzona do ostatniej drobinki. Ranny pokazał kucharzowi swe nogi,—jedną w biodrze rozdętą, czarnosiną, koloru żelaza,—drugą w stopie po stokroć przebitą, napuchniętą i krwawą. Dziad żuł wargami z odra-

zą, klął straszliwem słowem, pluł i mnożył zniewagi, lecz patrzał na rany.

Wciąż tak niechętnie mamrocząc, podreptał ku swemu posłaniu na pryczy, wlazł pod nią i ożogiem wyciągnął stamtąd dwa rude, zestarzałe krypcie,—to znaczy zdeptane w błotach przyszwy, podeszwy i obcasy od podkutych chłopskich butów z najtwardszego juchtowego rzemienia, od których oderznięto cholewy. Krypcie te były zeschłe, twarde, jakby wyrobione z żelaznego surowca. Młody panicz wdział je na swe stopy i tak z wyciągniętemi nogami, obutemi teraz w te żelazne chodaki, siedział na progu. Kucharz spojrzał mu w oczy z poprzednią srogością i kazał natychmiast iść precz ze dwora. Gdy tamten ruszyć się nie miał siły, chwycił go w pół, podźwignął, wyniósł do sieni, wypchnął na dziedziniec i drzwi za nim zatrzasnął. Wygnany zawahał się dokąd ma iść. Na gumno nie chciał, bo za niem byli chłopi. Przed dwór nie śmiał, bo spalą z jego powodu. Ale droga sama wiodła go na dół, właśnie wzdłuż dworu. Dom to był wielki, murowany, budowla długa z dwoma gankami, z wielkim, zczerniałym dachem. Przed temi gankami ciągnęła się droga kędyś w dół, ku rzece. Tam też poszedł krwawy żołnierz.

Mijał coprędzej ten niegościnny dom. Stokroć gorzej bolały go nogi w ciężkich chodakach, ciężył kostur w ręku, kożuch moskiewski na grzbiecie,—a nade wszystko—nade wszystko ta hańba nieudźwigniona, którą na sobie niósł. Minął pierwszy ganek, nie podnosząc oczu. Mijał drugi. Lecz oto ktoś go z tego ganku okrzyknął. Po kilku kamiennych stopniach zeszła ku niemu młoda kobieta i, zdumiona jego straszliwą postacią, stanęła w pół drogi. Wędrowiec podniósł na nią oczy i, mimo

ogrom swego nieszczęścia, poprzez półmgłę śmierci patrząc, zadziwił się i zachwycił jej pięknością. Uśmiech żałosny, a zarazem szczęśliwy wywinął się na jego wargi. Nie miał czem i nie wiedział jak ukłonić się tej prześlicznej osobie, więc tylko ręką wykonał jakiś znak pozdrowienia. Patrzała na niego oczyma czarnemi, którym zdumienie, ciekawość i odrobina żalu jeszcze większej dodawały piękności.

— Z bitwy?—wyszeptała.

Potwierdził, mimowolnie uśmiechając się do niej.

— Gdzie była ta bitwa?

— Pod Małogoszczem.

— To tam Czengiery pociągnął, co tu koło nas wczoraj szedł.

— A tak, lecz i inni.

Zbliżyła się jeszcze o krok, patrząc badawczo i uważnie na "połuszubok" wojskowy.

— Ja jestem powstaniec—wytłomaczył. A to na pobojowisku ściągnąłem z sołdata, bo nas z odzienia obdarli.

— Jakże pan tu doszedł?

— Lasami.

Spojrzała na jego czerwoną głowę, wybite oko, nogi zlane krwią,—i zakrzątnęła się prędko, żywo, jednym tchem, a z jakowąś szczególną wesołością duszy. Chwyciła go za rękę, wyciągnęła z niej sękaty kij i rzuciła go precz za wyłamane szczątki ogrodowego płotu. Następnie ujęła rannego pod rękę i poprowadziła ku stopniom ganku.

— Dwór spalą—rzekł do niej łagodnie, ociągając się poniewoli.

— Zobaczymy, jak to tam będzie, a teraz marsz, gdzie każą! — mruknęła z pośpiechem, dźwigając go na schody.

Z trudem wygramolił się na stopnie i siadł w ganku na ławce. Panienka zapaliła latarnię, która tam stała, i otworzyła ciężkie drzwi do wewnątrz, prowadząc gościa za sobą. Chodaki jego bezsilnie stukały o kamienną posadzkę wielkiej, ciemnej sieni. Znowu po dwu schodkach wstąpił we drzwi dużego pokoju i prowadzony za rękę szedł z izby do izby. Mieszkanie zalegał już zmierzch. Miejsce to w półmroku, słabo rozproszonym przez blask latarni, — poprzez wielorakie ognie gorączki wydało się przychodniowi przerażającem. Śniło mu się, że już nastąpiła śmierć i że go do dziwnej usypialni piękny anioł wyzwolenia prowadzi. Chciał cofnąć się, uchodzić. Lecz mała, mocna ręka nie popuszczała. Minął tak za przewodniczką, duży, pusty, zimny salon i wpuszczony został do niewielkiej, ogrzanej izdebki. Niewiastka posadziła rannego na pospolitej sofce, obitej kretonem, i, zostawiając samego, szepnęła, jakby kto podsłuchiwał:

— Pójdę ja popatrzeć, czy kto nie widział, i wytrę ślady krwi na ganku.

— W kuchni mię widział jakiś starzec.

— No, ten to swój. To kucharz, Szczepan.

— Widzieli mię chłopi idącego ku dworowi.

— I to jeszcze nie takie straszne. Zresztą — cicho.

Wyszła z pokoju, unosząc ze sobą latarnię. Chory oparł się o ścianę plecami i teraz dopiero uczuł wszystką swoją niemoc. Cierpienia jakgdyby czekały na tę chwilę. Rzuciły się na bezwładnego wszystkie wraz, z całą swoją bezgraniczną potęgą. Zawył z bólu. Bielmem przesłonięte oczy widziały jasny kwadrat

okna, choć już wewnątrz panował mrok, muślinowe firanki, sprzęty, lecz myśl nie mogła pojąć tego szczęścia, że ciało ranami okryte jest między ścianami ludzkiego mieszkania i pod dachem. Jak sen przechodziły przez głowę obrazy bitwy, ujścia, lasu, rzeki.

Skrzypnęły drzwi. Dały się słyszeć ciche kroki. Młoda gospodyni weszła do izby, niosąc swoją latarnię. Ze śmiechem postawiła ją na stole i rzekła:

— Pokradli tu wszystko, nawet lichtarze. Została tylko ta latarnia. Przy latarni muszę siedzieć, jak w oborze. Słyszał też pan coś podobnego? No, ale powycierałam ślady na ganku. Pan osłabł?

— Tak, nie mam sił.

— A jakież to pan ma rany?

— Bardzo wiele. Tylko przez chwilę spocznę. Zaraz sobie pójdę.

— Proszę,—zaraz pan idzie. I dokądże się to pan tak wybiera, jeśli wolno zapytać?

— Jest tu może jaka piwnica, drwalnia, albo strych, gdziebym się mógł położyć pod dachem. Ale i okryć czem, jakiem suknem, bo mi bardzo zimno.

— Zaraz, zaraz.

— Ja już mogę iść, jużem odpoczął.

— Właśnie.

Zostawiła latarnię na stole i dokądś pobiegła. Nie było jej dosyć długo.

Ranny popadł w niezwalczony sen, w głuche, bezduszne drzemanie. Dźwigał się co moment na skutek przeświadczenia, że przecie musi iść co tchu, uchodzić, kryć się,—lecz nie miał siły, żeby skinąć ręką, poruszyć głową. Zapomniał, jak długo trwało to borykanie się z sennem osłupieniem. Lecz oto drzwi się otwarły i ukazał się stary ów kucharz, który kaszę warzył, niosąc

pospołu z młodą panną balię pełną wody. Para unosiła się nad tą balią. Przydźwigawszy naczynie do środka pokoiku, ustawili je na ziemi. Stary kucharz mruczał głośno, spluwał i z wściekłością podrzucał ramionami,— ale panna nie zwracała na te objawy złego usposobienia żadnej zgoła uwagi. Musiał czynić, co kazała. Poleciła zaś przynieść mydło, gąbkę, kilka prześcieradeł, ręczników, bandaże i szarpie. Znosił to wszystko po kolei, dopytując się o każdą rzecz, jak sługa pani, i klnąc po dostarczeniu każdego szczegółu najohydniejszemi chłopskiemi wymysłami, jakgdyby to on właśnie tutaj rozkazywał. Kobietka krzyczała mu polecenia do ucha ze stałym odcieniem wesołości. Gdy famulus przyniósł wszystko, co potrzeba, kazała mu iść do kuchni i gotować nowy sagan wody, a żeby zaś była wrząca, jak należy. Mruknąwszy coś najbardziej obrzydliwego, poszedł z izdebki. Wtedy ściągnęła z ramion młodzieńca, który jej bezwładnie leciał przez ręce, gruby, cuchnący kożuch i wyrzuciła do sionki. Zzuła mu twarde krypcie, dokuczliwe, jak kajdany, i cisnęła je również w tosamo miejsce. Powstaniec był prawie nagi, bo tylko w mokrych spodniach. Nie bez trudu ściągnęła go z sofki na prześcieradło, rozpostarte w środku pokoju, głowę jego przechyliła poza obwód balii, do jej wnętrza, nad ciepłą wodę i poczęła gąbką moczyć zaschłe sople, gruzły i zacieki w skrwawionych włosach. Wyżymała te włosy małemi rękoma z wybroczyn, dzieliła je na wąskie pasemka, wydobywając troskliwie wciąż nowe zwitki, wbite w rany od ciosów pałasza i bagneta. Znalazłszy zaś ranę, przemywała ją pieczołowicie, suszyła szarpią i starem płótnem. Pozakładawszy cięcia i zranienia, obwiązała całą głowę bandażami, wprawnie je w krzyż motając. Wkrótce chory miał głowę dobrze

opatrzoną. Lecz po obmyciu głowy balia była pełna krwi. Pielęgniarka złożyła swego pacyenta na ziemi i przywołała kucharza. Gdy nadszedł gniewny i złowrogo sapiący, kazała mu, krzycząc rozporządzenia do ucha, zabrać przede wszystkiem kożuch i krypcie. Kożuch podrzeć na sztuki i spalić. Przynieść nowy sagan ciepłej wody. Skoro przyniósł wodę, posłała go po ceber dla zlania zakrwawionej z balii. Musiał to wszystko prędko i zwinnie spełniać, bo się marszczyła i tupała nogą. Zakrwawioną wodę poniósł na dwór i wychlusnął w gnojowisko. Panienka sama nalała czystej wody do balii i zabrała się do opatrzenia policzka. Tu miała sprawę stokroć cięższą, niż z ciętemi ranami na głowie. Trudno było domyśleć się, czy oko jeszcze istnieje, bo pod brwią, na połowie twarzy była jednolita czarna bulwa, zaciekła wybroczyną, idącą z rany. Młoda lekarka długo w to oko świeciła latarnią i przy blasku łojówki badała sprawę. Prześliczne jej palce starały się znaleźć miejsce zranienia, namacać powiekę i gałkę oczną. Przyszła do wniosku, że to nie jest rana od kuli, ani nie od cięcia pałaszem, lecz sztych w oko, zadany bagnetem. Ostrze trafiło na kość policzkową i ześliznęło się po niej w stronę nosa, drąc skórę i podważając oko z orbity. Czy oko było całe, czy jeszcze istniało, nie mogła osądzić. Poczęła płókać rozdarcie wodą, wychlustywać je i oczyszczać głębię rany. Założyła dziurę szarpią, zawiązała miejsce bandażem i przeszła do pchnięć bagneta w ramiona i między żebra. Były to przeważnie stłuczenia i niegłębokie urazy. Na plecach znalazła rany cięte od pałasza lecz złagodzone wskutek tego, że ich gwałtowność powstrzymała była kurtka futrzana i koszula. Najcięższa i najdrastyczniejsza rana była w biodrze. Młoda lekarka musiała zapomnieć

o swem panieństwie i zupełnie rannego obnażyć. Gdy dotykała rany w biodrze, opuchniętej nadzwyczajnie, powstaniec wył z bólu. Znać było, że to nie jałowe pchnięcie bagneta i nie cios zewnętrzny, lecz że w głębi siedzi kula. Nadaremnie usiłowała jamę palcami zgruntować i na pocisk trafić. Kula tkwiła gdzieś bardzo głęboko między kościami, żyłami i ścięgnami, gdyż sprawiała dokuczliwy ból za każdem poruszeniem. Trzeba było poprzestać na oczyszczeniu i obwiązaniu tej rany. Obmycie nóg, z których powyciągała drzazgi i kolki, dokończyło tego opatrunku. Odziawszy chorego w męską koszulę, którą w szafach znalazła, opiekunka zawinęła to zbiorowisko ran w czyste prześcieradło i z niemałym trudem, po długotrwałych zabiegach, jakby się borykała z ciężarem źrebca, wciągnęła bezsilnego na swoje panieńskie łóżko. Okryła go dobrze błękitną, atłasową kołdrą, podbitą cienkiem prześcieradłem, i poczęła pilnie wycierać krwawe plamy z podłogi, zlewać czerwoną wodę do cebra i wynosić to wszystko przy pomocy kucharza,—oraz czynić w izdebce wszelaki porządek.

Gość jej był przytomny. Nie spał. Spoglądał na prześliczną kobietę, krzątającą się po mieszkaniu, na jej głowę nadobną we wszelkiej pozie i z każdej strony, z włosami kruczej czarności, rozczesanemi pośrodku i przylegającymi do skroni,—na jej rysy regularne i niewymownym owiane wdziękiem,—na różane usteczka, w których radosny śmiech wieczną miał gościnę. Ubrana była w suknię szeroką u dołu, według mody, lecz nie dochodzącą do rozmiarów krynoliny. Od pracy policzki jej były zabarwione i ręce umazane we krwi. Patrząc na tę obcą, a tak czarującą istotę, która jego istność najbardziej osobistą, jego rany i najohydniej-

szy brud przemyła z wesołą naturalnością i dobrą prostotą, zachłysnął się od szlochów szczęścia. Szczęście zesłał mu Bóg po wielkiem cierpieniu. Kiedy brnął przez lasy, wody i złorzeczył,—czekało nań w tym domu. On sam, jeden jedyny został doń powołany.

Wspomniał na nagie trupy, leżące stosem między zagonami,—na zwłoki mężnych, ciągnione za nogi do dołu pod lasem—i zatonął w Bogu.

Widma i męczarnie, zjawy straszliwe i głosy niepojęte osaczyły go ze wszech stron. Nachylały się nad nim potworne straszydła o postaciach drzew, albo spienionych zwierząt, które nad głową w locie kopyt pędziły. Ręce miał ciężkie i jak z marmuru. Dłonie wisiały kędyś wysoko, niby u powały zaczepione, to znowu były w czuciu tak małe, że ich przy sobie odnaleźć nie mógł. Nogi rzucało to tu, to tam, niby pnie drzewa w tartaku. Głowa stała się, jak rozpalone kowadło, w które biją wraz od ucha młoty kilku siłaczów.

II.

Czarodziejsko świeciło słońce. Ogniste koła drżały na sosnowych deskach, które z wczorajszych plam wymyte, już były suche. Coś weseliło się i zaśmiewało ze szczęścia, kołując na tem miejscu, gdzie stała balia,—migocąc raz mocniej, to znowu słabiej. Chory patrzał na plamy słoneczne i napawał się ich widokiem. Weszła młoda gospodyni. Niosła w ręku miseczkę z jakąś dymiącą potrawą i srebrną łyżkę. Przypatrywała się bardzo uważnie swemu pacyentowi. Spostrzegłszy, że nie śpi, uśmiechnęła się, jak najweselszy szkolny urwis, i wykonała oczyma zabawny znak porozumiewawczy. Kiwnęła mu głową, mówiąc:

— No, widzi pan, noc przeszła, południe przyszło, a pan nie umarł.

— Naprawdę, nie?

— Ale—no! Przecie pan zaraz będzie kaszę jadł, a to chyba dowód!

— Kaszę? Tęsamą, co wczoraj?

— A tęsamą.

— O, jak to dobrze!

— A no właśnie i ja sobie tak pomyślałam. Tembardziej, że my tu ze Szczepanem niczem innem przyjąć pana nie możemy. Więc proszę wybaczyć, bo czem chata bogata—no i tak dalej. Żeby mieć choć szczyptę mąki, żeby—no, odrobineczkę cukru, mleka. Nic! Kasza i kasza. Toby się przecie i kurom sprzykrzyło,—nie?

— Na razie to nie. Powstańcom się nie przykrzy to nawet, czego już kury dzióbać nie chcą. Żeby tylko nie była tak gorąca, jak wczoraj.

— Nie jest wcale gorąca. Mogę ją zresztą łatwo ostudzić, bo dziś tęgi przymrozek. Ale pan może kaszy zupełnie nie lubi?

— Gdzież tam! W partyi, mówię, zawsze kasza, czasem trochę kartofli. Tylko że tamtą poparzyłem sobie wczoraj usta.

— A też z pana obolały cierpiętnik! Wszystko pokrajane, pokłute, naszpikowane, poprzestrzelane,— jeszcze i wargi sparzone. Tego tylko brakowało.

— Przepraszam panią.

— Niema za co. Przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Co zaś do tej kaszy, to chciałam powiedzieć, że nic nie mamy, tylko ten worek jęczmiennej. I to sekret! Proszę pana,—sekret! Jak to wytropią i odbiorą nam,—no, to głód.

— A gdzież państwo ten worek trzymacie?

— "Państwo!" Nie żadne państwo, tylko Szczepan, ten stary kucharz, co go pan widział. Chowa go w zapolu, w stodole. Dziurę w sianie wykopał na kilka łokci głęboką i tam na postronku worek spuszcza co rano, jak o świcie na dzień dla nas dwojga porcyę wybierze.

— Proszę pani, a gdzie ja jestem? Jak się też to miejsce nazywa?

— To pan tego nawet nie wie?

— Nie wiem. Ja tu obcy, pierwszy raz.

— To jest dwór w Niezdołach. Niezdoły, taki majątek jednych państwa, Rudeckich, moich krewnych i opiekunów.

— A pani? Przepraszam, że się tak pytam.

Uśmiechnęła się wesoło i najpowabniej, mówiąc:

— Mnie na imię Salomea. Ale niechże pan sobie nie wyobraża, że jestem jaka tutejsza żydówka, bo się nazywam Brynicka i to z tych Brynickich, co dawniej mieli Mieranowice. To byli stryjostwo mojego tatki, a pani Rudecka jest moją wujenką, wprawdzie nie rodzoną, zawsze jednak pokrewieństwo.

— Ależ ja nic podobnego sobie nie wyobrażam! To jest bardzo ładne imię.

— A rzeczywiście!—pokiwała głową z gorzkiem politowaniem. Wszyscy się nadziwić nie mogą, że też takie imię można było nadać człowiekowi. Salusia, Salcia,— o Boże—"Salcze."

— Salce po włosku oznacza wierzbę. To ładne drzewo i ładna nazwa.

— Po włosku? To pan umie po włosku?

— Trochę umiem, ale nie nazbyt dużo, tyle, żeby się rozmówić. Nauczyłem się, sam nie wiem kiedy, jakem był we Włoszech.

— To pan był we Włoszech! Mój Boże!

— Czemu pani tak wzdycha?

—A tak sobie z zazdrości. Co to musi być za przyjemność być we Włoszech, "pod włoskiem niebem." Czy to tam jest naprawdę to jakieś niebo?

— Takiesamo.

Ranny przymknął oczy, bo znów ogarnęły go szarpiące bóle i płomienie gorączki. Patrzał w przestwór błędnemi oczami. Po pewnym czasie zmocował się w sobie, oprzytomniał i rzekł:

— Pani zupełnie nie wie, kto jestem, a odstąpiła mi pani swego posłania.

— Wiem, że pan jest powstaniec.

— Nazywam się Odrowąż, a na imię mi Józef.

Po chwili dodał:

— Widzi pani,—mam po rodzicach tytuł księcia.

— Księcia?—szepnęła panna Salomea, przypatrując mu się na poły z niedowierzaniem, na poły z podziwem. Twarz jej spoważniała i ruchy stały się bardziej oględne. Nie na długo zresztą.

— Posiadam znaczny majątek,—mówił jeszcze,—a wczoraj...

— O, wczoraj znać było pana nie tyle po cholewach, bo przypadkowo były oberznięte, ile po kożuszku magnackim—uśmiechnęła się złośliwie.

Chory przymknął oczy ze wstydu. Burzyło się w nim wszystko. Mówił zwolna: .

— Postaram się—niezwłocznie—skoro tylko—wstać i iść z powrotem do partyi, żeby pani nie narażać na takie przykrości.

— Och, z temi groźbami! Lepiej niech wasza książęca mość nie rozmawia i leży spokojnie. Powiem otwarcie, że od bardzo dawna, bo od jakich czterech tygodni wyspałam się pierwszy raz tej nocy porządnie pod pańską opieką.

— Co takiego! Pod moją opieką?

— No, tak. Trzeba księciu panu wiedzieć, że w tym caluteńkim domu niema nikogo, tylko stary kucharz, Szczepan, głuchy, jak pień wierzbowy—po włosku salcze, no i ja, także "Salcze."

— A gdzież są wszyscy?

— Gdzie są? Niema. Poszli! Pana Rudeckiego, mojego krewnego i opiekuna wzięli do więzienia, już temu dwa miesiące. Było tu pięciu synów, młodych Rudeckich. Z tych Julian, Gustaw i Ksawery poszli zaraz. Tamci z domu, a Gucio—to nawet wprost ze

szkół w Puławach. Dwaj najmłodsi chłopcy są na nauce w Krakowie. Julian zginął w bitwie, gdzieś w miechowskiem, a biedny Gucio...

Panna Salomea gorzko zapłakała. Po chwili wytarła oczy i mówiła:

— Tosamo i Ksawery nie żyje. Moja wujenka, a matka tych chłopców, pojechała szukać po obozach. Minęło już cztery tygodnie, jak jej niema. Jeden żyd, karczmarz tutejszy, co końmi handluje, a właściwie koniokrad, widział się z wujenką, jak wracała skądś z sandomierskiego. To znowu była wieść między tutejszymi chłopcami, co teraz wyłapują powstańców, żeby ich do "Cyngiera" odstawić,—że się stara o uwolnienie wujaszka z więzienia w Opocznie. Podobno Ksawerego zwłoki znalazła w jakiejś szopie.

— Skądże te wieści?

— Furman Skowron, co jeździł z wujenką, opowiadał. Wyjechali czterema końmi i powozem, a furman wrócił sam i piechotą. Konie wujeneczka sprzedała, powóz tosamo, bo jej trzeba było pieniędzy na przepłacanie, żeby wuja uwolnić. Jak ten furman wrócił, to nawet nie zaszedł, żeby powiedzieć, co się stało, tylko zabrał się do swojej wsi. Przez dziesiąte osoby dowiedzieliśmy się od niego.

— I cóż mówił?

— Mieli podobno wszyscy pobici, koszule długie ze zgrzebnego płótna aż do stóp, a pod szyją kokardy trójkolorowe jeden w drugiego. I tak przed pochowaniem leżeli w szopie pokotem. A Ksawery między nimi.

— Koszule, kokardy! Cóż za przepych, cóż za łaska! —śmiał się Odrowąż. Przekręcił się twarzą do góry i patrzał w powałę.

Panna Salomea mówiła dalej:

— A niech pan sobie wyobrazi, co z Guciem. W jednej bitwie uciekał na koniu. Wpadł w opłotki pod jakąś wsią i byłby uszedł cało, bo miał pod sobą konia-cudo, kasztana, co się tu od źrebięcia na naszym pastewniku wychował. Trzeba nieszczęścia,—cielę wylazło skądś na środek drogi i kasztan się na niem potknął. Dragoni, co Gucia ścigali, wtedy dopadli. Roznieśli go tam na pałaszach, rozrąbali, rozsiekali, ale tak, że tylko kadłub bez głowy i bez rąk poniósł koń w pola. Milami, podobno, zbiegany nosił potem trupa,—wreszcie włóczył go po ziemi, gdy ciało wypadło z siodła, a jedna noga w strzemieniu została. Och, taki koń! Któż to mógł przeczuć. Wszyscyśmy go kochali, jeździli na nim, za szczęście było dosiadać go oklep i pod siodłem. Żeby się tak podle potknąć, nie przesadzać cielęcia, zdradzić najlepszego panicza! Kochany Gucio! Taki śliczny, taki wesoły.

Krótko załkała, zaszlochała. Odrowąż milczał, bez współczucia patrząc na jej płacz. Wytarła oczy i mówiła jeszcze:

— Wszystka służba rozbiegła się z tego domu. Jednej nocy przyszli tu powstańcy pod panem Jeziorańskim, a zaraz po nich wojsko. Powstańcy się zabarykadowali w gorzelni, tosamo w śpichlerzu, zaczęli stamtąd oknami i z dymników strzelać. Podpaliło wojsko ten śpichlerz. Zajęła się gorzelnia od dachu. Spaliło się wszystko—gorzelnia, śpichlerz, obory i stodoły. Szczęście jeszcze, że wiatr niósł perzynę na łąki, bo byłaby i druga stodoła nie ocalała, ani stajnia, ani nawet dwór,—taki był ogień. Od tego czasu wszystko z tego domu pouciekało. Konie pobrali do ostatniego,—źrebięta ktoś ukradł w nocy. Co tylko było w śpiżarni, powstańcy zabrali.

A już od czasu, jak mój tatko poszedł do powstania, to my się tylko ze Szczepanem zostali.

— To pani ma ojca?

— A mam. Mój tatko tu był rządcą w Niezdołach u wujostwa Rudeckich przez całe dwadzieścia dwa lata, od czasu, jak wrócił z Sybiru. Bo mój tatko w tamtą rewolucję był wachmistrzem w strzelcach konnych i na Sybirze był za to.

— A mamę pani ma jeszcze?

— Moja mama umarła, jakem miała rok, to znaczy temu już dwadzieścia dwa lata,—nie, dwadzieścia jeden.

— O, ujmuje sobie pani lat!

— A może sobie mam jeszcze dodawać? Wcale nie ujmuję.

Po chwili dodała ni to z dumą, ni z pewnem zażenowaniem, jak się mówi o sprawach i szczegółach familijnych, które tylko w swojem kółku wielkie są i znaczne, a dla obcych nie egzystują:

— Mój tatko ma tylko sześć palców u obu rąk.

— Czemu?

— A bo mu w bitwie pod Długosiodłem kula urwała, akurat kiedy trzymał karabinek przy twarzy i celował. Tu ma dwa palce urwane i tu dwa. Jak się myje, to tak śmiesznie.

Pokazała, składając dłonie.

— I tak oto samą jednę ojciec panią zostawił?

— A tak, bo dla ojczyzny jest najpierwszy obowiązek polaka, a dopiero na drugiem miejscu stoi familia— wypowiedziała z hieratycznem namaszczeniem zdanie mądre, ustalone i powszechne.

— Jakże też pani daje sobie radę, gdy tu wojska przychodzą? Czy przychodzą?

— A ba! Czy przychodzą? Dobra ta noc, jeśli ich niema. A niema wojska, to są nasi. Wyjdą nasi, to wojsko.

— A pani zawsze sama?

— No, jest przecie Szczepanisko.

— Ten dziadyga?

— Choć on i dziadyga, ale mądry, kuty na cztery nogi, na każdą rzecz, na każde wydarzenie ma swój wybieg chłopski i sposób jaki nieomylny. Nadto powiem księciu panu, że on się nie boi. To jest bać się boi, będzie się cały trząsł, jak galareta z cielęcych nóżek, ale nigdy nie ucieknie. W tej chwili, kiedy trzeba stanąć,—a on jeden wie, kiedy trzeba,—napewno nie zdradzi i wszystko weźmie na siebie. Sto razy go wypędzą, to on tam wlezie za drzwi i nasłuchuje, czeka. Tylko ja głos podniosę, on przy mnie. Gdyby mię napadli, będzie bronił do ostatniego. On jest pewny. Zresztą, na najgorszy moment, mam tu jeszcze jednego obrońcę.

— Gdzie?

— A tu,—oświadczyła z uśmiechem, wyciągając z kieszeni szerokiej sukni dwustrzałowy pistolet.

— Któż go pani dał?—Zapytał Odrowąż.

— Tatko.

— I tylko taką zostawił pani obronę?

— Tatko powiedział, żeby dopiero w najostatniejszej chwili, jeżeliby kto siłą napadał. A przede wszystkiem tatko kazał bronić się do ostatniej chwili kobiety polskiej godnością.

— Polskiej kobiety godnością...

— Myśli książę, że to nic nie znaczy? Już tu miałam nieraz przykład. A powiem jeszcze jeden sekret, bo to księcia pana uspokoi. Mam tu jedną wspólniczkę.

Tylko to trzeba w tajemnicy trzymać, bo bez tego źlebyśmy tu wyglądali.

— Zachowam tajemnicę...

— No, to powiem. Jest tu karczma w szczerem polu o jakie ćwierć wiorsty ode dwora, stoi na krzyżowych drogach. Siedzą w tej karczmie żydy. Dawniej brali wódkę z niezdolskiego dworu, jak gorzelnia szła. Teraz ją biorą skądinąd, a trudnią się czem można, a głównie przemycaniem w dalekie strony kradzionych koni. Tak ludzie mówią. Ja tam dobrze nie wiem. Nikt zresztą teraz prawdy nie dojdzie, bo wszystko idzie na karb powstania. Jakieś konie w karczmie stoją, potem znikają. To niby powstańcy... Jest ich tam dużo tych żydów w karczmie. Ale między nimi jest jedno żydzię, ma chyba ze czternaście czy piętnaście lat. Na imię temu Ryfka. Warto zobaczyć przy świetle dziennem to czupiradło. Nie myła się już ze cztery lata, włosy w strąkach, obdarte, brudne.

— Niemal, jak ja wczoraj...

— Troszeczkę bardziej, tylko że aby nie pokrwawione. Kiedy Siapsia, starszy karczmarz, trzymał w pachcie krowy dworskie, Ryfka przychodziła o świcie do udoju, mleko mierzyć. Ja tosamo musiałam wstawać do krów przed świtem. Tom sobie z tą żydówą rozmawiała z nudów o różnościach. Nieraz jej tam co darowałam. Czasem znowu wypukałam ją z karczmy w lecie wieczorem i wymykałyśmy się obie w noc, we mgłę, nad rzeką w rosach, w niekoszonych trawach boso polatać... Książę pan będzie się gorszył, że ja się tak z tą żydówką postponowałam...

— Nie, uchowaj Boże!

— Ja jej znowu do zupełnej konfidencyi nie dopuszczałam, tylko tak, że to dobre do sekretu, wierne

i jakieś takie przy mnie, jak cień przy drzewie. Czasem znowu namówiłyśmy się na maliny dzikie i na "dziady," tu na tę górę, co za Niezdołami stoi. Szła za mną zawsze i słuchała, co jej mówię. Ja tak, to i ona tak, ja odmienię, to i ona. Co ja lubię, to i ona. Co mi nie smakuje, to ją aż wykrzywia. Jakem sobie zaśpiewała, to ta za mną tosamo, słowo w słowo, dźwięk w dźwięk, a tak strasznie śmiesznie, że boki zrywać. Musiałam sobie usta zatykać, żeby jej przykrości nie robić. Czasem to umyślnie wyśpiewywałam jakie głupstwo najwierutniejsze, układałam śmieszne piosenki, żeby się ponauczała. No, więc ta Ryfka zrobiła się moją przyjaciółką. Ale taką naprawdę. Teraz, jak wojsko nocą ciągnie, to żeby nie wiedzieć skąd i dokąd szło, o karczmę zawadzi, bo ta karczma stoi na rozstaju gościńców. Jeżeli zaś tylko pytają się o drogę do dworu w Niezdołach, Ryfka przez tylne drzwi, poprzez żydowskie zakamarki, sionki, przybudówki, przez śmietniki i gnoje, potem przez dziką górę, przez parów, przez ogród—do mnie. Jeśli idą do dworu powstańcy,—stuka do mnie w to okno, w tę szybę—trzy razy. Jeżeli idzie wojsko—cztery razy. Ja wtedy do kuchni, budzę Szczepana i po ciemku przygotowujemy się, czekamy. Dopiero, jak zaczną burzyć się do drzwi, walić kolbami, dobijać do okien, Szczepan idzie otwierać. Tylko już wtedy wiemy przynajmniej, czego się trzymać. Rozumie mię książę pan?

— Rozumiem, choć bardzo boli, tu w nodze. Tylko już o tym tytule książęcym będziemy wiedzieć raz na zawsze, że był i nigdzie nie ucieka, więc trudzić się ciągłem wywoływaniem go z niepamięci niema powodu.

— Książę pan jest taki,—jakże się to mówi? demokrata.

— A no niby.

— Dobrze, będziemy mówić z prosta. Chodzi o to, że teraz, jak tu pan leży, to ta Ryfka jest dopiero ważna. Prawda?

— Och, prawda.

— Bo przecie oni rewizję robią za każdym razem w całym dworze, mojego łóżka nie oszczędzając. Trzęsą wszędzie. Czasem się tam który zawstydzi i każe tylko z wierzchu patrzeć. A bywają znowu i tacy, co umyślnie, z dowcipami zaglądają w każdą skrytkę.

— Cóżby tu robić, gdy przyjdą?

— Po pukaniu Ryfki będziemy wiedzieli, kto idzie. A skoro—cztery,—Szczepan musi pana brać na ramiona i wynosić z domu. Myślę, że do stodoły.

— Jakże to będzie uciążliwe!

— Nie tak znowu bardzo. Dziad podoła. Nawet i ten tytuł książęcy swoje zrobi, bo się Szczepanowi wytłomaczy, że pan jest naprawdę jaśnie oświecony bogacz.

— Bogacz nie bogacz, lecz moja rodzina wynagrodzi go sowicie.

— Właśnie. **Ca ira!**

— Pani po włosku nie umie, ale za to po francusku...

— A umiem, bom się uczyła na pensji, u zakonnic, w Ilbramowicach. Troszeczkę się nie douczyłam, bo mi tatko kazał wracać do gospodarstwa. Zresztą, przyznam się, żem tak znowu nadzwyczajnie za temi Ilbramowicami nie przepadała. Ale ja tu rozmawiam i rozmawiam, a pan jeszcze nic w ustach nie miał. Przyniosę ja trochę cieplejszej kaszy, bo ta na klajster wystygła. Może nawet Szczepan kapeczkę mleka u żydów dostał, ale—koziego—dodała z wstydem.

Z tem wyszła z izby.

Powróciwszy, zastała swego gościa pogrążonego we śnie nagłym, gorączkowym. Zbliżyła się na palcach i oglądała bandaże. Tu i owdzie krew pozaciekała przez płótno. W różnych miejscach poduszka i prześcieradła były splamione. Panience żal się zrobiło pościeli, ale i tego dryblasa, który się księciem mianował, żałowała potrosze. Żal jej było, że jego regularne rysy, prosty, doskonale zarysowany nos, kształtna głowa— tak zostały zeszpecone przez rany. Siedziała cicho w kącie pokoju, powzdychując nad tą koleją rzeczy, dopóki się nie ocknął. Wówczas zmusiła go, żeby zjadł kilka łyżek kaszy, wprawdzie bez zapowiedzianego mleka, ale ciepłej. Przepraszał ją wielekroć za przykrości, które poniosła z jego powodu. Oburzało ją powtarzanie ciągle tegosamego w kółko. Żeby temu raz kres położyć, oświadczyła:

— Jużem księciu panu meldowała, że dopiero teraz oddycham swobodniej pod jego opieką.

— Wolne żarty...

— A ładne żarty! Żeby pan wiedział dokładnie, co się tu dzieje po nocach, toby dopiero zrozumiał, o czem mowa.

— A cóż się takiego dzieje?

— Niby to łatwo wyłuszczyć wszystko!

— Że te wojska nachodzą?

— To swoją drogą... Ale z drugiej strony...

— Cóż takiego?

— Pan widział, jaki tu jest duży dom?

— Rzuciłem okiem, ale wczoraj trudno mi było cokolwiek dokładnie zauważyć.

— Jest tu ośmnaście pokojów. Jedne duże, drugie małe. W tej liczbie trzy salony. Jeden, największy,

przez całą szerokość dworu w tamtej, murowanej części, co na końcu. I na to wszystko—ja jedna.

— Boi się pani?

— Panu łatwo się nie bać, jako mężczyźnie. Przytem nie wie pan wszystkiego.

— A cóż jeszcze należy wiedzieć, żeby się bać należycie?

— Proszę pana, to jest taka rzecz—mówiła przysuwając swe krzesełko do łóżka i zniżając głos aż do szeptu:

— Mieszkało tu dawniej, po rewolucji dwu braci Rudeckich. Obadwaj gospodarowali na spółkę, bo to było dziewięć folwarków, gorzelnia, tartaki, stadnina, obory,—no, słowem duże gospodarstwo. Starszy brat, co już nie żyje, Dominik, służył dawniej w wojsku. Muszę to panu powiedzieć, że on tosamo kochał się w wujence, zanim wyszła za mąż za tego wuja, co żyje i teraz jest w więzieniu, za Pawła.

Nieboszczyk wuj Dominik zarządzał gorzelnią, końmi, młynami, lasem, tartakiem, całą fabryką. Wuj Paweł rządził folwarkami. Tak tu razem mieszkali. Wuj Dominik zawsze na tamtej stronie, sam, bo się z wujem Pawłem ciągle sprzeczali o pieniądze i o wszystko. Tam u siebie jadał. Posyłało mu się obiady na drugą stronę. Powiadał raz jednemu panu, tosamo z rewolucji, mój tatko, że wuj Dominik zawsze się kochał w wujence i miał wielki żal do brata, że go ubiegł. Podobno z tego zdziwaczał. Nic, tylko konie, psy, charty, ogary. Ciągle polował, strzelał do celu z fuzji i pistoletów. Raz się pokłócili z wujem Pawłem o gorzelnię. Wuj Paweł udowodnił, że podobno gorzelnia źle idzie i małe daje dochody, że folwarki niszczeją przez tę gorzelnię. Wtedy wuj Dominik gorzelnię skasował, zamknął, służbę roz-

pędził, a wszystkie kufy, wielkie beczki, kadzie obite żelaznemi obręczami kazał z gorzelni przenieść do największego salonu obok swojego pokoju i tam je rzędem poustawiał. Meble z tego salonu wynieśli, a gorzelnię zamienili na składy drzewa i desek. Do tej pory wszystkie te kadzie w wielkim salonie stoją. No, a jednego wieczora,—niech pan sobie wyobrazi,—ten wuj Dominik w ostatnim pokoju za wielkim salonem, gdzie mieszkał, przywiązał nabitą fuzję do drzwi, usiadł naprzeciwko lufy i nogą pociągnął za cyngiel. Zabił się.

— Dawno to było?

— Z dziesięć lat temu. Ja wtedy byłam u zakonnic. Mój panie, ale to dopiero początek!

— Ta śmierć?

— A tak. Zrazu nic. Odżałowali tego wuja Dominika, nagrobek mu wystawili na cmentarzu naszego kościoła, msze kazali odprawiać za jego duszę. A tymczasem...

— Co pani jest? Czego się pani tak boi?

— A bo on ciągle chodzi po domu...

— Co też pani mówi?

— No, mówię, i wszyscy tosamo potwierdzą. O tem wie caluteńka okolica.

— Śmiejmy się z tego!...

— Pan się pośmieje, jak sam usłyszy.

— Cóż ja mogę usłyszeć?

— Kto tylko tu był, wszyscy tosamo potwierdzają, co on wyprawia. Niech pan posłucha. Bierze te wielkie kadzie, okute żelaznemi obręczami, podnosi, jak garncowe baryłki, i ciska spod sufitu na posadzkę. Kadź odbija się od podłogi, podskakuje raz, drugi, trzeci, czwarty. Słychać najwyraźniej:—buch—buch—buch—

buch. Potem drugą—tosamo. Trzecią—tosamo. I tak będzie z dziesięć, z piętnaście razy powtarzał.

— No, a chodził ktokolwiek patrzeć, jak też to on robi?

— Ba! Chodzili ze świecami, ze służbą, całym dworem. Chodzili i z księdzem proboszczem i z jednym tu świątobliwym zakonnikiem z miechowskiego. Wszyscy słyszeli najwyraźniej, jak kadzie ciskał, idą ze świecami całą gromadą, wchodzą do wielkiego salonu. Kadzie stoją rzędem, jedna obok drugiej, jak stały. Pajęczyny wiszą od jednej do drugiej, pozaciągane Bóg wie kiedy, kurzem grubym przywalone, jak były przed laty.

— A no, więc widzi pani, że to złudzenie.

— Złudzenie! Kto tylko nocuje tutaj, najprzód tak mówi, jak pan teraz, a później drży ze strachu. Księża święcili kufy.

— A pani słyszała?

— Jabym nie słyszała! Ze dwadzieścia razy. Czasem, jak zacznie używać, to caluteńki dom się wzdryga. Ale czyż to tylko? On chodzi po domu! Wszyscy go widują. W tabaczkowym rajtroku z rogowemi guzikami, w obcisłem ubraniu ze strzemiączkami. Raz o zmroku przeszedł koło wujenki tak blisko, że się tylne rogowe guziki tego rajtroka otarły o karbowaną listwę szafy, najwyraźniej, ale najwyraźniej. Wujenka zemdlała.

— Chciałbym wierzyć, bo to pani mówi, a nie mogę.

— No, to ja panu opowiem najlepszą rzecz. Wujostwo sporo dawali księżom, żeby się msze wciąż odprawiały za spokój duszy wuja Dominika. Ksiądz proboszcz, przecie starszy człowiek, światły kapłan, sam nam to opowiadał, a ręce mu się trzęsły z przerażenia.

Mówił ksiądz proboszcz, że siedzieli jednej nocy z wikarym na probostwie, w dużym pokoju i naradzali się, jakie msze mają nazajutrz odprawiać. A że było dużo wotyw zamówionych, więc choć wypadała msza żałobna za wuja Dominika, postanowili ją odłożyć na kiedyindziej. I ksiądz proboszcz wyznał, że obaj z wikarym dopuścili się grzechu, bo mówili pomiędzy sobą, że tyle się mszy za tego samobójcę odprawia, a są przecie i inne dusze, pomocy potrzebujące. Zresztą, mówił ksiądz proboszcz, państwo Rudeccy jakoś czy przepomnieli, czy zaniedbali złożyć w tym czasie na tę mszę. I tak oto naradzali się proboszcz z wikarym, żeby może nazajutrz mszy za wuja Dominika nie odprawiać, a odłożyć ją na późniejszy czas. Wikary wziął pióro i miał pisać w księdze, za kogo nabożeństwo odprawiać się będzie. Żywej duszy w pokoju nie było, tylko oni dwaj. Świeca się między nimi na stole paliła. Gdy wikary pierwszą literę jakiegoś nazwiska wypisał, padł na stół z głośnym dźwiękiem dukat złoty, jakby zleciał z sufitu, zakręcił się, zawirował między nimi dwoma i spoczął w blasku świecy między rękoma tych księży. Tak to im po swojemu, szyderczo zapłacił. Mówił ksiądz proboszcz, że się obadwaj strasznie przerazili. Odnieśli ten dukat natychmiast do kościoła, złożyli go na ołtarzu, jako wotum i krzyżem leżeli pod lampą, w nocy, modląc się żarliwie o spokój duszy Dominika. Na drugi dzień obadwaj odprawili msze żałobne.

— Dziwne rzeczy. A pani w tym czasie, gdy tu sama jedna została, doświadcza jakich przestrachów w tym domu?

— Nie. Teraz jakoś przycichł. Nie rzuca beczkami i nie trzaska jak zwykle. Raz tylko, ale tego nie będę mówić.

— Nie trzeba. Proszę zapomnieć.

— Niech pan tylko pomyśli. Tu przychodzą wojskowi, rewidują dom, krzyczą, hałasują, straszą. A gdy nareszcie odejdą i możnaby lżej odetchnąć, to zostaję sama jedna i poczynam lękać się tamtego. Teraz, gdy pan się zjawił, już się nic a nic nie boję. To jest boję się, ale tylko wojska. Lecz to przynajmniej z ludźmi sprawa.

— Z ludźmi! Doprawdy?

— Można się bronić, nie dawać zębami i pazurami, wreszcie umrzeć,—ale z takim!

— Dzisiaj się pani nie bała?

— Nic a nic! Spałam, jak zabita, choć ja śpię bardzo czujnie i jak tylko Ryfka zastuka, natychmiast usłyszę.

— A gdzie pani śpi?

Panna Salomea zawstydziła się, zaczerwieniła wszystka, mówiąc:

— Tu śpię w drugim pokoju.

— Gdzie?

— W salonie.

— W tamtym zimnym salonie?

— Siennik sobie przyciągnęłam pod pańskie drzwi, to ciepło z pokoju szło, no i tak śpię. Bo, widzi pan, muszę być w pobliżu okna, żeby słyszeć, jak Ryfka stuknie w szybę.

III.

Przewidywanie bezwzględnie niepomyślnych następstw w razie, gdyby rannego znaleziono w domu, zmusiło pannę Salomeę do szukania kryjówki dla pupila. Po długich ze Szczepanem naradach zgodzono się na pewne zabezpieczenie. Ze spalonych dawniej zabudowań została, oprócz stajni fornalskiej, na uboczu stojąca stodoła, pełna zeszłorocznego siana, które ocalało wobec wyniszczenia i rozkradzenia inwentarza. Jedno zapole tej stodoły pełne było siana aż po wiązania krokwi. Tam Szczepan krył swój worek z kaszą. Tam również postanowił przechowywać w nagłym razie powstańca. W głębi zapola, od szczuty poczynając, wybrał i wydrążył w sianie rodzaj studni na jakie siedm, ośm łokci głębokiej. Ponieważ to siano było dobrze w ciągu jesieni i zimy uleżałe i spodem tęgo zbite, studnia owa miała ściany twarde i trzymające doskonale linię, jak cembrowina. Na samem jej dnie wyborował nadto dla oddechu rodzaj leja prowadzącego w stronę otwartej ściany zapola. W ruinach gorzelni wynalazł dawne, okute drzwi, które w czasie pożaru opaliły się na rogach i miały kształt eliptyczny. Tą pokrywą,—wybrawszy dla niej w sianie odpowiednią do wielkości framugę,—nakrywał studnię, niby wiekiem. Na wierzch drzwi kładł znowu warstwy siana, co zasłaniało kryjówkę nie do poznania. Jednocześnie pomyślano o przypuszczalnem ubraniu chorego.

Wynaleziono w szafach podróżne futro pana Rudeckiego, grube i długie niedźwiedzie, oraz buty futrzane. Trzymano to pod ręką wraz z dwoma nowymi postronkami znacznej długości.

Panna Salomea sypiała początkowo w zimnym salonie, przytykającym do jej dawnej alkowy, a obecnie legowiska chorego. Ale obawa, żeby nie przespać ostrzegawczego sygnału, zmuszała ją do trzymania otworem drzwi do tej alkowy, gdzie było właśnie umówione okno. Nadto w owej nieopalanej sali było nieznośne zimno, co śpiącej na sienniku, rozciągniętym na podłodze, szczególnie dawało się we znaki. Opalać sali nie było sposobu, bo Szczepan rąbał już oddawna płoty ogrodu i całego obejścia, a i tego ledwie starczyło pod komin w kuchni i do pieca sypialnej izdebki. Nie było tedy rady. Panna Salomea, zwana w rodzinie i przez wszystkich Miją,—musiała przenieść się na noc do swego dawnego pokoiku, czyli do sypialni księcia. Tu na sofce, na pół tylko rozbierając się z sukien, okryta futrem niedźwiedziem, drzemała przy chorym. Codziennie, gdy wypadało iść na spoczynek, wstyd ją ogniem oblewał i lęk o złe posądzenia chwytał za gardło. Trwoga przed zdradzeniem się z bytności w domu tego człowieka zmuszała do pominięcia takich względów. Gdy trzecią noc, na pół śpiąc, spędzała przy chorym, który bredził w gorączce, jęczał i stękał,—nagle rozległy się cztery uderzenia w okiennicę. Później jeszcze raz cztery... Stukanie było gwałtowne i szybkie. Panna Mija zerwała się momentalnie na równe nogi,—w skok przebiegła sionkę dzielącą alkowę od kuchni, i zbudziła kucharza. Stary natychmiast przydreptał, mrucząc po swojemu. Krzyknęła mu do ucha, że idą i co tchu zabrała się do ubierania Odro-

wąża. Wciągnięto mu na nogi grube dolne ubranie i futrzane buty, odziano go w szubę niedźwiedzią,—pod kolana i pod pachy zarzucono pętle z postronków, a mocny starzec podsadził się pod ten ciężar, jak pod wór ze zbożem. Panna Mija zadała mu brzemię na plecy, otwarła kluczem wyjście z sionki na tylny ogród i zamknęła drzwi nanowo. Stary Szczepan brnął w górę po śniegu, sapiąc i stękając pod nadmiernym ciężarem. Przydźwigawszy rannego do stodoły, bocznem, przygotowanem zawczasu wejściem po pochyłości siana w zapolu wgramolił się na wierzch stosu, wynalazł omackiem zapadnię, nakrytą drewnianem wiekiem i, nakazawszy księciu grobowe milczenie, zabrał się do dzieła. Odwalił wieko, ujął w lewą i prawą rękę końce postronków i począł ostrożnie spuszczać rannego w ciemny otwór. Umieściwszy go na dnie, przywiązał końce obudwu sznurów do ocalałego skobla drzwi, zamknął otwór i zawlókł, zatatrał deskę sianem. Udeptał to miejsce starannie, zsunął się chyżo na dół, zamknął na klucz szopę i prędko wrócił do dworu. Pociemku minął kuchnię, sionkę i stanął w sypialni. Pierwszą jego myślą było to, żeby przesłać łóżko powstańca. Już nad tem panna Mija pracowała. Poduszka była w wielu miejscach pokrwawiona od ran, które wciąż jeszcze broczyły i przemaczały nieumiejętnie założone bandaże. Tosamo było z kołdrą i materacem. Pośpiesznie zmieniali obydwoje poszewki i kładli czyste prześcieradła. Właśnie kończyli tę czynność, gdy za ścianami domu dał się słyszeć tętent koni, łoskot licznych, miarowych kroków, a gwar rozmów ze wszech stron dwór osaczył. Wnet na obudwu gankach rozległy się uderzenia we drzwi, kołatanie kolbami w pozawierane okiennice i krzyki na całe gardło, żeby otwierać. Szczepan nie odrazu poszedł

spełnić ten rozkaz. Wyniósł przede wszystkiem pociemku skrwawione powłoczki oraz prześcieradła i ukrył je w jakichś niedostępnych kryjówkach chlebowego pieca, gdzieby ich sam dyabeł nie odnalazł. Dopiero, gdy już łomotanie we wszystkie drzwi i okiennice było tego rodzaju, że groziło wyrwaniem ich z zawias, poszedł na ganek główny i drzwi wejściowe otworzył. Dostał tam zaraz odpowiedni poczęstunek. Panna Salomea zapaliła swoją latarnię i czekała w zimnym salonie.

Drzwi się z trzaskiem otwarły i wtargnęła cała grupa oficerów w **kepi** na głowach obwiązanych baszłykami, w grubych butach i zimowych szynelach, na których połyskiwały pasy od szabli i ładunków. Na czele oficerów szedł ich zwierzchnik, major czy podpułkownik, człowiek starszy wiekiem, z siwemi wąsami i bokobrodami. Wkroczywszy do dużego pokoju, oficerowie skierowali się do panny Salomei i otoczyli ją kołem. Starszy łamaną polszczyną zapytał:

— Kto pani jesteś?

— Krewna gospodarzy tego dworu.

— A sami gospodarze gdzie są?

— Pan Rudecki, mój opiekun, jest w mieście podobno w więzieniu, a jego żona pojechała, żeby się starać o uwolnienie męża.

— A synowie ich gdzie są?

— Jedni są w szkołach.

— Gdzież to? W jakich szkołach?

— W Krakowie.

— A inni?

— Inni powyjeżdżali i nie wiem, gdzie są.

— To pani nie wiesz, gdzie oni są?

— Nie wiem.

— Panna sama jak się nazywasz?

— Brynicka Salomea.

— To ojciec pani był tu rządcą majątku?

— Tak.

— A on gdzie jest?

— Wyjechał.

— Dokądże to "wyjechał"?

— Nie wiem. Konie tu wszystkie porozkradali, cugowe i fornalskie, to tatko pojechał pewnie szukać tych koni. Podobno aż pod pruską granicę pognali złodzieje na tych koniach.

— Pod pruską granicę—proszę. Dawno też tak już pojechał "tatko" tych koni szukać?

— Już dosyć dawno.

— To jest ile tygodni?

— Nie pamiętam, cztery, czy pięć.

— Pilnie tych koni skradzionych szuka. No, a my znowu ze swej strony dokładnie wiemy, że tatko nie jest tak daleko. Wiemy także, że pani we dworze powstańca ukrywasz. Kto to jest ten powstaniec? To ojciec pani?

— Tu we dworze niema żadnego człowieka, oprócz mnie i tego oto starego kucharza, Szczepana Podkurka.

— Zobaczymy. A ja pannie radzę przyznać się, gdzie ten buntownik jest, miejsce jego kryjówki dobrowolnie pokazać. Ja stary człowiek jestem, bez winy karać nie lubię, a znajdę rannego,—i jemu i pani źle będzie! Wtedy już pobłażać nie będę. Więc jak?

— Niema tu nigdzie żadnego rannego. Proszę szukać.

— Panna mię nie proś, bo ja sam każę. A radzę jeszcze raz kryjówkę pokazać. Mam wiadomość pewną i dokładną. Tu wszedł na gumno parę dni temu człowiek poraniony, cała wieś go widziała, a nie wyszedł stąd. Gdzie on jest?

— Może wszedł, bo tu przecie niemało ludzi się przewija. Płoty porozgradzane, budynki spalone. Gdzie tu kto może co wiedzieć?

— Więc panna nie pokażesz kryjówki?

— Nie pokażę, bo nie wiem, gdzie on tam jest. Tu w domu niema nikogo.

Major skinął na podoficera stojącego przy drzwiach i do pokoju wnet weszło grono żołnierzy z latarniami. Jedni z nich natychmiast zaczęli spoglądać pod kanapy, do szaf, za piece, i na piece, a inni ruszyli do izb sąsiednich, przesuwając z miejsc sprzęty, przewracając graty, stukając w ściany i podłogi. Dwaj młodsi oficerowie zwrócili się do panny Salomei z żądaniem, ażeby im otworzono zamknięte na klucz drzwi do wielkiego salonu. Młoda gospodyni kazała Szczepanowi przynieść klucz i otworzyć. Stary poszedł do sąsiednich izb i tak długo szukał owego klucza, że to wzbudziło podejrzenia i rozpaliło pożądliwość. Gdy nareszcie przyszedł z kluczem, podał go jednemu z oficerów. Ten wrzasnął nań z okrucieństwem:

— Kpie jeden, ruszaj otwierać!

Starzec nie drgnął nawet. Stał na miejscu. Zdaleka podając klucz, mówił:

— Ja nie będę otwierał tych drzwi, ani tam nie pójdę.

— Ty! Jak śmiesz. Otwieraj natychmiast!

— Nie otworzę. Sami otwierajcie.

— Dla czegóż to, kochanku, nie chcesz nam tych drzwi otworzyć?—słodko zapytał major.

— Dla tego, że nie moja rzecz tam chodzić.

— Czemu?

— To panów pokój.

— Jakto panów?

— Nieboszczyka pana, Panie mu ta świeć. Chcecie, to idźcie, a ja nie pójdę.

— Dla czego?

— Bo nieboszczyk pan nie lubi, żeby mu ta łazić i spokój zamącać—mruknął kucharz.

— Co wygadujesz, stary grzybie?

— Prawdę gadam.

— Co to takiego? Czemu on nie chce wejść do tamtego pokoju?—zapytał major, zwracając się do panny Brynickiej.

— Mówi prawdę—mruknęła niechętnie.

— Jakto?

— W tamtych pokojach jeszcze mieszka dawno zmarły brat pana Rudeckiego, Dominik.

Oficerowie zachichotali. Major spytał:

— A i pani widziała to może, jak tam mieszka ów zmarły?

— Widzieć nie widziałam, alem słyszała, jak tam, u siebie gospodaruje, chodzi, trzaska, przerzuca beczki z miejsca na miejsce.

Oficerowie spojrzeli po sobie, porozumiewając się oczyma, że tu leży wybieg. Któryś z nich popchnął Szczepana Podkurka, żeby szedł przodem i świecił latarnią. Ale kucharz szarpnął się i cofnął, mówiąc:

— Niechże se też jaśnie państwo samo idzie.

— Milcz i—naprzód!

— Przyszliście i pójdziecie, a ja tu muszę z nim ostać.

— Z kim, durniu?

— Z panem, z Dominikiem.

— Toś go znał?

— Jużci, żem go znał, bo to mój pan.

— Przecie już nie żyje!

— Ja nie głupi jemu się przeciwić.

Przekręcono klucz w zamku i otwarto drzwi do wielkiego salonu. Drzwi te ustąpiły z trudem, ze zgrzytem i trzaskaniem pokostu, który z podłogi przywarł do powierzchni dolnych listw i na stałe zasechł. Z sali wionęła wilgoć i zimno pustki. Gdy wzniesiono latarnie i oświetlono tę wielką salę, ukazały się oczom oficerów kadzie okute obręczami, kufy z wielkich klepek, beczki i baryłki rzędem stojące. Między nimi wisiały stare pajęczyny, na których grubą warstwą kurz osiadł. Posadzka była wywoskowana i lśniąca. Połyskiwały złocone gzemsy stiuku, a pośrodku sufitu zamajaczał wyblakły plafon. Na jednej ze ścian wisiał portret mężczyzny o rysach surowych i pięknych, o złośliwym uśmiechu. Oprócz tego malowidła nie było tu nic z dawnego salonu,—ani mebli, ani sprzętów. Kadzie, rzędem stojące w tem miejscu, sprawiały na widzach wrażenie dzikości i obłędu. Oficerowie zbliżyli się do nich, zaglądali w głąb każdej, świecąc latarniami, czy gdzie powstaniec na dnie się nie ukrywa. Ale po najszczegółowszem zbadaniu przekonali się, że te wszystkie naczynia są puste. Otwarli tedy jeszcze jedne drzwi, z tego salonu prowadzące do pokoju, gdzie mieszkał i odebrał sobie życie Dominik Rudecki. Tam oczom obcych przychodniów przedstawił się widok jeszcze bardziej przykry. Był to długi i pusty pokój z zapuszczonemi roletami. Kilka krzeseł wyplatanych stało tam i sam. Na ziemi poniewierały się jakieś stargane papiery. Szczepan, którego siłą do tych izb wprowadzono i wypchnięto naprzód, ażeby świecił, drżał na całem ciele, żegnał się, rzucając oczyma po kątach. Zbadawszy szczegółowo podłogę, ściany, okna i drzwi, po stwierdzeniu, że niema stamtąd wyjścia, ani drzwi ukrytych, oficerowie zabrali się do odwrotu. Te pokoje spra-

wiły na nich niemiłe wrażenie. Zimny dreszcz wszystkich obleciał. Nie można powiedzieć, żeby się czegokolwiek lękali, lecz poczuli szczególniejszy, odrażający niepokój. Zdawało się w istocie, że w tych dwu salonach, które od całego szeregu lat były na głucho zamknięte, ktoś stoi naprzeciwko przybywających gości i ze straszliwie szyderczą wyniosłością przyjmuje ich w tych ścianach. Oficerowie zwolna, żeby trwogi nie okazywać, opuszczali duży salon,—latarnie wyniesiono,—drzwi znowu na klucz zamknięto. Wtedy dopiero wszyscy uczuli, że "tamta strona" jest to w istocie miejsce obrzydłe, i zrozumieli, że tam mieszkać nie sposób.

Tem pilniej zaczęto rewidować pokoje zamieszkane, aczkolwiek w danej chwili zupełnie puste. Przetrząśnięto wszystko, przewrócono na nice—i nie trafiono na nic podejrzanego. Szczególniej badawczo oglądano pokój panny Salomei. Mebli tam było niewiele, więc ze zdwojoną uwagą ręce żołnierskie rozbierały łóżko i wywracały sofkę. Miano już w braku jakichkolwiek danych przejść do kuchni, śpiżarni, a także do przyległych bokówek,—aliści jeden z rewidujących spostrzegł na odwrocie materaca ślady krwi. Dał o tem znać dowódcy i jego podwładnym. Starszyzna zeszła do sypialni i oglądała z uwagą ów materac. Panna Brynicka stała w sąsiedztwie swej pościeli, otoczona przez oficerów, którzy jej się przyglądali ze śmiechem i brutalną bezwzględnością. Na zapytanie majora, co znaczy ta krew na materacu,—milczała. Twarz jej była blada, oczy spuszczone na ziemię. W zaciśnięciu jej ust, w rozpostarciu się królewskich brwi, w opadłych na oczy powiekach było tyle odpychającej dumy i obojętności, że to wojskowych podburzało do zemsty.

—Co znaczą te ślady krwi?—nastawał major.

Milczała.

— Skąd się tu wzięła krew na tym materacu?

Milczała.

— Czy pani powiesz, co to znaczy?

Milczała.

— Co to jest?—krzyknął jeden z oficerów, podsuwając jej pod oczy zakrwawiony materac.

— To jest ślad krwi,—odpowiedziała spokojnie.

— Czyjej?

— Mojej.

Powiedziawszy to słowo męczeńskie i bohaterskie, —zdobywszy się wobec tych wszystkich mężczyzn, noszących oręż, na najwyższe dziewicze poświęcenie, spłonęła nagle od pożaru wszystkiej krwi, która w jej żyłach pędziła. Zdawało się, że ją krew ta zaleje i że ją wstyd udusi. Oficerowie pomrukiwali z chichotem, szturchając się i szepcąc pomiędzy sobą dowcipne komentarze. Panna Salomea uspokoiła się. Cierpliwie słuchała przyciszonych szyderstw, drwin i kpiarskich pokasływań. W pewnej chwili podniosła oczy i objęła ich wszystkich jednem spojrzeniem bezgranicznej wzgardy. W spojrzeniu tem błysnęła sobie samej wiadoma, zamknięta w milczeniu myśl, że wśród nich wszystkich ona jedna, wyśmiana kobieta, jest w istocie oficerem. Stary major, ojciec licznej rodziny, dorosłych córek, od dawien dawna w Polsce mieszkający, począł się drapać po bokobrodach i coś zagadał do swych subalternów. Rewidującemu podoficerowi rozkazał:

— No szukać tam dalej! Marsz! Tu nic ciekawego niema.

Sam wyszedł do sąsiedniego pokoju. Tam oficerowie,—jedni na kanapie, inni na sofie, a reszta wprost

na dywanie podłogi rozciągnięci w ubraniach,—pociągali z manierek.

W drugiem skrzydle dworu, w kuchni i spiżarni, w składach i drwalniach odbywała się rewizja. Nadszedł podoficer i zameldował, że we dworze nic podejrzanego nie znaleziono. W spiżarni niema ani kawałka chleba, ani szczypty mąki. Oficerowie klęli i stękali.

Panna Salomea pozostała w pokoiku sama, w głębokiem pogrążona zamyśleniu. Obok niej na stole płonęła latarnia, oświetlająca twarz i postać. Wojownicy, zgromadzeni w salonie, patrzeli ze swych miejsc na pannę Miję i nie mogli oderwać od niej oczu. Pewien chudy, kościsty blondyn z długiemi wąsami, leżąc na dywanie, potrącił nogą towarzysza i szepnął z westchnieniem:

— Ależ dziewka!

— Krasawica—zgodził się tamten.

— Raskrasawica!—dorzucił trzeci, niepytany.

Po chwili znów rozszerzył się między nimi szept:

— Ależ dziewczyna!

Major, stękający na najszerszej sofie, mruknął do zachwyconych:

— No, panowie, dajcie-no pokój tym szeptom. Spać trzeba, nie szeptać.

— Spać tu trudno.

— Zamknąć oczy i spać.

— I oczy zamknąć trudno.

— No, nic z tego, nic z tego.

— My też tylko platonicznie wzdychamy.

— A platonicznie wzdychać można, byle pocichu i każdy na swem posłaniu. Jabym się choć z kwadrans rad zdrzemnąć.

Oficer jazdy, dragon, jak topola, nazwiskiem Wiesnicyn, wszedł ze dworu z doniesieniem, że polecił pilnie zrewidować stodołę, gdzie jest zapole pełne siana,—oraz, że tam wprowadzone zostały wszystkie konie jego oddziału. Raportował nadto, że żołnierze półszwadronu dragońskiego ułożyli się do snu pokotem na sianie,—że warty są daleko porozstawiane i wszystko w porządku. Major podziękował jeźdźcowi za wypełnienie ścisłe rozporządzeń, tudzież za raport,—przekręcił się na bok i zabrał do snu. Panna Salomea słyszała ów raport i rozważała w myślach jego sens i znaczenie. Serce w niej zadrżało i obumarło. W ciemnym rogu salonu przysiadł na wolnym stołku wysoki dragoński oficer, Wiesnicyn. Patrzał w oświetlone drzwi pokoju i na stojącą w głębi dziewczynę. Doświadczał zarazem szczęścia i męczarni. O takiej chwili widzenia tej istoty marzył w szarugi, podczas zimnych pochodów po lasach i ciągnąc zapadłemi drożynami. Była w nim ta twarz, ta postać, jak czarodziejskie widziadło, nieprawda marzeń, żądza i zemdlenie,—rozkosz,—pasja,—tęsknota. Raz ją był ujrzał, krasawicę, gdy temi stronami ciągnął jednego z pierwszych dni po wybuchu powstania. Zapamiętał od pierwszego spojrzenia, zachwycił się raz na zawsze. Coś w nim rozegrało się, jakoby głos niewiadomej, niesłychanej muzyki od wspomnienia tej twarzy. Tęsknił za nią dzień i noc. Och, jakże straszliwie pragnął, żeby rozkazy pognały go w tę stronę, żeby jeszcze choć raz jeden w życiu iść na ten dwór! Zobaczyć, popatrzeć! Tylko popatrzeć! I oto los dał mu chwilę. Szczęście nie tylko pozwoliło tu przyjść, lecz nadto otwarło drzwi. Stała tam sama jedna, od wszystkich opuszczona. Burza wściekła huczała w duszy jeźdźca, gdy podparty na ręku patrzał.

Przy drzwiach, prowadzących do sionki, stał żołnierz z karabinem. Panna Salomea nie mogła iść do kuchni, żeby się ze Szczepanem naradzić. Usiadła tedy na łóżku i, podparłszy głowę na rękach, czekała. Serce jej targało się w piersiach, jak dzwon. Zdawało się, że bicie usłyszą śpiący i, że ten alarm serca wszystko wyda. Każdy odgłos i każdy szelest był zwiastunem nieszczęścia. Jakże nieskończenie długo trwały minuty tej nocy! Tymczasem Szczepan, którego pociągnięto, żeby pokazywał zabudowania, piwnicę w ogrodzie, ruiny gorzelni i doły po kopcach kartoflanych, asystował, po zbadaniu całego obszaru, przy czynnościach przygotowawczych do noclegu żołnierskiego w stodole. Patrzał, jak wprowadzano tam konie, jak wydzierano dla nich z zapola wielkie półkopy siana. Przysłuchiwał się głuchemi uszyma. Żołnierze wdrapywali się na wierzchołek masy siana, a rozpostarłszy na niem szynele, walili się spać, zarówno w kątach, jak nad kryjówką powstańca. Zachodził w głowę, czy on żyje, czy już skapiał. W prostackiej szczerości i bezwyjściu uczuć prosił Boga o to drugie. Powinienby był stać obok panny, gdyż była sama jedna wśród oficerów, lecz nie mógł odejść, ponieważ wachmistrz oddziału dragonów nie puszczał go na krok od siebie. Szczepan rozmyślał, co czynić, jeżeli stodołę podpalą,—czy niema jakiego środka ratunku dla ukrytego "chudziaka". Gruby, brodaty wachmistrz kazał mu nadrzeć siana i usłać łoże na klepisku stodoły. Stary kucharz pracował, nasłuchując, o ile się to na co zdać mogło przy jego głębokiej głuchocie. Umizgał się do wachmistrza, na wszystko się zgadzał, potakiwał i przytwierdzał, śmiał się doń, raz wraz wystawiając ku niemu dziurę w górnej szczęce. Wachmistrz poganiał go i niepobłażliwie szturchał, ziewając na całą stodołę. To też

starowina biegał to tu, to tam, znosił nowe wygraby siana, słał równo, układał coś w rodzaju poduszki pod głowę, a wciąż niewolniczo przymilał się potentatowi. Gdy ten runął wreszcie w szyneli i w butach na przygotowane legowisko, Szczepan przycupnął w kącie, zwinął się w kłębek i niepostrzeżony czekał, patrząc w grubą ciemność. Zapomnieli o nim. Rozlegało się ze wszech stron chrapanie żołnierzy. Parskały konie. Starzec począł ostrożnie i zwolna czołgać się w górę stosu siana, ku miejscu, gdzie była kryjówka. Czynił to umiejętnie, wymijając śpiących żołnierzy. Gdy się znalazł na miejscu wiadomem, gdzie bezpośrednio nikt nie leżał, zagrzebał się w siano i, przyłożywszy ucho do deski, słuchał z całej mocy zmysłu. Nie dochodził go z dołu odgłos, ni szmer. Nic. Szczęk kopyt końskich na klepisku, chrupanie siana, chrzęst żelastwa, strzemion i tręzli, senny pomruk ludzki—i szum wewnętrzny, wieczysty starczej głuchoty, jakoby odgłos morza nieskończoności, który w sobie wszystko pochłania. Chłop westchnął. Żal mu było młodzieńca, przydźwiganego na to miejsce z takim trudem, w tym celu, żeby tu zginął. Żal mu było własnego dzieła, które tak dobrze, widziało się, obmyślił.

— A światłość wiekuista niechże mu ta świeci— wzdychał, patrząc w mrok próżni, wygrzebanej własnemi rękoma, którą niemal widział pod sobą. Targały się w nim wszystkie siły i wytrwała, żelazna wola, żeby wieko odwalić i wyciągnąć nieszczęśliwego,—lecz chłopski, przebiegły rozum zabraniał. Szczepan leżał na tem miejscu długo w martwej, bezsilnej męce, okrutniejszej, niż wszelkie słowo. Krwawiło się w nim stare serce, z którego łzy wszystkie dawno już wyciekły.

Znowu na bałyku wyczołgał się ku pewnej dziurze w dachu, sobie tylko wiadomej,—wysunął się nazewnątrz i po drabinie zlazł na ziemię. Jak cień przemknął się ogrodem, po zastodolu, przez chwasty i rozgrodzone okólniki, w mroku obszedł warty i, niby bezszelestny upiór, wcisnął się do kuchni. Minął omackiem tę kuchnię i sionkę przyległą. Przez dziurę od klucza padał w ciemne przejście wytrysk światła. Szczepan przyłożył do otworu oko i zobaczył pannę Miję, siedzącą na łóżku z głową podpartą na ręce. Coś jak radosne szczekanie psa w ciemną noc rozległo się w ogłuchłem na wszystko, zestarzałem jestestwie, w mrocznym obszarze ducha, gdzie była tylko samotność i odraza. Tak już został za plecami sołdata, za drzwiami, z okiem przy dziurze od klucza, skulony, bezsenny pod progiem.

IV.

Wczesnym rankiem wojsko zebrało się i uformowane w szeregi odeszło. Padał rzęsisty deszcz ze śniegiem. Wył wiatr. Odchodzący byli źli, głodni, niewyspani i strudzeni, zanim ten nowy marsz rozpoczęli. Najpóźniej opuścił obejście w Niezdołach półszwadron konnicy, który był zajmował stodołę. Po odejściu wojska zostało w domu i na dziedzińcu mnóstwo odpadków, brudów i zaduchu. Panna Salomea, stojąc w ganku, patrzyła na szeregi żołnierzy, zatapiające się w szarudze poranka. Trzęsło ją zimno wewnętrzne. Pragnęła coprędzej, coprędzej biec do stodoły i wyciągać rannego z kryjówki. Tymczasem Szczepan, zamiast iść do stodoły, wdrapał się po schodkach z kuchni prowadzących —na strych dworu. Pobiegła za nim. Stary wczołgał się w okienko dymnika i obserwował wojsko, niknące we mgle. Na prośby, żeby tym ostrożnościom dać pokój, odpowiadał pogardliwem milczeniem. Wtuliwszy się w tenże występ dymnika, patrzyła, zaciekawiona, co stary tyle ważnego w dali spostrzega. Nic nadzwyczajnego nie było widać. Piechota w postaci ciemnych kwadratowych brył posuwała się drogą przez łąki,— zagłębiła w daleką wieś pod lasem,—wreszcie znikła. Za nią w półwiorstowej odległości ciągnęła w tymże kierunku ruda grupa dragonów. Konie z jeźdźcami stopiły się w jednolitą masę uderzającego kształtu, który zdawał się rozdzierać szarugę. Panna Salomea

oczyma zgasłemi od bezsenności przypatrywała się tej ciemnej figurze, gdy wtem kucharz trącił ją w ramię z pogardliwym chichotem. Zmrużonemi oczyma patrzał w przestrzeń i pokazywał tam coś palcem. Przyjrzała się temu i zobaczyła, że od owej bryły dragońskiej odpadł jakgdyby odszczep końcowy i przemierza szybko przestrzeń w odwrotnym kierunku.

— Co to znaczy?—zapytała.

— Chciały nas zmanić i chycić na gorąco. Chodźwa na dół, każde do swego miejsca.

— Myślicie, że się tu wrócą?

— No!

— Przecie już zrewidowali wszystko.

— Znam ja jeich manier. Chodźwa!

Zeszli na dół z pośpiechem. Szczepan udał się do kuchni, rozpalił ogień i począł spokojnie szorować garnki i sagany. Słychać było odgłos jego miarowej, od niezliczonego szeregu lat tejsamej pracy,—i głos monotonnej, zgryźliwej śpiewki, którą zawżdy mruczał, przedrzeźniając nieudolnie jakąś pańską melodię:

U mojej mamy niebogi
Pływają w zupie stonogi.

Panna Salomea przyczaiła się z "robótką" w ręku pod oknem dużego pokoju, gdzie poprzednio nocowali oficerowie. Nie siedziała tam kwadransa czasu, gdy za oknem rozległ się tętent koni pędzących galopem i osadzenie ich na miejscu. Oficer dragonów Wiesnicyn z trzaskiem roztworzył drzwi, przebiegł sień i stanął na progu pokoju. Roziskrzonemi oczyma mierzył samotną mieszkankę tego dworu. Wstała po jego wejściu ze swego miejsca i patrzyła weń z pogardliwem wyczekiwaniem. Nie zdjął czapki, ani nie rozwiązał końców

swego baszłyka. Z butów i rzemiennych pasów jego uzbrojenia woda ściekała na podłogę. Kilku szeregowców weszło za nim do pokoju. Skinął, żeby przeszukali dwór. Żołnierze rozbiegli się po stancjach. Wiesnicyn został sam z panną. Patrzał na nią ze swym niesłabnącym, obłąkanym zachwytem. Mruknął zruska po polsku:

— Pani nie spodziewała się takich gości.

Wzruszyła ramionami i nic nie odrzekła. To go zmięszało i obezwładniło. Nie wiedział, co mówić. Czekał na rezultat ponownej rewizji. Po pewnym czasie niezręcznie i niepotrzebnie mruknął w sensie tłomaczenia:

— Ja tu nie ze swej chęci. Rozkaz taki. Służba nie drużba.

Nie zwróciła na to uwagi. Czując dobrze w spojrzeniu i ruchach tego oficera wrażenie swej piękności, uczyniła się świadomie, z umysłu stokroć piękniejszą i z całej mocy tego powabu, pewnego siebie, stworzyła sobie jakby puklerz obronny. Usiadła w rogu kanapy i poczęła obojętnie szyć, nucąc półgłosem, jakby obok niej nikogo w pokoju nie było. Niedbale poziewała. Tarła zziębnięte ręce. Wyjrzała oknem. Oficer stał w temsamem miejscu, patrząc na nią oczyma, które zawlekło bielmo rozkoszy i żalu. Po pewnym czasie, gdy rewidujący żołnierze nie nadchodzili, spytała wyniośle:

— Czy to ja jestem aresztowana w tym pokoju?

— Nie.

— Zimno mi. Chcę sobie wziąć chustkę z tamtej stancji.

— Proszę.

— Może pan pośle sołdata, żeby patrzał, jak będę brała chustkę.

— Nie trzeba.

— Cóż za łaska!

Odeszła do swego pokoju i, siadłszy tam pod oknem, wyglądała na świat. Oficer przez otwarte drzwi wciąż na nią patrzał spodełba. Łagodny blask smutnego dnia spływał na jej czarne włosy, prosto przygładzone, świecące się jak migotliwy atłas,—na szyję niepokalanie pięknego kształtu,—na zaróżowioną barwę policzków,—na zagięte długie brwi i ponsowe usta. Postać jej tworzyła obraz, którego widok doprowadzał zachwyt do szału. Każdy ruch jej głowy był kształtem, albo skinieniem doskonałości. Gdy westchnęła, nieopisany wyrzut uderzał w serce żołnierza. Skoro spojrzała pogardliwie, dosięgało uderzenie, jak pocisk hańbiący. Świat, w którym błądziły jej myśli, przez który szła jej dusza,—kraina, gdzie był jej smutek,—to było olśniewające widzenie piękna, które się zawierało natychmiast. Oficer nie ruszył się z tego miejsca, na którem stanął. Gdy żołnierze jego wrócili z doniesieniem, że nic podejrzanego nie znaleźli,—odwrócił się i, nie rzekłszy słowa, nie rzuciwszy okiem,—wyszedł,—wskoczył na siodło i odjechał na czele swego oddziału. Panna Salomea również nie odwróciła głowy. Płakała. Obfite, gorzkie łzy lały się z jej oczu na skutek odczucia nędzy, wśród której ciągle żyła. Przewidywała, że powstaniec ukryty w sianie zadusił się, albo umarł z upływu krwi. Myślała o ojcu, terającym się w obozowiskach,—o chłopcach krewniakach, co tak straszliwie w zaraniu młodości poginęli,—o wszystkich, którzy się z tego domu rozpierzchli. Wspominała na niepokój i strach nocny, co czekał rozpostarty za mijającym dniem, co się roz-

ciągał na nieprzeliczony szereg bezdennych nocy. Wpatrywała się w brutalstwo siły, której nic nie mogło złamać, której okrucieństwu nic nie mogło położyć tamy. Cóż począć, jeśli Szczepan ucieknie? Co począć, jeśli go powieszą po odnalezieniu powstańca? Co począć, gdy już nikt z krewnych nie wróci do tego przeklętego domu, gdzie rządzi sam jeden, triumfujący Dominik? Zatargała nią głucha i ślepa boleść. Szarpnęła nią rozpacz, jak wicher gałązką drzewiny. Nie chciało się już myśleć o niczem, żadnej roboty przedsiębrać, nic, co należy wykonać. Była od tylu nocy niewyspana, przemęczona, wewnętrznie zziębnięta i pełna rozstroju. Łkała bez ulgi i bez nadziei pocieszenia, wisząc na poręczy łóżka.

Szczęknęła klamka. Wszedł stary. Spodełba spojrzał na płaczącą i coś po swojemu wybełkotał. Wzruszał ramionami.

— Trza będzie iść. Cóż ta z beków!

— Gdzie znowu iść?

— Po tamtego. Panna nie wie...

— Chodźmy!

— Ale! Trza jeszcze naglądać.

— Już trzeci raz nie wrócą.

— Czort ich ta wie, czy gdzie podglądacza nie zostawiły.

— Będziemy uważać.

— To niechże panna Salomeja, zamiast buczeć po próżnicy, wyjdzie oto za dwór i pochodzi se ogrodem to tu, to tam. A patrzeć, czy gdzie jakiego niema. Może taki i na górze w krzakach siedzieć i dopiero patrzeć.

— Pójdę na tę górę!

— To jest dobre. Ino iść z nieobaczka, tak se ta. Postać, popatrzeć—i znowuj na inne miejsce. Z góry

dobrze naglądać, co jest w okolicy. Jak by się zaś gdzie kto wałęsał, dać mi znać w te pędy.

— Dobrze,—idę.

Wymknęła się za dwór i spacerowała, jak Szczepan kazał. Weszła powoli na górę, jałowcem i chróstami zarosłą, która wznosiła się tuż za ogrodem. Śnieg tam leżał, od deszczu przemoknięty. Tulił się w dołach i w głębi kęp zarośli. Och, jakże odrażające było to miejsce, widziane z góry! Spalone budynki, rozerwane płoty, wyrąbany i na pół zwęglony ogród. Pustkowie. Opuszczony, czarny, jakgdyby hańbą przyciśnięty stary dwór. To są Niezdoły, gdzie przez tyle lat bawiła się cała okolica, gdzie hulano do białego dnia, przez następny po balu—i znowu w nocy, co się zowie do upadłego...

Rozpatrując się po okolicy, panna Mija nie dostrzegła nikogo. Ani jeden człowiek nie poruszał się w tym obszarze. Wojsko dawno w lasach znikło. Zaczajona między krzakami patrzyła pilnie. Nareszcie!... Szczepan wyszedł z kuchni i ruszył nad rzekę. Czaił się za ogrodem, wałęsał poza gorzelnią, nawracał. Wreszcie, dobrze opatrzywszy miejsce, szybko wszedł do stodoły. Mijały długie minuty. Serce poczęło bić w piersiach panny Salomei. Zdawało się jej, że upłynęły godziny, odkąd starzec otwarł wrótnie... Nie mogła wytrzymać. Chyłkiem zbiegła z owej góry,—przebyła ogród i dziedziniec. Wsunęła się do stodoły, wdrapała na siano. Wbrew oczekiwaniu Szczepan nie powitał jej złorzeczeniem. Odwalił był już wieko z nad studni w sianie i wyciągał chorego. Nie mógł mu dać rady. Co go wydostał na połowę wysokości dołu, to się pośliznął w sianie, padał na wznak, a z nim razem Odrowąż w swój grób. Ranny jęczał w ciemnicy. Usłyszawszy

ten jęk, obydwoje uradowali się bardzo i podwoili wysiłek. Szczepan polecił pannie Salomei zarzucić koniec jednej z linek na ramię i ciągnąć. Sam ujął drugą i przerzucił ją także przez ramię. Poczęli obydwoje odsuwać się we dwie strony od dołu, ciągnąć postronki z całej mocy. W taki sposób wydobyli na wierzch nieszczęśliwego. Dostawszy go na powierzchnię, zbadali, że żył jeszcze, aczkolwiek był bezsilny i na pół uduszony. Szczepan rozkazał pannie znowu iść na górę i obserwować teren. Sam wytoczył z drugiego zapola stodoły ręczny wózek do ściągania drzewa. Zniósł na ten wózek chorego, przykrył go sianem, nawalił na wierzch suchej podściółki i gałęzi z opróżnionego kąta stodoły—i potoczył wózek do kuchni. Tam chorego rozebrał z futra i butów,—oczyścił, otrzepał, zaniósł i położył do łóżka.

Gdy panna Salomea wróciła do domu, zastała już swego protegowanego w pościeli. Był nieprzytomny, jakoś nadmiernie czerwony i opuchły. Oczy miał błędne i przekrwione,—twarz zsiniałą. Rany pootwierały się i przemoczyły bandaże tak dalece, że trzeba było na pościel położyć grube zgrzebne płachty, aby powtórnie nie mieć w krwistych plamach świadectwa przeciwko sobie. Panna Salomea zabrała się do zmiany bandażów i przewinięcia ran. Pasma pousuwały się z miejsca i rany były obnażone. Opatrując je nanowo, doświadczyła szczególnego wrażenia, jakie jej się nigdy jeszcze nie przytrafiło w życiu. Oto każdą ranę poczęła mieć w swem jestestwie i nie tylko ją widzieć, ale i czuć,—cierpieć w sobie tam, gdzie była w ciele chorego. W głowie, pod okiem, w ramionach, między żebrami i w prawem biodrze wynikły jakgdyby stygmaty, sobowtóry i żywe wizerunki zranień. Poczęła, opatrując rozdarcia

i urazy, ciosy i uderzenia, — wwiadywać się w nie, rozumieć je i pojmować w całości przedziwne, wzniosłe ich życie. Bez odrazy patrzyła na krew broczącą i żywe, poszarpane ciało. Gdy skończyła opatrunek, już zbliżał się zimowy wieczór. Chory usnął w głębokiej gorączce.

Przypadła na sofce i sama usnęła, jak kamień. Jakże się uczuła szczęśliwą, gdy po ocknieniu zobaczyła promienny dzień! Minęła tedy noc bez rewizji i bez zmor, przespana jednym tchem, szczęśliwie od początku do końca. Kanarek, jedyny przyjaciel, zaśpiewywał się we framudze okiennej na widok tak pięknego słońca. Kanarek ów nosił, nie wiadomo dlaczego, tajemnicze nazwisko,—Pupinetti. Miał na głowie czarną krymkę, czy pijuskę z ciemnych piórek, aczkolwiek sam był nieposzlakowanej żółtości. Panna Mija przywitała się z nim serdecznie, wołając nań ustalonym oddawna okrzykiem, który się między ich zażyłość niewiedzieć skąd i jak zaplątał:

— **A bas la calotte!**

Pupinetti przekrzywił główkę i, rozdymając gardziołek, począł wydzwaniać na cześć słońca pieśń najweselszą, najradośniejszą pod tem słońcem. Widząc, że zbliża się jego dobra pani, jął skakać z pręta na pręt i kołysać się w ruchomej huśtawce. To dziobnął ziarenko kaszy, to skubnął kapuścianego liścia okruszynę. Napił się wody i wołał przyjaciółkę prędkim, radosnym pokrzykiem. Nie lękał się ani jej groźnych rozkazów —**a bas la calotte!**—ani ręki wsuniętej do klatki. Przychylał tylko głowę, jakgdyby w istocie obawiał się o swą pijuskę, gdy go wzięła w rękę i całowała w dzióbek najśliczniejszemi usteczkami na obszarze ziemi.

Chory powstaniec rozwarł oczy półoślepłe z gorączki. Zwrócił ku swej opiekunce czerwoną twarz. Jakiś beł-

kot wypadł spomiędzy jego rozdętych warg. Stała nad nim z Pupinetti'm w ręce i pokazywała ptaszka biednemu wojownikowi. Zobaczywszy kanarka, coś pojął. Żałośnie—żałośnie uśmiechnął się. Panna Salomea puściła ptaszę z ręki. Przyuczony do siadania na jej poduszce, Pupinetti przyfrunął do wezgłowia nieznajomego intruza, zasiadł na poręczy, otrząsnął się, sprostował pióra. Zaśpiewał najradośniejszą, najpromienniejszą ze swych piosenek. Chory uśmiechnął się znowu. Zapomniał o męce życia i z rozkoszą słuchał.

V.

Kilka następnych nocy upłynęło spokojnie. Nikt nie nachodził opuszczonego dworzyszcza. Chory powstaniec spał po całych dniach i nocach w gorączce. Nie wiadomo było, czy przyczyną tej gorączki są rany, czy jaka inna wewnętrzna choroba. Opuchnięcie oka zmniejszyło się bardzo i czarna barwa podskórnych zacieków poczęła ustępować. Ukazały się powieki i zdrowa między nimi źrenica, która dobrze widziała. Założono tedy rozdarcie podocznej rany szarpią i obwiązano znowu policzek. Gdy ślady ciosów i stłuczeń znikały, wyłaniała się spod opuchlizny twarz jakgdyby inna. Odmiennie zarysował się kościsty, kształtny nos, białością zajaśniało nad czarnemi brwiami rozumne czoło. Najszybciej goiły się rany na głowie. Dawno niestrzyżone włosy, które panna Salomea co pewien czas myła i rozczesywała, zdawały się same, jak szarpie, kurować blizny zaschłe, choć jeszcze wciąż czerwone. Najgorzej było z postrzałem w biodrze. Ranny nie mógł wykonać najzwyklejszego ruchu, ani gestu bez kąsającej wciąż męczarni. Kula opuszczała się, widocznie, między ścięgami i żyłami, bo ból wychodził z miejsc coraz niżej w udzie położonych. Rana ta była wciąż otwarta i gnoiła się w sposób odrażający. Nie pomagało mycie jej i ciągłe oczyszczanie.

Pewnej nocy obudził pielęgniarkę rumor do drzwi i okien, ale odmienny, nie od Ryfki pochodzący. Ktoś

kołatał wielokrotnie i natarczywie. Burzono się także do okien części niezamieszkanej i do drzwi od ogrodu. Szczepan, natychmiast zbudzony, nie mógł już wynieść chorego na dwór, gdyż całe obejście było, widać, otoczone. Pociemku tedy wzięli obydwoje z panną Salomeą biedaka na ręce razem z pościelą, wynieśli co tchu do salonu Dominika i złożyli w jednej z pustych kadzi. Ledwie zdążyli tego dokonać, gdy łoskot dosięgnął najwyższego stopnia. Skoro drzwi zostały otwarte, okazało się, na szczęście, że byli to rodacy. Mały szczątek oddziału, odbity z partyi Kurowskiego po straszliwej klęsce miechowskiej, uchodząc dubeltowemi marszami pośród kolumn rosyjskich, dowodzonych przez Czernickiego i Ostrowskiego,—błąkając się po lasach, ostępach i wądołach,—dniem i nocą ścigany, trafił pociemku na Niezdoły. Wskutek ucieczki dwu z kolei dowódzców, oddziałek był bez zwierzchnika. Składał się z ludzi zgłodniałych, przeziębłych, zdrożonych do ostatka i bezprzykładnie rozbitych na duchu. Nie były to już fizyliery, nie kosyniery,—nawet nie "drągaliery," tak pospolite w powstaniu,—lecz ludzie niemal bezbronni. Ledwie weszli pod dach, natychmiast padli pokotem na ziemię i poczęli chrapać, jak na komendę. Kilku z nich wzięło się do szukania we dworze jadła i wódki. Zrewidowali śpiżarnię, kuchnię i pokoje, ale nic nie znaleźli. Przy tych poszukiwaniach musiała asystować panna Salomea. Gdy przetrząśnięto wszystkie faski i skrzynie, nie znajdując nic zgoła, zrozpaczeni i zgłodniali poczęli grozić. Jeden z nich wyrwał z za pasa pistolet i w rozbestwieniu, sięgającem granic obłędu, przystawił otwór lufy do czoła młodej gospodyni.

Wytrzymała z obojętnością dyabelstwo jego wzroku i czekała na strzał. Biedny okrutnik nie odrywał pisto-

letu,—i nie wiedział, co dalej robić. Stał z tą bronią, skierowaną między cudne oczy panny i bladł coraz bardziej.

— Czemuż pan nie strzelasz?—spytała.

— Dwa razy nie pytać!

— Więc albo pan strzelaj, albo szukajcie sobie dalej, bo szkoda czasu na komedye.

— Gdzie kasza?

— Kaszy jest trochę, ale ta jest niezbędnie potrzebna dla tych, co tu są, i dla jednego rannego.

— Gdzie ta kasza?

— Zobaczymy zaraz. Najprzód schowaj pan pistolet, który powinien być wymierzony w stronę wroga, a nie między oczy bezbronnych kobiet po śpiżarniach.

— Milczeć! Gdzie kasza?

Szczepan, który stał tuż za plecami panny Salomei, wmięszał się do rozmowy.

— Tej kaszy jest mało,—i kaszą się partya nie pożywi. Przyniosę ziemniaków.

— Gdzie są te ziemniaki?

— Jest ich ta jeszcze miareczka w kopcu.

— Ile tego?

— Mówię, że będzie ćwiartka, może się uzgarnia z półkorca.

— Przemarznięte?

— Nie koniecznie, bo były dobrze okryte.

— Gdzie to jest?

— A gdzie jest, to jest. Sam przyniesę. Jak wszyscy pójdą brać, to ino rozdepcą i pomaszczą. Wszystkiego, co ta jest, nie zjecie.

— Zjemy tyle, ile nam się zechce!

— A przyjdą inne, czem ich żywić?

— Niech glinę żrą!

— Znowuj pistolce do łba będą przystawiać.

— Dziadu przeklęty, lepiej milcz!—wrzasnął zgłodniały powstaniec.

Chwycił starca za kołnierz i potrząsał nim do woli. Ale Szczepan szarpnął się śmiało raz i drugi. Wydarł swe ramię z garści tamtego. Panna Salomea przyszła mu z pomocą. Odtrąciła silnie napastnika. Ten patrzał na nią wzrokiem najbezwzględniej zdziczałym, który nic dobrego nie wróżył. Czuła w oczach jego bezrozumną wściekłość. Lada chwila mógł podnieść pistolet i wypalić. W celu rozweselenia go zaczęła wszystko w żart obracać,—a chcąc skierować jego pasyę w inne łożysko, opowiedziała anegdotę o kucharzu.

— Widzi pan,—mówiła,—że on ma na przodzie zęby wybite.

— Ja mu je do reszty wybiję!

— Niechże pan posłucha, zanim resztę tych starych zębów wybijąć, historyi o tamtych, których już niema.

— Co mię tam jego zęby obchodzą!

— O ładnie, tak traktować konwersacyę z kobietami!

— Konwersacyę. To niech pani mówi, jeśli jest co ważnego.

— A kiedy pan nie słucha. Jakże tu mówić?

— Ale słucham, tylko że pani nie słyszy, jak we mnie głód w niebogłosy wrzeszczy.

— No, to niedługa historya,—i głód posłucha. Widzi pan, było tak. Jak ten nasz staruszek był jeszcze młody, służył tutaj w tymsamym dworze przy kucharzu za popychadło. Ani się obejrzał, jak go do wojska zawołali. Żal mu się zrobiło tej kuchni, rondli i sosów,—przed wojaczką strach,—dwadzieścia pięć lat pod karabinem,—to nie żarty! Przyszedł sołtys brać go do supe-

rewizyi. Nasz kuchcik uskoczył za węgieł dworu, wziął kamień z ziemi i wytłukł nim sobie dwa przednie zęby, jak to pan wie, niezbędne do odgryzania ładunków przy skałkowym karabinie. Sołtys go za kark, postronkiem wiązać, a ten się w głos śmieje i pokazuje zakrwawioną dziurę na przedzie szczęki.

— No i cóż z tego.

— Nic, tylko taki morał, że szarpać o byle co nie mamy potrzeby! A on tu nie jedno jeszcze spłatał w tym rodzaju.

— Wszelkie historyjki pozwolę sobie odłożyć na później, gdy już te kartofle oskrobiemy. **Primum edere deinde philosophari.** Wie pani, co to znaczy?

— Nie wiem, ale coś musi być o jedzeniu.

— A właśnie. Dalej go! Gdzie worek?

Ruszył, znalazłszy worek, za przewodnictwem Szczepana i wrócił wkrótce z kartoflami.

Rozpalono ogień, pchając pod blachę polana, urąbane z żerdzi rozgrodzonego płota. Wszyscy zabrali się do skrobania kartofli. Okazało się, że partya miała w swym skarbie skibę zabranej gdzieś słoniny. Szczepan wydalił się w noc i przyniósł w rogu worka z garniec kaszy ze swej kryjówki. Począł i kaszę i kartofle z wielkiem kucharskiem znawstwem gotować. Wybiegał zresztą raz wraz, ażeby pełnić wartę,—nasłuchiwać tępemi uszyma, czy ziemia nie jęczy pod stopą nadchodzącej nieprzyjaciela piechoty.

VI.

Rana w biodrze powstańca nie dość, że się nie goiła, lecz stawała się przyczyną niebezpieczeństwa. Niżej od postrzału, w lędźwi, począł formować się wielki wrzód, sprawiający tyle cierpienia, że chory krzyczał całemi godzinami, a nawet wzgląd na bezpieczeństwo domu i trwoga o życie nie mogły uciszyć nieludzkich jego krzyków, podobnych do wycia. Panna Salomea nie tylko nie sypiała po nocach, ale nie przykładała głowy do pościeli w obawie niespodziewanej inwazyi żołnierzy. Wynoszenie księcia do stodoły, po ostrzegawczem żydowskiego dziewczęcia stukaniu w szybę, stawało się bezcelowem, bo chory jęczał, zakopany w sianie. Pewnego razu, posłyszawszy jakieś głosy w stodole, oddział żołnierzy chodził pod dowództwem oficera po całym zapolu, przebijając głęboko stos siana bagnetami. Tylko wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że na kryjówkę nie trafiono,—a wzgląd na przydatność stodoły i jej zawartości na legowisko dla żołnierzy powstrzymał oficera od rozkazu spalenia budynku. Było rzeczą oczywistą, że kula opuszcza się wzdłuż goleni, sprawiając tak niesłychane cierpienia i powodując formowanie się wrzodów. Życie w podobnych okolicznościach było nad wyraz ciężkie. Panna Salomea zdecydowała, że niema innego wyjścia, tylko należy sprowadzić chirurga. Jakże to jednak mogła uczynić, nie posiadając ani grosza pieniędzy,—gdyż wszystko, co

miała, zabrały przechodzące partye w ciągu tej zimy, —i nie mając do rozporządzenia koni ani sanek. Najmować furmankę we wsi nie było bezpiecznie, gdyż chłopi żywili wrogie usposobienie i obecność chorego we dworze mogłaby się wydać. Wyprawić zaś powstańca z domu nie miała serca. On sam znalazł był środek nieomylny. Oto pewnego razu, gdy stała obok pościeli, dając mu pożywienie, sięgnął znienacka do kieszeni jej sukni i wyrwał pistolet, który mu niegdyś, gdy przybył, pokazywała. Odebrała mu z rąk pistolet. Ale odtąd całemi godzinami ją błagał, wyjąc w bólach, żeby mu wystrzałem między oczy skróciła tę nędzę istnienia. Skoro tylko dorwał się do jej rąk, chwytał je rozpalonemi dłońmi, jakby kleszczami z żelaza, do białości rozpalonemi, skamląc o zadanie śmierci. Ileż to próśb i jakich, w jakie zaopatrzonych argumenty wyrzucał ze siebie, błagając o ten strzał jedyny!

Tylu zginęło! Czcigodni, najszlachetniejsi, waleczni. Buty sołdatów wdeptały ich w błoto dzikiego pola! Padali z ran, bez pomocy, po lasach, bez sławy,—na nic! Zwaliła się ze swego ołtarza święta ideja! Chłopi polscy zwozili rannych do urzędu po klęsce miechowskiej i oddawali w ręce kata! Niezłomna niewolniczość ducha możnych i straszliwa ciemnota ubogich podały sobie dłonie. Cóż za nierozum, jaka tyrania wśród tylu niebezpieczeństw pielęgnować jedno bezsilne cierpienie! Umrzeć! Nie wiedzieć, co się dzieje i co się stało! Nie pamiętać! Nie znosić piekła poniżenia, gdy trzeba ukrywać się w sianie przed sołdatami!

— Siostro! — wołał, — łaski! Zabij! Daj się zabić samemu! Nie chcę żyć! Tu mię zakopiecie bez trudu, w nocy, nad rzeką, gdziem się ze krwi obmył. Przyjdziesz na wiosnę, zasadzisz kwiatek. Będę szczęśliwy.

W rozpaczy, nie wiedząc, co już począć, w sekrecie nawet przed Szczepanem panna Salomea poszła pewnego wieczora do przyjaciółki Ryfki. W karczmie było już ciemno, drzwi zamknięte na głucho. Okna od wewnątrz w obawie inwazyi, pozabijane zostały zrzynami desek w ten sposób, że tylko szpary między jedną a drugą dawały nieco światła dziennego do środka. Panna Mija poczęła majstrować około jednego z tych okien, —chwierutać gwoździe, któremi rama była zabita na głucho,—obłupywać glinę, chroniącą od zimna,—aż je wreszcie otwarła. Wtedy, wsunąwszy przygotowany przedtem długi z pleciaka pręt w szparę między deskami, jęła szturchać na oślep w kierunku, gdzie, jak z doświadczenia wiedziała, śpi na tapczanie Ryfka. Długo jej się to nie udawało, gdyż żydóweczka twardo zasnęła, budzona wciąż i tylekroć po nocach. Wreszcie, poznawszy odrazu, kto to ją wzywa, skoczyła do okna. Zaczęły szeptać przez szparę między deskami, a tak cicho, jakby wiatr szumiał,—aby zaś nie zbudził się nikt z rodziny karczmarskiej, która spała w tej izbie i w sąsiednich. Panna Salomea wyłożyła krótko, o co idzie. Potrzeba koni. Musi na jednę noc dostać parę koni i sanki. Wypada przejechać do miasta co koń skoczy, wrócić i jeszcze raz gnać,—a żeby o tem żywa dusza nie wiedziała. Ryfka musi te konie wynająć od kogo. A że na wynajęcie furmanki trzeba pieniędzy, których niema, więc trzeba chyba ukraść. Później się to odda. Co robić? Ryfka przelękła się. Co robić? Aj—aj! Parę koni i sanki, dwa razy tam i nazad do miasta w jedną noc. Aj—aj! Co robić? Drapała się po kudłatej głowie i w rozterce cmokała wargami. Głos jej z zimna i strachu drżał, a zęby głośno szczękały.

— Radź-że mi co!—mówiła panna Mija.

— Co ja poradzę? Ja nie wiem.

— Po tom tu szła, żeby tyle od ciebie usłyszeć?

— Ja chcę, ale co tu zrobić?

— Czego się tak trzęsiesz? Boisz się?

— Ja się boję.

— Czego?

— Bo tu są konie. Trzy. Cuganty.

— Czyje?

— Nie wiem.

— A skąd się wzięły?

— Wczoraj je przyprowadzili.

— Kradzione?

— Nie wiem.

— Ty nie wiesz! Pytam się, oślico jedna, czy kradzione?

— No, jakie mają być? Podarowane?

— Gdzie te konie są?

— W stajni stoją.

— Na przechowaniu tu są?

— Czy ja to wiem? Na co ja mam dużo gadać! Te konie stoją w stajni.

— Mów prawdę! Nie ty kradłaś, nie ty przechowujesz. Mnie prawdy nie powiesz, toś teraz taka, żydowico niewierna!

— Co ja nie mam prawdy powiedzieć? Te konie są pewno na przechowaniu. Po co gadać takie rzeczy? Tu jeden śpi na strychu, co na tych koniach przyjechał.

— Kiedy pojedzie dalej?

— Jutro na noc.

— W którą stronę?

— Nie wiem.

— Dajże mi parę tych koni!

— Aj-aj! Ja się boję.

— No, to się bój! Przecie wrócą nad ranem! Ryfka!

— Nie mogę! Ony mię zabiją!

— Kto?

— Ojciec—i ten, co przyjechał.

— Nie będą wiedzieć.

— Jakto nie będą wiedzieć! Onyby nie wiedziały o takim interesie! Kto potrafi tak zrobić?

— A ja! Sanki tu macie?

— Sanki są, ale małe, nasze pachciarskie.

— Niech sobie będą pachciarskie. Chodź! Przynoś klucze! Wyłaź z dziury!

Ryfka zaszlochała zcicha, rozpaczliwie. Stała za deskami, łkając.

— Nie dasz?

— Na śmierć mię zabiją. Łeb mi obedrą.

— No, to wycierpisz.

Ten argument jakoś trafił do jej przekonania. Uspokoiła się, zapytała jeszcze.

— Ktoby pojechał?

— Ja sama.

— To nikt nie będzie wiedział?

— Nikt! Ja i ty.

— Jak zobaczą, jak oni zrozumieją, kto to zrobił, dopiero zaczną bić, dopiero zaczną!

— Moja-że niedotknięta, delikacik!

—Ten, co przyjechał. On ma taki kańczug!

— Przynoś klucze!

Ryfka poszła cicho, jak widmo, w głąb domostwa i nie wracała przez czas długi.

Panna Salomea myślała już, że nie przyjdzie wcale. Mróz trzymał. Ostry wiatr pociągał. Podmuchy wzdychające wałęsały się dookoła murów i narożników tej karczmy niemej i ciemnej. Noc była czarna, bez-

gwiezdna. Wreszcie drzwi tylne, prowadzące na gnojowisko dziedzińca, zcicha skrzypnęły i mała Ryfka wyszła z domu. Przywarła drzwi ostrożnie i wciąż nasłuchiwała, czy kto za nią nie idzie. Upewniwszy się, że nikt nie usłyszał i nie spostrzegł, gdy drzwi otwierała, skoczyła ku murowanej stajni i poczęła działać nadzwyczaj energicznie. Otwarła co tchu drzwi stajenne, później wrota do wozowni. Panna Salomea weszła za próg i śmiało zbliżyła się do koni. Nieufnie pochrapywały i biły nogami w ciemności. Namacała rękoma łby tych koni i spostrzegła, że stoją w doskonałych i całkowitych chomątach, przygotowane do natychmiastowej drogi na wszelki wypadek. Konie były rosłe i, widać, dobrze utrzymane, bo się wiły na miejscu i dziko chrapały. Zbadawszy dłońmi sprzączki lejców, podpinki uzd, naszelniki i postronki,—okiełznała dwa z tych koni. Wyprowadziła je ze stajni. Już Ryfka wypchnęła na świat z wozowni sanki małe, bose, istotnie żydowskie. Szybko obiedwie zaprzęgły konie do sanek. W mig wyrównały lejce i znalazły bat. Gdy panna już siedziała na przedniem miejscu, Ryfka przyniosła z wozowni wygrabek siana i wrzuciła w tył sanek, żeby było co dać koniom po drodze. Sama co tchu zamknęła na klucz stajnię i wozownię. Jak ciemny nietoperz wionęła z powrotem we drzwi karczmy. Zamknęła je pocichu. Panna Salomea ostrożnie ruszyła wodzami i, noga za nogą jadąc, wydostała się z podwórza karczemnego na pole. Zajechała przed ganek dworu. Uwiązawszy konie u słupa, weszła do domu. Kazała Szczepanowi spać przy chorym, u drzwi do pokoju i czuwać na oba uszy. Sama ubrała się ciepło, wzięła ze sobą futro na nogi, dywan do okrycia siedzenia—i wybiegła. Zasiadła się dobrze, ujęła lejce

i dała koniom po tęgim bacie. Skoczyły z miejsca i pomknęły. Okrążyła karczmę polem, wypadła na drogę przetartą i raz wraz śmigała batem. Konie szły z kopyta najtęższym cwałem. Saneczki taczały się z wyboju w wybój, sunąc po grubym śniegu. Do miasta były dwie drogi. Dalsza—gościńcem, a później szosą,—i bliższa, tak zwana "na las". Ta druga droga była zawżdy niebezpieczna ze względu na wilki. Lecz w danej chwili była bezpieczniejsza od pierwszej ze względu na ludzi. "Na las" jechało się pustkowiem, porębą, krzaczyskami i wygonami wśród pastwisk, wreszcie szczerym, zwartym, głuchym borem. Ciarki chodziły po skórze panny Mii, kiedy wyminęła odludzia i miała przed sobą głęboki, zamilkły bór. Zasiadła się mocniej na snopku kłoci, nogi oparła o literkę sanek, cięła kradzione konie po nogach i gnała przez knieję galopem. Droga była dość szeroka,—w porze letniej bagnista, lecz teraz po śniegu zupełnie dobra. Konie brały ją w skok, unosząc za sobą saneczki, jak pióro. Lodowaty strach przenikał do szpiku kości i mrozem obejmował serce. W uszach brzmiał dźwięk niewiadomy. Gonią! Pościg! Tętent! Któż to leci za saniami? Wojska zżerające się w dzikiej wojnie,—słudzy jakiegoś między ludźmi prawa,—zbóje, nie szanujące praw żadnych,—czy zwierzęta, walczące z ludźmi? Nie wiedziała nic. Przeciwko wszystkiemu, co mogło być, niosło się w niej jedno jedyne prawo:—proste uczucie. Nie wiedząc o tem, ślepo wierzyła w wolną moc swej młodej duszy i w siłę wolnych koni. Pędziła jak wicher. Zdumiała się, nie spostrzegając już lasu po bokach swej drogi. Przebyła go niewiarogodnie szybko. Do miasta nie było już więcej nad milę drogi. Dała koniom wytchnąć i mknęła ostrożniej, pilnie bacząc na wszystko. Za lasem trzeba

było mijać wioski, mosty, opłotki,—skręcać w prawo i w lewo. Oczy, przyzwyczajone do grubego mroku, dobrze się oryentowały w miejscowości. Wykonała prawidłowo wszelkie zakręty i nawroty. Ze wzgórza, obok murowanej karczmy, zwanej "Stara wiecha," zobaczyła w dali światła w mieście. Serce zabiło niespokojnie. Zjechała z równego gościńca na podrogatkowe pola i ostro dążyła na przedmieście. Przesunęła się cichaczem obok rzeźni, obok koszar żołnierskich, objechała tyły ogrodów, rozmaite budy, szopy, składy, cegielnie, wiatraki,—wtargnęła na łąki obok parku i, kołując, krążąc i nawracając, dotarła do jakiegoś ostrokołu, który już przylegał do brukowanej miejskiej ulicy. Za tym parkanem słychać było na kamiennym chodniku kroki zapóźnionych mieszczuchów. Panna Mija wysiadła, rozkiełznała konie, okryła je dywanem i dała im wiązkę siana do przegryzienia po tej wycieczce. Lejce mocno przywiązała do słupa w parkanie. Sama, otrząsnąwszy się i ogarnąwszy suknie, ruszyła w ulice. Szła prędko ciemnemi bocznicami, nie spotykając nikogo—aż do obszernego rynku. Ten przebiegła, maszerując przez sam środek, i wsunęła się w bramę domu, gdzie mieszkał wybitny lekarz, gubernialna sława, doktór Kulewski. Godzina nie była jeszcze zbyt spóźniona, bo ani brama nie została zamknięta, ani światło na schodach nie zgaszone. Panna Salomea zadzwoniła do drzwi. Otworzyła je stara, zgarbiona służąca z pewnem rozdrażnieniem. Oświadczyła, że pan doktór już się do snu zabiera. Panna Brynicka wsunęła jej w rękę ostatni jakiś pieniążek z prośbą o możność widzenia się ze znakomitym doktorem. Została wpuszczona. Czekała dosyć długo. Przyćmione światło woskowej świecy dawało widzieć piękne meble

starego kawalera, konsyliarza Kulewskiego,—kanapy i fotele, sprzęty i graciki, wyszywane poduszki, ozdobne parawany i oleodruki w drogocennych ramach. Drzwi się wreszcie otwarły i doktór z wyraźnem na ogolonej twarzy niezadowoleniem stanął na progu. Mierzył przybyłą twardemi oczyma. Był to pięćdziesięcioletni, przystojny, dobrze zachowany **vieveur**, tęgi mężczyzna, doskonały lekarz i najzawołańszy w mieście smakosz. Kilkakrotnie, w przypadkach ciężkich chorób był wzywany do dzieci i dorosłych osób dworu w Niezdołach. Panna Brynicka znała go i była swego czasu, za lat dawniejszych, jego pacyentką. Doktór przypominał ją sobie przez czas dosyć długi, a uderzony jej niezwykłą urodą, jakoś spokorniał i wygrzeczniał. Zbliżył się z ukłonem. Panna Salomea przypomniała mu się i, na uprzejme zaproszenie, siadła w fotelu. Lekarz był coraz bardziej miękki i gotowy do usług. Przystąpiła do rzeczy bez żadnego wstępu. Powiedziała, co i jak jest. Prosiła, żeby kładł na się futro, zabrał narzędzia chirurgiczne i jechał. Twarz doktora stężała. Stanowczo, kategorycznie odmówił. Powstaniec,—dwie mile drogi,—noc, godzina dziesiąta z górą,—nigdy! Nie pojedzie. Żałuje! Niezmiernie mu przykro! Tak, są to rzeczy nad wyraz pożałowania godne. Sam jest patryotą i czuje sprawę głębiej, niż ktokolwiek, może, jak nikt, ale jechać—pod żadnym pozorem! Ma obowiązki,—mnóstwo w mieście pacyentów,—być może niejednę sprawę podobną,—być może niejednę ważniejszą,—być może stokroć ważniejszą. Panna Salomea słuchała tego wszystkiego cierpliwie. W pewnym momencie ujęła gestykulującą rękę doktora i przycisnęła ją do ust. Co więcej,—osunęła się na posadzkę i pocałowała go w kolano.

Szarpnął się i odsunął.

— Ach, więc miłość!—roześmiał się. Pani kocha tego wojownika?

— Nie. Tylko spełniam, co do mnie należy.

— Doprawdy! A czemuż tyle pokornej prośby i taka ekstaza jest w oczach pani?

— Bo tak czuję.

— Powstańcy,—nauczał,—wyzwali na wojnę, mocarstwo. Chłystki! Obłąkańcy! Muszą ginąć tysiące ludzi, bo to jest wojna. Czy pani rozumie?

— Rozumiem.

— A więc! Skoro to jest wojna, to jeden człowiek nie może na sobie skupiać całego naszego współczucia.

— Pewnie, że tak, ale ja mam do uratowania człowieka, który mi został oddany w ręce. Przyszedł z bitwy przed ganek, a nie wiedział, dokąd idzie.

— I to dla tego on jedyny?

— Niechże pan doktór włoży futro, weźmie narzędzia i chodźmy, bo czas ucieka.

— To pani sobie myśli, że ja pojadę?

— Ja stąd bez pana nie wyjdę.

Lekarz patrzał z uśmiechem na jej oczy szczere, a tak cudownie piękne,—na białe czoło, wychylające się spod futrzanej czapeczki,—na usta różane i śnieżne policzki, zabarwiające się od ciepła w mieszkaniu. Zakłopotał się.

— Chce mnie pani zgubić! Ja nie mogę. Patrzą na mnie, pewno śledzą. No, nie mogę!

— Musi pan!

— Doprawdy? Nawet muszę?

— Musi pan!

— Dla tego, że to pani rozkazuje?

— Nie ja,—to Pan Bóg rozkazuje ratować biednego żołnierza. Co sama mogłam, tom zrobiła. Teraz już nie mogę poradzić nic więcej. Gdybym mogła załatwić, tobym tu pana o to nie całowała po rękach! Pan jest doktór, a ja prosta kobieta. Do pana przyjechałam, bo to lekarza rzecz znaleźć kulę w ranie.

— Słyszał to kto takie argumenty! A jakież otrzymam honoraryum?—spytał, patrząc jej zuchwale w oczy.

— Żadnego.

— A to zachęta!

— Chodźmy, panie doktorze!

— Pójdę, pod warunkiem, że sobie odbiorę honoraryum i to według uznania.

Spojrzała mu w oczy mężnie i dosyć szyderczo, powtarzając swoje:

— Chodźmy, bo czas ucieka!

Doktór wzruszył ramionami i wyszedł do gabinetu. Krzątał się tam przez czas pewien, coś otwierał, zamykał, porządkował,—wreszcie stanął w przedpokoju, ubrany w futro i wojłokowe buty. Z za drzwi tego przedpokoju odezwał się do panny Salomei:

— Pani mię literalnie porywa z domu. Jeżeli nas po drodze złapią—zginąłem.

— Wiozę pana do pewnej chorej dziewczyny w żydowskiej karczmie. Nikt o to nie może mieć do lekarza pretensyi, że jedzie do chorego.

— A zapewne! W takich okolicznościach i czasach. Ja wiem, czem to pachnie jeździć teraz nocą na wieś do chorego.

Wyszli cicho, przemknęli się przez sień, wpoprzek rynku i temisamemi uliczkami, ciemnemi, jak piekło, dotarli do koni. Na szczęście nikt "cugantów" nie spostrzegł i nie skradł.

Panna Salomea, uradowana z takiego zbiegu okoliczności, okiełznała konie, nakryła dywanem siedzisko dla doktora i poprosiła, żeby zajął miejsce.

— A służący gdzie?—zapytał.

— Jestem,—odrzekła.

— Co takiego? Nie jadę!

— Znowu swoje!

— Przecie pani nie może i nie umie powozić.

— Zaraz pan będzie musiał zaprzeczyć własnym słowom.

Siadła na przedzie i cichaczem, noga za nogą wyjechała wskróś łąk, zaułkami na przedmieście, a stamtąd w pola. Gnała teraz tąsamą, znajomą już drogą. Wesoło pędziła przez las i wertepy. Pan doktór Kulewski, stary kawaler a sławetny "kobieciarz," usiłował eksploatować tę niezwykłą sytuacyę. To chciał sadowić się na przedniem miejscu, pomagać w kierowaniu końmi,— to wprost zamierzał otulać od zimna swego uroczego woźnicę. Ale woźnica zagroził, że go z sanek wyrzuci i zostawi w lesie wilkom na pożarcie, jeżeli nie będzie przykładnie siedział na miejscu dlań przeznaczonem i dywanem okrytem. W półtorej godziny niespełna sanie dopadły dworu w Niezdołach.

Panna Salomea podjeżdżała z ostrożnością, omijając karczmę i pilnie patrząc, czy we dworze niema gości. Na szczęście ciemno było wszędzie. Stare, wysokie topole huczały głucho hymny, od wczesnego dzieciństwa znane sercu i uchu. Zastukała w szybę. Szczepan otworzył i poszedł pilnować koni zgrzanych, zmydlonych i zionących parą. Wprowadzili je do stodoły i rozkiełznane puścił pod sienne zapole. Przymknął szopę i wrócił do dworu. Doktór zabrał się natychmiast do badania chorego. Opatrzył rany oka i głowy, później na plecach

i między żebrami,—wreszcie w nieszczęsnem biodrze. Znalazł wrzód ledwie zbierający i zdecydował, że trzeba go przeciąć.

Szczepan poszedł sprawować wartę na dworze,—panna Salomea musiała podsuwać i trzymać miednicę, dostarczać ciepłej wody, ręczników i szarpi. Doktór bezlitośnie rozciął nabrzmienie i jął sondą szukać kuli w głębokościach rany. Chory wił się w katuszy, żywcem krajany. Operacya dokonywała się przy blasku, rozchodzącym się z płomyka świeczki łojowej w latarni. Lekarz męczył się, szarpał, mocował, szukając swemi narzędziami kuli, i w pasyi najgłębszej nie mógł jej znaleźć. Probował raz, drugi, trzeci, czwarty—i dziesiąty,—nadaremnie. Książę raz wraz mdlał z bólu, krzyczał pod nożem,—wreszcie począł bronić się, bić, policzkować doktora i pannę. Lekarz musiał odstąpić. Pościel była zalana krwią,—podłoga, sprzęty i naczynia okrwawione. Założył tedy umiejętny opatrunek, zawiązał wszystkie rany i oświadczył, że odjeżdża. Zaznaczył, że trzeba czekać. Chory miał nadal leżeć w łóżku. Panna Salomea kazała Szczepanowi, żeby podał konie. Była głęboko zasmucona. Cały jej wysiłek poszedł na marne. Wskoczyła na miejsce furmańskie i gdy chirurg się usadowił, pognała w cwał tąsamą drogą.

Jakże przykrą była ta jazda, ileż znów w niej było beznadziei! W dodatku doktór nie zachowywał się poprawnie,—był dość brutalnym poszukiwaczem swego honoraryum. Znużona odtrącaniem go, pełna gniewu, ohydy i męki dusznej odstawiła eskulapa do miasta. Zdala od rogatek, w polu wysiadł i, dla ostrożności, udał się do swych pieleszy na piechotę. Panna Brynicka pożegnała go i cwałem wróciła w swe strony. Nad

ranem, lecz jeszcze o ciemnej nocy odstawiła i oddała w ręce Ryfki kradzioną parę i sanki.

Szczepan pod jej nieobecność obmył chorego, zmienił zakrwawioną pościel i bieliznę, wyszorował z plam podłogę i sprzęty. Odrowąż jęczał przez sen. Panna Salomea poszła spać znużona na ciele i duszy, pełna wewnętrznego zimna i wzgardy.

VII.

Jednej z następnych nocy po trudach i niewywczasach zasnęła twardo, jak jeszcze nigdy. Chory powstaniec, ciągle z gorączki na pół przytomny, drzemał w mroku izby. Nawiedzały go sny znikome, pełne potwornych zjaw i koszmarów...

Wtem wyrwał go z tej na pół przytomności odgłos końskiego stąpania za ścianami domu. Książę słyszał najwyraźniej, że ktoś do dworu podjechał na koniu, że się ostrożnie posuwa wzdłuż ścian i że tuż za oknem koń z nogi na nogę przestępuje. Każde o grudę uderzenie kopyta odbijało się w uchu, w mózgu i w duszy. Gorączkowa wyobraźnia stawiała w mroku przed oczy postać ciemnego jeźdźca. Nagle rozległo się ciche kołatanie w szybę palcem, ostrożne, a natarczywe. Chory je słyszał. Począł budzić pannę Miję, wołać na nią coraz wyraźniej. Gdy wciąż twardo spała, musiał wstać i na swej obolałej nodze pokusztykać do jej posłania. Dotknął ręką zwieszonej głowy i pociągnął za włosy, żeby obudzić. Ocknęła się i przez chwilę siedziała na pościeli, nie mogąc przyjść do siebie. Szepnął jej nad uchem, że stukają. Pojęła sama i wciąż nasłuchiwała. Odrowąż zrozumiał, że musi być chyba coś najgorszego, bo poczęła modlić się zcicha, szeptem bolesnym i lękliwym, przez szczękające zęby. W mgnieniu oka porwała się, wciąż łykając stargane modlitewne sylaby, wrzuciła na się ciepłe okrycie i rękoma febrycznie drżącemi

zapaliła świeczkę w latarni. Jak ptak wionęła do zimnej sali, otwarła drzwi wejściowe i ze zduszonym piskiem na dwór wypadła. Chory wychylił się ze swego łóżka, podpatrując, co się też okaże,—i czy trzeba będzie ukrywać swą książęcą mość w stodole. Usłyszał w sieni dworskiej radosny krzyk panienki i po chwili zobaczył przy blasku latarni wniesionej do sali, że jego opiekunka wisi u szyi i kołysze się w ramionach wysokiego, starego człowieka. Pocałunek tych dwojga był niemy i ekstatyczny, trwał bez końca. Gdy nareszcie przychodzień postawił pannę Miję na ziemi, Odrowąż zobaczył jego twarz. Był to człowiek wysoki, z siwemi wąsami, —ubrany w kubrak z futrem, w baranią czapkę i wysokie buty. Książę domyślił się, że to jest ojciec. Stary Brynicki, wszystek jeszcze śniegiem zasypany i w soplach zlepiających włosy, przypatrywał się córce. Coś do niej, czy do siebie szeptał, gładząc ją po głowie ręką, z której nie zdążył ściągnąć prostackiej rękawicy o jednym palcu. Blask latarni padł w głąb sypialnej izdebki. Rzuciwszy tam okiem, starzec dojrzał nagle człowieka w łóżku córki i z głębokiem zdumieniem skinął ręką. Panna Salomea zaczęła prędko, jednym tchem rozpowiadać historyę rannego,—przybycie po bitwie małogoskiej, wszystkie przejścia i okoliczności, rewizye i jazdę do miasta.

Stary Brynicki słuchał posępnie, bez ufności i niecierpliwie. W trakcie tego wywodu wszedł do izby sypialnej. Zdjął czapkę i, wzniósłszy wysoko latarnię, z bezwzględnością przypatrywał się rannemu. Ten podźwignął się na łokciu i bezmyślnym uśmiechem witał ojca swej opiekunki.

— Gdzież to kolega zostałeś tak poraniony?—zapytał starzec.

— Pod Małogoszczem.

— To was tam poczciwy rodak Dobrowolski z Gołubowem i Czengierym macał. Nie zbyt wam tam poszło.

— O, nie!

— I to aż tak ciężkie są rany, że panieńskiego łóżka trza było do opatrzenia?

— Panna Salomea była tyle łaskawa, że mię tu umieściła, gdym przyszedł.

— Jakież to są rany? Bo to ja stary jestem praktyk. Na ranach się od dawna rozumiem. Może uśmierzę te delikatne bóle.

Bez pardonu odchylił kołdrę i począł lustrować rany na głowie, pod okiem, na plecach, piersiach, w biodrze. Nie były to jednak oględziny zaradcze, lecz raczej badanie prawdy i istoty zjawiska. Rany nie wzruszyły starego żołnierza. Coś tam półgębkiem radził przykładać,— a kuli szukać wciąż, tnąc miejsce naokoło rany, nawet samemu. Zakonkludował:

— A jak tu kolegę zdybają, to nie tylko puszczą z dymem wszystko, co zostało, ale i tobie nie zborgują. Lepiej może na kuracyę do lasu uskoczyć. Świerczyna wyciąga gorączkę. Błoto, jak się na niem śpi, podgaja te tam postrzały. Sama kula prędzejby wypadła, bo ją do ziemi ciągnie.

— Ja tegosamego pragnę. Żebym tylko mógł ustać na nogach i chodzić!

Brynicki spoczął na sofce i patrzał w tego gościa zaczerwienionemi oczyma. Panna Salomea przysiadła u jego nóg i całowała ręce, nogi, nawet pasy rzemienne i steraną, w śniegach i błotach unurzaną kurtę.

— Buty mi się oto drą! Przemakają do kaduka! Niechno mi Szczepan szuka tamtej pary. Choć to i pod-

niszczone, aleć będą lepsze. Żeby mi je tylko łojem tęgo wysmarował!

— Łojem...—szepnęła w żalu.

— Niema?

— Ani odrobiny.

— No to trudno, i tak wciągnę na sucho. Ile to tygodni onuczki tesame! Koszul mi, dziecko, szukaj! Jakie tam są, zabieram. Przewdzieję—i hajda!

— Znowu?!

— No, a co,—mały mój ptaszku?

— Och, Boże!

— Źle nam, ptaszku. Złe przyszły czasy. Gorsze przyjdą. Przecierpimy! Były już i jeszcze gorsze. W Sybirze, dziecko. To nic! Uszy do góry!

— Tyle czasy czekam, wyglądam!

— Tylesamo akuratnie, ptaszku, co i ja za tobą! Jak tu partya pociągnęła w nasze strony, ażem zadygotał. Koło Świętej Katarzyny my się trzymali,—a powiadają w samsonowskie lasy pociągniemy. Zboczylimy trochę na Kostomłoty, na Strawczyn. Tom już nie wytrzymał. Konia między nogi—i do ciebie!

Wszedł Szczepan. Kazano mu przynieść długie buty. Patrzał w twarz pana Brynickiego. Przyglądał mu się, jakby go teraz dopiero zobaczył, choć obok siebie przeżyli na świecie kilkadziesiąt lat.

— Cóż ty na mnie patrzysz?—rzekł stary rządca.— Pilnuj!

— No, ja ta pilnuję. Aby ino było czego.

— Zawsze jeszcze zostało co nie co.

— Niedługo, widzę, orać będą na tym placu.

— Może będą. Tylko nie wiadomo jeszcze—kto. A ty czekaj!

— Ja ta czekam. Szkoda, że ostatni.

— Nie mędrkuj, bo to nie twoja sprawa. Skrzywdziłem cię kiedy?

— Czy ja ta wiem, kto mię krzywdził. Juści nie.

— Lepiej mi warzy jakiej ugotuj. Mięsa kawałek smażonego.

Stary kucharz boleśnie westchnął.

— Kucharz ci ja, kucharz. Skończy się toto kiedy?

— Tylko bez jęków!—Skończy się,—rzekł twardo Brynicki.

— Państwa niema. Wieści też ta jakiej o nich?

— Nic nie wiem. W lesie tylko świerki szumią, a wieści żadnych nie słychać.

Brynicki kiwnął palcem na Szczepana i przywołał go blisko do siebie. Obadwaj poszli do sieni i tam rządca zaczął głośno szeptać kucharzowi do ucha:

— Co to za jeden ten, co tu leży?

— Kto go ta wie? Panienka na niego woła "książę".

— To mi tam ani śmierdzi, ani pachnie. Łobuz jaki?

— Z oczów mu złodziejstwo nie patrzy.

— Słuchaj-no! Wiesz, co ci się chcę spytać?

— No, wiem.

— Więc jak?

— Widzi mi się, że jej nie tknął.

— Gadaj, psiakrew, prawdę!

— Upilnuje to dzieuchy, skoroby się namówiły? Abo, jakby ją ciągnęło do takiego, to kto poradzi? Ale mi się widzi tak, jakby nie było nic. Przecie leży, jak pień. A ciężka jucha, jak go nieść do stodoły, nikiej ten ogier. Książę, co psy wiąże!

—Szczepan!

— Hy?

— Pilnuj mi tego dziecka—wyjęczał w głuche ucho kucharza stary rządca.

— Już ja ta i bez prośbów mam oko na ten interes.

— Skoroby sama,—dopust boski! Ale jakbyś wypatrzył, że ją na siłę, albo sztuką chce brać, ostatni kołek z płota wywlecz i pal po łbie! Nie pytaj! Tak jakbyś moją ręką prał!

— No!

Wrócili do zimnej stancyi i tu Brynicki przebrał się z rozkoszą w czystą bieliznę, wdział nowe buty. Szczepan ugotował i przyniósł swej wiekuistej kaszy. Postawił dużą miskę w pokoiku rannego i rozdał drewniane łyżki. Sam się odsunął. Ale Brynicki wetknął mu łyżkę w rękę i kazał jeść pospołu. Stary kuchta zawstydził się i wymawiał. Cóż ta znowuj za prawo z państwem wieczerzać! Jeszcze takiej sztuki jak świat światem nie było,—po prawdzie,—za pan brat świnia z pastuchem. Przecież przykucnął obok stołka, na którym miska stała i zaczął uroczyście, skromnie i jakby z nabożeństwem pojadać kolejką za państwem. Sięgał ze swego łóżka do miski chory książę.

Po wieczerzy Brynicki przyłożył się do snu na kanapce w sypialni rannego. U wezgłowia klękła panna Mija. Starzec objął jedynaczkę ramieniem. Zadrzemywali, szeptali, milkli i znowu ciągnęli opowieść o dniach i nocach. Przeplatały się rady, wskazówki, prośby. Modlili się wraz,—cicho,—z głębi. Stary żołnierz napomykał o marszach, odstąpieniach, nocnych legowiskach, klęskach. Wymieniał miejsca, szczodrze pomaczane krwią, Wąchock, Suchedniów, Święty Krzyż. I znów tosamo.

Książę przysłuchiwał się jego powieści i dorzucał szczegóły o swym oddziale. Szeptali tak pociemku przez

noc. Miało się pod świtanie, kiedy stary pan przywołał Szczepana i kazał mu podać konia, który się pasł w stodole. Objął córkę, przytulił do serca w bolesnym, wieczystym pocałunku. Polecił jej wynieść na dwór i przytroczyć do siodła różne węzełki i drobiazgi. Gdy odeszła, wyciągnął rękę do chorego i uścisnął jego dłoń.

— No, kolego, na mnie czas. Życzę zdrowia i daj Boże spotkać się w wolności.

— Daj Panie Boże!

— A pozdrowiejesz, dziecku mojemu pomóż, poradź, obroń.

Książę skinął ręką.

— A jeślibyś ją skrzywdził,—jęknął starzec,—strzeż się! Bo cię dopadnę żywy, czy umarły.

Z tem słowem znikł za drzwiami. Słychać było cichy płacz dziewczęcy. Potem głuchy, równy tętent.

VIII.

Nad wieczorem pewnego marcowego dnia stanęła przed gankiem w Niezdołach parokonna bryczka i wysiadło z niej dwu podróżnych. Jeden z nich był w wieku lat mniej więcej pięćdziesięciu,—drugi młodszy. Starszy miał dużą skórzaną torbę, przewieszoną przez ramię, a ubrany był jak podróżujący kupiec, albo rękodzielnik. Młodszy był w cienkich butach i miejskiem odzieniu, a wyglądał przy swym towarzyszu jak pomocnik, czy sekretarz. Bryczka, skoro tylko ci dwaj panowie stanęli na ganku, momentalnie odjechała. Nikt nie spostrzegł, z jakiego była dworu. Przybysze weszli do domu, a nie spotkawszy na progu nikogo, zasiedli przy stole w pierwszym obszernym salonie. Wszystko to stało się tak prędko, że mieszkańcy dworu w Niezdołach nie zdążyli ani zabezpieczyć rannego, ani przywitać i zabawić przybyszów. Dopiero po chwili panna Salomea do nich wyszła. Goście oznajmili, skłoniwszy się uprzejmie, że proszą o nocleg, posiłek i konie nazajutrz do jednej z sąsiednich miejscowości. Młoda gospodyni oświadczyła, że koni tu wcale niema,—a o posiłek trudno, gdyż dom jest zupełnie ogołocony ze wszystkiego. Może im tylko dać nocleg, to znaczy niewyszukaną pościel na kanapie i sofie, które były w tymże pokoju. Przyjezdni skłonili się znowu i z delikatnością rozpytywali o stan rzeczy. Przyzwyczajona do grubijaństw, gróźb, napastowania, a nawet szarpaniny i podnie-

sionych kułaków, zdziwiła się tej względności. Ujęta nią zaznaczyła, że może ich poczęstować jedną tylko potrawą,—codzienną kaszą, przejadającą się, a która przecie również jest na wyczerpaniu. Dwaj rozpytywali wciąż o wszystko,—o imiona i nazwiska gospodarstwa i osób przytomnych w domu,—o szczegóły rozgrabienia dobytku, spalone budynki, stosunek do chłopów i służby,—o przemarsze stron walczących, noclegi, postoje, sposób zachowania się wojsk i rodaków. Starszy z tych ludzi bardzo przypadł do serca panny Salomei. Oczy miał siwe, głębokie, szczere, nad wyraz mądre, a czujne, pomimo wielkiego znużenia, które się malowało na twarzy. Gęste, krótko strzyżone włosy już mu zlekka siwiały. Wyniosły, kościsty, mocno zbudowany, naprzód nieco pochyły, był niewymownie jakoś bliski, ni to ojciec lub brat. Gdy na pytanie, kto jest w tym dworze, wyjaśniła, że siedzi tu sama jedna ze starym kucharzem, zastanowił się i rozmyślał. Cechował go jednak spokój, który się niczemu nie dziwi i niczem nie przeraża. Tylko oczy jego stały się jeszcze uważniejsze, lepsze i jeszcze bardziej przychylne. Drugi z przybyszów był znacznie surowszy i mniej cierpliwy. Spoglądał na sprzęty i w oczy rozmówczyni nieufnie, aczkolwiek milczał i zgadzał się na wszystko. Pierwszy długo nie przestawał informować się o najrozmaitsze szczegóły, tak długo, że panna Brynicka, nauczona przez ojca ostrożności i powściągliwości w udzielaniu jakichkolwiek informacyi osobom nieznajomym, zaczęła stosować tę właśnie metodę. Starszy z podróżnych zdawał się to rozumieć i oceniać, a nawet pochwalać taką wstrzemięźliwość. Sam dopytywał się inaczej. Pod pretekstem konieczności wydania zarządzeń co do pościeli panna Salomea odeszła z dużego pokoju, oświet-

lonego przez latarnię, do ciemnej sypialni, gdzie leżał ranny. Drzwi zostały otwarte. Odrowąż przywołał ją najcichszym szeptem, nachylił jej głowę do swych ust i niemal bezgłośnie, samym ruchem warg wymówił do ucha:

— Ten wysoki, starszy pan, co stoi w pierwszym pokoju, to główna figura, komisarz rządu narodowego. Nazywa się Hubert Olbromski.

Panna Salomea obejrzała się i zobaczyła w świetle latarni profil tego człowieka. Trzymał znużoną głowę na ręce, opartej o stół, i uważnie słuchał tego, co mu szeptem wykładał młodszy.

— A ten drugi?—spytała.

— Tego nie znam z nazwiska, ale twarz gdzieś widziałem. I to jakiś figurant.

— Starszy bardzo miły.

— To potężny człowiek.

— Pan go zna?

— Z twarzy i z działalności bardzo dobrze. Widywałem go w Paryżu.

— Cóż on tam robił?

— Organizował, jeździł, jako emisaryusz.

Szeptali jaknajciszej, a jednak ta ich gawęda zwróciła uwagę dwu gości. Obydwaj zamilkli i pilnie patrzyli w ciemność. Po pewnym czasie młodszy ujął latarnię i szybko skierował się we drzwi mrocznej bokówki. Zaświeciwszy, ujrzeli chorego. Młodszy miał w ręku podniesiony pistolet.

— Kto to jest?—spytał ostro.

— Jestem powstaniec, nazwiskiem Józef Odrowąż.

— Z jakiego dowództwa?

— Z jazdy pod naczelnikiem Langiewiczem.

— Co tu waszność robisz?

— Zostałem raniony w bitwie pod Małogoszczem. Leczę się za łaskawem pozwoleniem tej panienki.

Olbromski i jego towarzysz surowemi oczyma patrzyli w twarz księcia. Zapytywali go kolejno o szereg rozmaitych szczegółów i, stwierdziwszy, że mówił prawdę, coś między sobą mruknęli i wrócili do pierwszego salonu. Nie czekając na zapowiedzianą kaszę, wydostali z kieszeni płaszcza flaszkę gorzałki, chleb, suchą wędlinę i pożywali te zapasy. Jednocześnie zanieśli prośbę do młodej gospodyni, żeby im przyniosła atramentu i pióra. Z mozołem odnalazła wśród rupieci te zarzucone przybory i podała. Obadwaj zaczęli coś pisać. Starszy dyktował z głębokim namysłem i skupioną uwagą. Młodszy pisał. Później ów sekretarz odczytywał dyktando, a Olbromski czynił adnotacye i uwagi. Skończywszy z tem, przeglądali poszczególne papiery, jakoweś wykazy, czy sprawozdania, coś wykreślali na składanych mapach, wymierzali cyrklem i kreślili w długich regestrach. Oczy ich były w tę robotę wlepione, rysy stały się ostre i surowe, twarze wyrażały przejęcie się do cna i do ostatka. Skończywszy swoją robotę, obejrzeli starannie drzwi i okna. Młodszy wziął ze sobą latarnię i wyszedł, ażeby zlustrować cały dom, wyjście na tyły dworskie, skąd można było uciec w ogród. Hubert Olbromski siedział w wielkiej izbie. Zapalił świecę woskową, którą miał w torbie i, podparłszy na ręku głowę, czytał jakiś papier. Weszła panna Brynicka, żeby ułożyć na posłaniach cieplejsze okrycia. Olbromski zagadnął ją:

— Przepraszam, że panią zapytam o jeden szczegół. Pani wymieniła swe nazwisko,—Brynicka, nieprawdaż?

— Tak jest.

— A czy też w rodzinie pani nie było krewniaka, żołnierza w rewolucyi?

— Mój ojciec służył wojskowo w rewolucyą.

— Wysoki, tęgi, z sumiastym wąsem? Twarz pociągła... Małomówny... Nazywał się Antoni.

— Mojemu ojcu Antoni na imię.

Olbromski uśmiechnął się. Oczy mu zaszły mgłą. Mówił jakby o rzeczy nieważnej, przygodnej:

— Widzi pani. Gdy byłem małym chłopcem,—miałem dziesięć lat,—przed tamtą rewolucyą, aresztowali mojego ojca,—Rafał mu było na imię,—za dawne—dawne sprawy z Machnickim. Byłem w szkołach i sam na świecie, sam w mieście, które mi się wtedy wydawało wielkie jak świat. W temsamem miejscu, gdziem na kwaterze mieszkał, były koszary strzelców konnych. Zaznajomiłem się z jednym wojskowym, nazwiskiem Brynicki Antoni. Przychodził on do mnie na pociechę, że to ojciec mój zamknięty był w dalekiej twierdzy... Brał mię ten wojskowy ze sobą do koszar, sadzał na swym koniu i na innych, których tylko zapragnąłem. Pokazywał mi na pociechę rynsztunek wojenny—pałasze, karabinki, kule i proch, ładownice, siodła, uzdy i ostrogi. Nosił mię na ręku i nie spuszczał z kolan... Opowiadał mi śliczne wojenne historye... Tyle to lat! Gdzie to człowiek nie był, czego nie widział po świecie, a każde jego słowo, jak żywe! Gdzie teraz jest ojciec pani?

— W partyi.

Olbromski przytwierdził skinieniem głowy. Spytał się:

— Dowodzi może jakim oddziałkiem? Jakie ma przezwisko?

— Tatko jest za prostego powstańca.

Skinął głową. Uśmiechnął się do tej panienki.

— A pański ojciec gdzie?—zagadnęła, ośmielona jego dobrotliwym wyrazem oczu.

— Mojego ojca dawnemi laty, w rzeź galicyjską, podjudzeni chłopi okrutnie zamordowali pod wsią Stokłosy nad Wisłoką. Piłą go żywego przerznęli w pół, gdy przyszedł w tamte strony z dalekiej Francyi bić się ostatni raz o wolność. A ja sam musiałem na to zdarzenie synowskiemi oczami patrzeć. Taka to jest tragedya polskiej szlachty—uśmiechnął się swym mądrym, żałosnym uśmiechem.

Odwrócił na chwilę głowę. Rzekł jeszcze:

— To pani jest córką Antoniego Brynickiego! Nawet jest w oczach i w ustach podobieństwo. Kochaliśmy się z nim onego czasu, choć on był tak duży żołnierz, a ja żak mały ze szkół wojewódzkich.

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń, ścisnął ją i mówił:

— Szczęść ci Boże, panienko! Daj ci wszystko dobre!

Panna Salomea chciała podziękować za to życzenie, lecz nie wiedziała jak. Słowa w gardle uwięzły. Podniosła na tego człowieka oczy nieulękłe i surowe.

— A co?—zapytał.

— Ja tu sama!—wyszlochała. Ojciec był parę dni temu i poszedł znowu!

— Taki los.

— Taki los! A kto go zrobił?

— Kto zrobił?

— Pan!

Spojrzał na nią z uwagą i ze spokojem. Czuła, że popełniła nie tylko ogromny nietakt, lecz i okrucieństwo. Nie wiedząc, dla czego i co czyni, zsunęła się z krzesła na ziemię i znalazła u jego kolan. Chciał ją

podnieść, lecz chwyciła go za ręce i zajrzała w samą głąb oczu.

— Panie!—krzyknęła.

— Słucham!

— Co wy robicie?

— A co?

— To powstanie!

— Powstanie.

— Niech mi pan wytłomaczy ze swego rozumu i z głębokiego sumienia. Ja jestem prosta i głupia. Nic nie mogę pojąć!

— Wszystko powiem, wszystko, co tylko wiem.

— Z sumienia swego?

— Z sumienia.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że prawdę usłyszy. Rzuciła mu w oczy z krzykiem:

— Któż z was ośmieli się mówić, że pobije tych, co tu nocami przychodzą szarpać nas, ludzi bezbronnych? A jeżeli ich nie możecie pobić, to kto z was ośmielił się rozpętać w nich dzicz, co ją ze sobą z okrutnych śniegów w duszach przynieśli? Czy macie w sobie siłę, równą ich dziczy i taką, żeby tamto złe zgniotła?

Olbromski milczał. Łkając oskarżała:

— Sołdactwo pali dwory,—rannych dobija na placu bitwy. Chłopi wiążą powstańców.

Przerwał jej głosem innym, twardym:

— Wolicie ich dzicz, niż rany i śmierć? Będziecie mieli dzicz za wiecznego pana!

— I tak go mamy, choć tyle ran.

— Polskie plemię popadło między dwa młyńskie koła zagłady,—między Niemców i Moskwę. Musi się stać samo młyńskim kamieniem, albo będzie zmielone na

pokarm Niemcom i Moskwie. Niema wyboru. Zbyteczne jest wszelkie o tem słowo.

— Jaką mieć wiarę? Czem żyć?

— Serce mężne uzbrój w sobie.

— I cóż z serca mężnego!—jęknęła z rozpaczą.

— Nie czas już pytać i odpowiadać.

Zbadawszy budynki, ścieżki i zarośla dookoła domu, wrócił do stancyi młodszy z przyjezdnych. Panna Salomea wyszła niezwłocznie. Dwaj urzędnicy rozebrali się i, broń nabitą mając przy wezgłowiu, udali na spoczynek.

Noc była cicha, w podwiośnie. Łagodne tchnienia ciągnęły nad ziemią i zdawały się przenikać izby mieszkalne. Chory był rozdrażniony. Obecność dwu osób z góry krępowała go, a cierpienia dokuczały tem mocniej. Wił się po łóżku, wzdychając. Z izby sąsiedniej dochodziły odgłosy twardego chrapania dwu komisarzów. Obadwaj spali, jak zabici. Panna Salomea długo nie mogła usnąć. Zmora leżała na jej sercu. Tęsknota za ojcem, po rozmowie z Olbromskim, dokuczała bardziej, niż kiedykolwiek. Smutek nieokreślony przejmował duszę. Bezprzedmiotowa nocna trwoga raz wraz musnęła włosy na ciemieniu... Co pewien czas panna Salomea dźwigała się na swym leżaku, żeby nasłuchiwać. To ciągłe, ponocne na nieprzyjaciół oczekiwanie wypełniło jej ciało i duszę jadem odrazy do ludzi. Musiała wciąż mieć się przed nimi na baczności, czuwać i czyhać na ich podstępne przyjście. Tej nocy trwoga zwiększyła się. Zjawił się niepokój o starszego z przyjezdnych rządowców. Człowiek ten stał się jej bliski od pierwszego wejrzenia. Lękała się, żeby go tutaj nie spotkało coś złego. Pragnęła, żeby ta noc nieskończenie długa przeszła i, żeby ci dwaj odjechali szczę-

śliwie w daleką swoją drogę do wolnej ojczyzny. Usiłowała zasnąć sama, lecz żadną miarą nie mogła. Były chwile, że drżała jak liść. Trwogi uderzały w nią, ni to bicie na gwałt jakichś dzwonów. Nasłuchiwała w śmiertelnej męczarni. Wydawało się, że tamtem chodzi po domu. Ucho, zasłuchane w ciszę, chwytało szelesty, być może, całkowicie nieistniejące. Coś przez sąsiednie izby przeszło, przewiało. Coś wzdycha... W głębokiej ciszy coś ostrzega. Skrzypnęły deski starej podłogi. Jakiś trzask odległy. Czy to drzwi zaschłym oblepione pokostem skrzypnęły? Jest tak, jakby ktoś potrzebował krzyczeć, a nie mógł wydobyć głosu. Za chwilę poczną bębnić beczki, ciskane spod sufitu na ziemię...

Wsparta na łokciu, słuchała.

Usnął głęboko nawet ranny powstaniec. Uciszyli się w sennem oniemieniu dwaj przyjezdni panowie...

Oczy wlepione w próżnię zdawały się odróżniać lica Dominika. Stoi w rozwartych drzwiach z ręką na ustach, jakby w sobie samym dusił krzyk. Nie chce krzyczeć, a nie może odejść. Powiew zimny ciągnie przez pokój, —odgarnia włosy z nad czoła,—mrowiem płynie wskróś ciała...

Zakryła głowę chustką, oczy włosami, i w przerażeniu przypadła do wezgłowia, żeby nie widzieć. Tak niespodziany zleciał na nią sen i dał szczęśliwe godziny długiego wytchnienia. Zapadła się wszystka jakgdyby w niezgłębiony dół ciemności. Przed chwilą oparła na wezgłowiu czoło i nakryła je, żeby nie dojrzeć upiora, —była czarna noc,—a oto rozwarte oczy widzą jasny poranek. Biała tafla okna w szarym pokoju. Kanarek podśpiewuje zaranną piosenkę... Cóż to? Huk! Dominik kadzie ciska! Znowu huk! Znowu! Zbawicielu!

Otwarła oczy... Przysiadła na posłaniu. Huk znowu! Ocknęła się. Zrozumiała. Walą kolbami we trzy okna frontowe! We drzwi! Porwała się na nogi i zatoczyła ze snu, jak pijana. Co robić? Kogo wołać? Wszyscy śpią! Huk się rozległ ze wszystkich stron dworu. Krzyk, który już dobrze znała, ścinający krew w żyłach, mrożący szpik w kościach:

— **Otpiraj!**

Drzwi od strony kuchni uchyliły się. Wbiegł na palcach Szczepan,—blady, trzęsący się, straszny, w popłochu. Odtrącił pannę ręką i wskazał powstańca. Sam skoczył do dużego salonu. Tam począł szarpać nocnych gości. Targał ich oburącz za włosy, pięścią bił w piersi. Trząsł głowy z całej siły. Nareszcie ocucił obydwu. Porwali się! Nasłuchiwać! Burzenie we drzwi postawiło ich wreszcie na nogi. Momentalnie wciągnęli spodnie, buty. Młodszy zdążył narzucić kurtę. Starszy nie mógł swej znaleźć i wdział tylko przez głowę torbę skórzaną, kiedy wyrwano okiennicę, rozwalone okno z rumorem i brzękiem wyleciało, a żołnierze jeden przez drugiego poczęli pchać się do sali. Wszystkie wejścia były już obsadzone. Przy wszystkich słychać było łoskot. Szczepan co tchu poprowadził komisarzów na tamtę, Dominikową stronę. Otworzył drzwi i wypchnął obydwu. Przeskoczywszy dużą salę z beczkami, wbiegli do mniejszej. Zcicha otwierali okno. W tej stronie domu było wysokie podmurowanie na pół zwykłego piętra. Gdy rozsunęli okiennicę, zamykającą się od wewnątrz, ujrzeli dwu żołnierzy, jak podsadzili się właśnie, żeby do okiennej ramy dosięgnąć. Olbromski i jego towarzysz cofnęli się w głąb, za framugę muru i uważnie opatrzyli pistolety. Szczepan zostawił ich i wybiegł z powrotem. Obydwoje z panną Salomeą

wynieśli przez małą sionkę rannego księcia na materacu i spuścili do wielkiej kadzi w dawnym salonie. Gdy to zostało dokonane, schronili się obydwoje do pokoju Dominika. Ujrzeli tutaj młodszego z nocnych gości, jak się wciąż czaił we framudze okiennej, czyhając na żołnierzy. Nagle w otwartem oknie ukazała się czapka sołdata, wdzierającego się w otwór. Towarzysz Olbromskiego wypalił mu z pistoletu między oczy, przystawiwszy momentalnie lufę do czoła, skoro się tylko wychyliło z za futryny. Żołnierz runął na wznak. Drugi strzał powalił na ziemię drugiego dragona.

Tymczasem z wnętrza domu słychać było tumult, łoskot i krzyki żołnierzy, przetrząsających mieszkanie. Wtargnęli tam już przez okna i drzwi. Trzeba było uchodzić na świat przed pościgiem. Olbromski i jego kolega, mając drogę wolną po zwaleniu na ziemię dwu sołdatów, wychylili się z okna i, zaczepieni o futrynę, następnie zsuwając się po chropowatej ścianie,—dosięgli ziemi.

U wejścia na dziedziniec, przy zrujnowanej bramie stało uwiązanych około piętnastu koni spieszonych dragonów, którzy dom zdobywali. Koni tych pilnował jeden tylko żołnierz, siedzący jeszcze w siodle. Towarzysz Olbromskiego co sił w nogach poskoczył wprost do tych koni i żołnierza. Wyrwawszy z za pasa drugi pistolet, z odległości zaledwie paru kroków strzelił, zranił i obezwładnił dozorującego jeźdźca. Wnet, jednym susem skoczył na siodło pierwszego z brzegu rumaka, odwiązał od sztachety wodze, zawrócił koniem na miejscu i, okładając go ze wszech sił po bokach rzemieniem uzdy, jak błyskawica wypadł za bramę. Olbromski przesadził płot i chciał iść za przykładem swego sekretarza,—ale już nie zdążył. Żołnierze, usłyszawszy strzały

i zobaczywszy przez okno, co się dzieje, pędzili do koni i odcięli mu do nich drogę. Przeskoczył tedy drugi, rozwalony płot i na oślep pobiegł w dół, ogrodem, prowadzącym w kierunku rzeki.

Panna Salomea, stojąca w oknie, widziała te obadwa wypadki, które się dokonały z szybkością dziesięćkroć większą, niż ich opis wyrazić to może. Uczepiona rękami o futrynę okienną patrzyła, jak młodszy z komisarzów przebiegł na dragońskim wierzchowcu w tumanie bryzgów błota i tającego śniegu drogę do mostu, most na rzece, wypadł w łąki i gnał płaskiemi błoniami coraz bardziej chyżym przecwałem. Schylił się, położył na szyi końskiej tak, że go prawie widać nie było. Ogier jego stawał się od najtęższego galopa coraz niższy, coraz dłuższy. Leciał po niskiej ziemi, jakoby dziwaczne ptaszysko. Sześciu dragonów w skok za nim pognało. Błękitne kłębki dymu raz wraz nad nimi pękały. Strzelali do uciekającego,—bezskutecznie, bo pędził wciąż, pędził,—ku lasom. Wreszcie znikł.

Panna Salomea wychyliła się z okna, szukając oczami drugiego, starszego... Ale Szczepan oderwał jej palce od okna i nieprzytomną z wrażenia powlókł ze sobą. Nie pozwolił również zatrzymać się przy ukrytym powstańcu. Wyszli co tchu przez sień, drzwiami, opuszczonemi przez żołnierzy, przemknęli się niepostrzeżeni przez ogród i pobiegli na wzgórze. Szczepan, uciekający teraz, jak mały chłopak, coś mamrotał. Ciągnął za sobą pannę Salomeę. Za jednym z większych krzaków jałowcu przycupnął, jak lis. Towarzyszce kazał uczynić tosamo. Wychyliwszy się z kępy, patrzyli, co się dzieje. Poprzez bezlistne drzewa, w świetle łagodnego poranka widzieli nad rzeką rzecz straszliwą,—słyszeli strzały,—zwierzęce krzyki... Panna Mija przycichła. Ręce jej kon-

wulsyjnie pochwyciły kłujące gałęzie jałowca. Ciało się zachwiało. Omdlała. Szczepan cucił ją, wycierając skronie grudkami zczerniałego śniegu, który się jeszcze taił w głębi szorstkiego krzaka.

Tymczasem nad brzegiem rzeki Hubert Olbromski staczał swój ostatni chwalebny bój. Oficer dragonów nazwiskiem Wiesnicyn,—tensam, który już był rewidował niezdolski dwór i zapałał dziką miłością do panny Salomei,—ścigając z rozkazu swych władz od miejsca do miejsca dwu komisarzy rządu narodowego, po śladach dopadł ich tutaj. Widział z ganku ucieczkę jednego z nich na koniu, należącym do dragońskiego oddziału. Miał rozkaz schwytać obudwu żywcem, gdzieś na noclegu. Wykonał zlecenie z całą ścisłością. Przybył w sam czas. To też płonął od zawziętej żądzy, żeby przynajmniej drugiego pojmać. Pędząc za żołnierzami w dół ku rzece, wołał na cały głos:

— Trzymaj żywego! Żywcem go brać! Tylko żywcem! Nie waż się strzelać! Rękami bierz! Trzymaj! Osaczyć!

Olbromski słyszał ten rozkazujący krzyk. Poczuł w sercu śmierć. Na sobie miał torbę ze wszystkiemi dokumentami, z tysiącem sekretów rządu, ze wszystkiem, co się dokonywało i dziać jeszcze mogło. Niósł w tej torbie jakgdyby serce walczącej Polski, w którem żywa pulsowała krew. Nie mógł tej torby ani nigdzie ukryć, ani w biegu porzucić, ani zniszczyć, gdyż pędziło za nim z dziesięciu żołnierzy. Olbrzymiemi skokami uciekał. Przesadzał krzaki, zmurszałe płoty, rozmiękłe zagony, rów pełen jeszcze lodu. Dopadł łąk. Ujrzał jakoweś na błoniu zarośla. Tam gnał. Lecz oto nagle przerażenie jak ogień zapaliło się w jego głowie. Niespodzianą ujrzał przed sobą—rzekę. Wezbrana po

same górne brzegi od wiosennego roztopu i wylewu, pełna czarnej, wijącej się wody, która bujnemi mknęła baniami,—głęboka rzeka zamykała drogę półkolem w prawo, półkolem w lewo. Uderzył ucho niemy jej szum, ukazał się zdziczałym oczom zbiega czarny jej wąż, jako przeklęta, szydząca moc, która przecina ostatni szlak ucieczki. Zmyliła się rozważna myśl. Przepadł jedyny sposób ratunku. Ciemna rozpacz oślepiła oczy.

Wtedy tajemnicza, skłębiona woda rozwarła swój czarny nurt, jakoby łono. Pojął. Jęknął. Zdarł z ramienia rzemień i z zamachem cisnął skórzaną torbę,—sekret Ojczyzny,—w głębinę. Rzeka plusnęła—na znak,—ni to głuchą odpowiedź. Zawarła się. Tysiącem zawinęła fal skarb powierzony. Popłynęła w krętą, prastarą, a wiecznie nową, daleką drogę. Westchnął. Widzieli ten jego ruch żołnierze. Dopadli go, osaczając ze wszech stron. Obrócił się do nich twarzą. Z tyłu biegł oficer Wiesnicyn, krzycząc swoje:

— Żywego rękami brać! Żywego! Nie waż się ubić. Osaczaj!

Olbromski wzmógł się na duszy. Wzgardził długiem więzieniem,—konaniem na szubienicy. Przystanął. Pierwszemu z sołdatów, który doń podbiegł, wypalił w łeb z pistoletu. Poderwał szablę, która trupowi z ręki wypadła i ciął z ramienia w szyję drugiego. Lewą ręką wyrwał z za pasa drugi pistolet i trupem położył nowego napastnika. Za sobą miał rzekę, przed sobą siedmiu. Bronił się, jak osaczony tygrys. Żołnierze, słysząc nieustanną oficera komendę, żeby go brać żywego, prawie nie zażywali oręża. Szli nań kupą z gołemi rękami. Korzystając z tego rozkazu, ciął z wysoka, rąbał na odlew, sztychem przebijał i odskakiwał brzegiem, szukając dogodnego miejsca, gdzieby skoczyć w wodę i ucho-

dzić na drugą stronę. Oficer, spostrzegłszy, że trzech żołnierzy leży na ziemi, a reszta boryka się z tym jednym człowiekiem, rzucił się nań sam z gołą szablą. Olbromski zobaczył go za pierścieniem żołnierskim. Krzyknął nań z pogardą:

— Ty! Tchórzu!

Zakipiał w sobie ponury oficer Wiesnicyn. Skoczył sam w dragoński szereg z pałaszem w ręce, ażeby powstańcowi szablę z ręki wytrącić. Trzasnęły w siebie klingi piorunowem strzeleniem,—raz, dwa!

Lewą dłonią ująwszy pistolet za lufę, Olbromski rozwalił głowę sołdatowi, który go w trakcie tej walki chciał chwycić za ręce. Pałaszem ciął w ramię oficera. Zwalił między oczy żołnierza z prawej strony.

— Bierz go!—ryknął oficer.

Skoczyli. Siekł młyńcem. Uchodził. Wlókł ich za sobą. Siepał się w tłumie. Rozszalały dowódca dragonów zajechał go szablą w kark,—potem ciął w twarz. To rozpętało furyę żołnierzy. Zapomnieli o rozkazie. Rzucili się rąbać osaczonego pałaszami w głowę, ścinać szyję ślepemi razy. Olbromski puścił broń z ręki. Zachwiał się. Potknął. Rozłupali mu ciosami czaszkę, aż trysnął mózg i wywalił się na trawę. Siekli ręce, piersi i żebra. Rąbali leżącemu brzuch, nogi,—dopóki zeń nie wyciekła wszystka krew. Spłynęła z jego żył, wsiąkła w pastwisko i napoiła rozmiękłą, chciwą wiosenną ziemię.

Ponuro i wyniośle spojrzał nań ogromny czarny oficer Wiesnicyn, chowając do pochwy utłuszczony pałasz, ociekający krwią. Zemścił się, jako żołnierz, lecz źle wykonał zlecenie władzy. Rozkazał dragonom szukać natychmiast w rzece skórzanej torby buntownika. Lecz woda była głęboka na chłopa z górą,—lodowato zimna,

—pędziła wartkim popławem. Pierwszy z brzegu sołdat, który zzuł buty, rozebrał się i zanurzył w tej wodzie,—zdrętwiał z zimna. Tosamo drugi i trzeci. Szukano tedy, macając po dnie rzecznym raz koło razu żerdziami. Bezskutecznie. Oficer polecił zegnać wszystkich dorosłych chłopów ze wsi i przede wszystkiem na rozkaz,—później z obietnicą sowitej nagrody,—zlecił wszelkiemi sposoby szukać skórzanej torby zarąbanego "miatieżnika". Chłopi, zbici w kupę nad brzegiem, medytowali w kilkudziesięciu,—dużo, długo, szeroko radzili, udzielając sobie nawzajem i żołnierstwu nieomylnych wskazówek, mądrych uwag. Kłócili się zajadle o plany działania, przyskakując jedni do drugich z pięściami. Rzeka,—"dopraszali się łaski u naczelnika" dragonów,—jest przepadzista,—doły w niej okropne, karpy głębokie pod brzegami, korzenie, kłody stare na dnie leżą od niepamiętnych czasów, co je powodzie Bóg wie skąd w to miejsce przyniosły,—woda w niej wartka, zimna, zła...

Niektórzy na ochotnika zanurzali się po szyję, szli nurkiem wzdłuż brzegów,—żeby niezwłocznie wyskoczyć i uciekać do wsi, szczękając zębami i trzęsąc się z zimna.

Inni poprzynosili saki i nimi przeszukiwali głębinę na znacznej w dół przestrzeni. Jeszcze inni sunęli od miejsca do miejsca, bobrując w wodzie tłukami i osękami. Trwało to aż do południa. Nadaremnie.

Nie wydała rzeka powierzonego sekretu. Oficer dragoński w złowieszczem usposobieniu wrócił znad wody do dworu. Nakazał sołtysowi, żeby mu niezwłocznie dostarczył kilka podwód dla odwiezienia do miasta rannych żołnierzy. Miał dwa trupy, trzech ciężko rannych i dwu lżej okaleczonych ludzi. Prócz tego utracił konia. Walczyło z nim dwu powstańców pierwszorzęd-

nego znaczenia, których miał rozkaz ująć żywcem. Jeden mu żywcem uszedł, a drugi został zabity, nie udzieliwszy o sobie żadnej wiadomości. Nadewszystko,—akty, które rozsiekany miał w ręku, przepadły, utopione w rzece.

Oficer był wstrząśnięty aż do granic rozpaczy. Zabronił chłopom pod najsroższą karą chować w ziemi ubitego buntownika. Kazał,—że ma tak zgnić, jak tam leży na błoniu,—i żeby go w oczach całej wsi ptacy w sztuki roznieśli. Kiedy ranni i zabici żołnierze złożeni zostali na wozach, wysłanych słomą, i karawana podwód wolno odjechała,—dowódca rozkazał jednej grupie swoich podwładnych paść konie w stodole sianem, a innej przeszukiwać dwór, dziedziniec, ogród, piwnice i najbliższe otoczenie folwarku. Czuł konieczność wywarcia na kimś swej wściekłości i wzięcia odwetu za tak fatalne niepowodzenie. Chciał mieć w ręku pannę, co w tym domu mieszkała, a której nigdzie, wśród najdzikszych zdarzeń tego czasu nie mógł zapomnieć. Wszakże to ona ukrywała tutaj dwu inspiratorów sprzysiężenia. Posłania ich, jako nieodparte dowody winy, jeszcze w dużej stancyi leżały. Groźny oficer przemierzał cały dwór, pusty najzupełniej,—sam zaglądał w kryjówki, boczne izdebki, w sienie i na schody. Idąc tak ze stancyi do stancyi, znalazł się w wielkiej sali z gorzelnianemi statkami,—a stamtąd wkroczył do następnego pokoju, gdzie ongi mieszkał legendarny Dominik, —a skąd tego ranka wyskoczyli przez okno w ogród dwaj spiskowcy. Pokój był długi, bez mebli. Pobudzał niejako do tego, żeby w nim spacerować. Oficer Wiesnicyn chciał być sam. Zaczął machinalnie, nie wiedząc o tem zgoła, wałęsać się z kąta w kąt. Zwaliły się na niego okrutne myśli i potworne uczucia. Ten pusty, zniszczony dom przypominał mu gniazdo rodzinne

w głębi Rosyi. Przygoda, która mu się dopiero co zdarzyła w pościgu i walce z dwoma powstańcami, ukazała w szczególnym świetle wszystkie zdarzenia tej wojny. Głucha mściwość, nie dająca się ugłaskać zgryzota, wynikająca z nieszczęśliwej miłości, nurtowała w tem wszystkiem. Oficer czuł w sobie wzgardę do siebie... Tamten, obskoczony przez sołdatów, stojąc w koszuli nad urwistym brzegiem, wołał słowo, szarpiące, jak razy knuta. Słowo rozjuszało, paliło do kości. Trupem legł za to na pastwisku, oddany wronom. Lecz oto inne słowo drgnęło w pamięci—i zakrakało—zakrakało jak dzikie ptactwo nad trupem. Frazes z hercenowskiego artykułu, ciśnięty rosyjskiej duszy ku obronie Polski: "idź stąd precz, albo szarp, jak kruk, nasze trupy." Głęboki śmiech, jakgdyby czyjś śmiech zewnętrzny, zahuczał w piersi: **"kluj woronom naszi trupy..."**

Nie były to wyrazy, lecz jakby widok krwi, ściekającej po nagim pałaszu. Treść ich zlepiła się ze wspomnieniem dokonanych zdarzeń, zeschła w rude jedno. Młody dragon, chodząc po izbie, coś przeklinał najstraszliwszemi wyzwiskami moskwy,—szarpał się w sobie, jak wilk na łańcuchu,—co pewien czas szlochał w głębi piersi, łzy nie roniąc z oczu. Och, tak niedawno. W kole młodych przyjaciół czytał sam wzniosłe inwektywy genialnego emigranta. Nie tylko brał je w serce, nie tylko niemi oddychał, lecz stał w szeregu tamtych. Teraz "ogarnięty uczuciem powinności," jak kruk trupom wydziobywał oczy. Wiedział, że się w nim nie oprze nic tej "powinności," którą w duszy rosyjskiej nitowały wieki, na pniu, pod katowskim toporem—i łkał.

Nagie ściany tego pokoju zdawały się nawiewać do serca rozpaczy, wpędzać w żyły jad śmierci. Było coś w tej izbie, co się wyśmiewało z samopewności

dzikiej potęgi, z siły i jej rozpętania, ze zdrowia ciał i z życia istot. Coś tu stowarzyszało się z człowiekiem,—takiesamo, jak on, a zgoła inne,—wałęsało z nim w samotni tej,—nieistniejący cień,—patrząc wygniłemi oczami truchła w jego żywe czucia, w mężną jego męczarnię, wyzywającą na rękę przeciwność. Kiedy jeździec oglądał się za siebie, widział tylko dawny pył i śmiecie podłogi, kurz grubą warstwą zalegający kąty, na którym niczyja od dawien dawna nie stanęła noga. Widok tego kurzu nie uspokajał, lecz podniecał. Oczy szukały na nim śladu stóp tego, co się w tym miejscu nie mógł, nie zdołał zwalczyć za życia i z życiem walczył po własnej śmierci. Oficer Wiesnicyn słyszał był za dawniejszych bytności klechdę o "Dominiku." Teraz ją miał i czuł w sobie. Ogarnęła go tutaj, chwyciła ni to ramionami samowładna nuda życia,—wstręt do czynów, które wykonywał i miał wykonać,—zrozumienie jałowości wszystkiego, co było w tej walce męstwem, tęgością charakteru, wojennym rozumem i świadomym czynem. Po tylu trudach i czynach puste miał ręce, a w sobie nie duszę czującą, lecz jakby wycie wilka w ostępie. Po męstwie, walce, pracy, niespaniu—zajrzało mu w oczy moskiewskie pytanie: — po co to wszystko?

W trakcie, gdy tak defilował z kąta w kąt gabinetu Dominika, usłyszał cichy, przeciągły jęk, nie wiedzieć skąd wychodzący. Zatrzymał się. Nasłuchiwał. Jęk powtórzył się i trwał z nieznośną monotonią. Oficer spostrzegł, że ten głos płynie z sąsiedniej sali. Skradając się na palcach, przyszedł do jego źródła. Wsparłszy się na rękach o brzeg kadzi, gimnastycznem podźwignięciem uniósł swe ciało z ziemi i zajrzał do wnętrza wielkiego naczynia. Z jego dna patrzyły nań oczy pow-

stańca, gorejące, jak płomienie. Dragon siadł na brzegu obwodu kadzi, przerzucił nogi i zeskoczył do wnętrza. Zaśmiał się z grubijańską radością. Nareszcie coś znalazł, czem można będzie zdławić "chandrę," ściąć jednym zamachem łeb wzburzeniu duszy.

Wydobył z za pasa pistolet i skierował jego lufę między oczy leżącego.

— Kto jesteś?—spytał.

— Powstaniec,—rzekł Odrowąż.

— Skądeś się tu wziął?

— Jestem ranny.

— Gdzie cię raniono?

— W bitwie.

— Jakie masz rany?

— Mam ranę w biodrze od kuli.

— Kto cię tu ukrył?

Książę milczał. Wiesnicyn pokiwał głową. Zrozumiał. Oczy mu przesłoniła zadymka wściekłości. Spytał:

— Ta panna ukryła cię tutaj?

Książę milczał.

— Aresztuję cię!—rzekł Wiesnicyn.

— Po co? Zabij mię. Trzymasz w ręce nabity pistolet. Jeżeliś żołnierz! Jeżeliś oficer! Wystrzel! Przecie umiecie rannych mordować.

Wiesnicyn patrzał mu w oczy, broń odwiedzoną trzymając w obwisłej ręce. Było dlań odrażające to polskie męstwo. Mruknął:

— Wstawaj! Aresztuję cię!

— Gdy mię stąd zabierzesz, umrę wam w drodze. W więzieniu nic nie powiem, gdybym wyżył. Jestem prosty żołnierz. Wystrzel!

— Postąpię, jak zechcę.

— Jeżeli pan nie wystrzelisz, postąpisz jak tchórz!

— Milczeć!

— Gdybym mógł stanąć na nogach, zabiłbym cię, jak psa! Więc i ty mnie zabij, jak psa! Jesteśmy śmiertelni wrogowie.

— Nie jesteś wrogiem, godnym mnie, niewolniku.

— Niech już raz przestanę cierpieć! Och!

— Leż tutaj, kochanku pięknej panny.

Oficer, stojąc nad tym człowiekiem, zamyślił się, zadumał głęboko. Miałże podnieść rękę i wystrzelić między oczy tamtego? Miałże odejść? Jeszcze bardziej wzmogła się w nim zgryzota. Znowu ów śmiech. Odwrócił się ze wstrętem, uczepił brzegu kufy, dźwignął na rękach i wyskoczył nazewnątrz. Właśnie nadciągnęła partya żołnierzy, która ścigała była powstańca na koniu. Jeźdźcy wracali na rumakach zhasanych, dymiących się, żółtą obwieszonych pianą—z niczem. Wachmistrz zdał raport, że buntownik na dragońskim kasztanie dopadł do lasu, skoczył w bok z drogi,—jak to wytropili, — a później, widocznie, kluczował po mchach i trawach, bo już jego śladów nie mogli odnaleźć. Rozdzielili się i, obławą idąc, przeszukali cały las na wylot. Zjeździwszy go w różnych kierunkach, nigdzie na trop nie trafili.

Część żołnierzy, która czyniła poszukiwania panny, wróciła również z niczem. Pytano ludzi we wsi, śledzono i tropiono, lecz, widać, daleko uciekła.

Oficer wysłuchał obudwu sprawozdań w posępnym milczeniu. Czuł wstręt do tego domu, jaki się ma do starych grobowców. Wszystko mu było jedno,—strzelić między płonące oczy powstańca, czy jechać w dalekie lasy. Namyślał się. Kazał okiełznać rumaki, zebrać się i siadać na koń. Lecz jeszcze wciąż wałęsał się

w ganku. Czekał. Pragnął, żeby wróciła piękna panna. Chciał zrobić jej podarunek,—oświadczyć z owym śmiechem wewnętrznym, że składa w prezencie owego w kadzi. Widział go i nie zabił, nie zabrał ze sobą. Chciał w jej oczach zobaczyć błysk wdzięczności, iskrę wzruszenia, bladość strachu, róż wstydu, ludzkie spojrzenie. Nic nie wskazywało na to, żeby nadeszła, a przecie czekał z ufnością, znaną tylko rozkochanym duszom.

Żołnierze od dawien dawna siedzieli na koniach. Wskoczył na swego. Odjechał z zamkniętemi oczami, z nocą w duszy i z niepojętym krzykiem w tej nocy.

IX.

Nad wieczorem, gdy już oddział dragoński od paru godzin znikł w lasach, panna Salomea wróciła do domu w towarzystwie Szczepana ze swej kryjówki na górze. Pobiegli obydwoje do rannego, żeby go z kadzi wyciągnąć i złożyć na posłaniu. Niezwłocznie też udali się nad rzekę. Ze zwłok Olbromskiego wypłynęło tyle krwi, że cały spłacheć ziemi nią nasiąkł. Panna Salomea przysiadła nad zabitym. Nie mogła płakać. Człowiek, który wczoraj patrzał na nią rozumnemi i dobremi oczyma, jedyny, któremuby zawierzyła, leżał w postaci zeszpeconych szczątek. Nie rozumiała ani kolei zdarzeń, ani zależności wypadków od głębokich przyczyn, ani tego straszliwego chaosu, który ją w sobie obracał, jak młyńskie koło kropelkę wody. Nie wiedziała, że i ona sama jest maleńką przyczyną obrotu wielkego koła. Nie mógł jej tego wszystkiego wytłomaczyć ojciec, prosty, wierny żołnierz,—ani ranny powstaniec,—prosty entuzyasta,—ani nikt z ludzi, przeciągających przez ten dom, który się stał, jak sień publiczna. Czuła, że jedni rzucili się w odmęt walki wskutek zaślepienia, które nie liczy i nie mierzy,—inni, popchnięci przez błędny rachunek,—inni, porwani przez wielki sen wolności, albo jej nadzieją,—jeszcze inni z rozkazu, dla mody, idąc w stadzie,—inni z tchórzostwa przed opinią. Ten jeden, wczorajszy gość, wiedział, co cały chaos znaczy, mierzył jego siłę, badał kierunek i nastawiał go na jakąś, sobie wiadomą drogę. On byłby jej wytłomaczył wszystko, byłby nauczył, co znaczą zdarzenia, bo mądrość i spra-

wiedliwość świeciły się w jego oczach, jak gwiazdy w nocy. Lecz oto ten właśnie leżał u jej nóg, z głową rozciętą, z której goły pałasz wyłupał mózg.

Nie mogła płakać. Dusiła się od czegoś, co zatkało gardziel. Kazała Szczepanowi, żeby przyniósł rydel i wykopał grób dla tego człowieka. Stary kucharz siedział na zgniłym pieńku wierzby i żuł skibę żołnierskiego razowca, którą był porzuconą znalazł na stole w kuchni. Gdy powtarzała rozkaz, jął mruczeć:

— Będę ta kopał! Nic ino toto noś, dźwigaj, obsługuj, brudy jeich wynoś. Tera znowu kop!

— Cicho! Popatrz...

— Będę ta na niego patrzał!

— Szczepan!

— Chce się takiemu gzić, to się gzi. Roboty dla nich na świecie niema. A ty mu znowuj dół kop!

— Cicho—cicho!...

— Dy ja nie wrzeszczę. Nie robię, co potrza?

— Jeśli Szczepan nie chce, to ja mu sama dół wybiorę.

— A no rydel jest, stoi.

Po chwili wstał ze swego pniaka i począł oglądać miejsce na małym wzgóreczku, bliżej ogrodu. Pchnął rydel nogą w miękką ziemię... Wykreślił nim na murawie miejsce na chłopa. Plunął w garść i wziął się do kopania jamy. Pracował w milczeniu, z najzupełniejszą obojętnością. Przez cały ten czas panna Brynicka siedziała w głowach zmarłego. Nie spostrzegła, że z za węgłów stodoły, z za drzew wysuwali się gospodarze wiejscy, baby i dzieci. Łączyli się w gromadki, szepczące pomiędzy sobą. Utworzyło się z nich koło ciekawych widzów. Szczepan wykopał niegłęboki grób. Zmierzch padał, gdy przyszedł, ujął trupa za nogi i po-

ciągnął do dołu. Panna Salomea szła za zwłokami do grobu. Złożone zostały w wilgotnej, wodą podmokłej ziemi i prędko zasypane czarnemi bryłami.

Wolno wracali obydwoje ze Szczepanem do dworu. Było ciężko iść. Było nudno i zimno w sercach. Patrzyli z odrazą na czarny dach, nakrywający siedlisko niedoli. Niechętnie wkraczali w progi. Gdy weszli, pierwszą czynnością było uprzątnięcie dwu pościeli wczorajszych gości, które jeszcze w dużym pokoju leżały. Panna Salomea, świecąc sobie latarnią, zabrała się do roboty. Lecz gdy się zbliżyła i dotknęła prześcieradeł, kołder, poduszek, przejęła ją awersya. Obiedwie pościele pokryte były mnóstwem wszy. Przyniesione tu zostały z żydowskich zajazdów, z chłopskich tapczanów, z wyrobniczych legowisk,—ślad terania się polskich wodzów po norach polskiej nędzy... Wszy zostały żywe, gdy dwaj ludzie znikli, jak cienie...

X.

Upłynęła połowa kwietnia. Długotrwała, wciąż nawracająca się zima wreszcie zelżała. Z góry za dworem, na której wciąż jeszcze tailły się w krzakach szmaty śniegu, spłynęły strumienie wiosenne. Wodne warkocze splatały się między sobą w ruczaje, lśniące na słońcu, i biegły przez piasczyste pochyłości ogrodu. Zniszczone zostały płoty, parkany, klomby, drogi gracowane,—a wiosenne wody brały w posiadanie stok góry, niepostrzeżenie czyniąc zeń pustkowie. Strumień, nieznany dawniej, biegł teraz przez środek i w ukos ogrodu, ku rzece. Tylko jeszcze dwór stał na jego drodze. Młoda trawa puściła się wszędzie.

W tych czasach zdrowie powstańca zmieniło się na lepsze. W okolicy kolana przestrzelonej nogi utworzył się olbrzymi wrzód i po kilku tygodniach pękł wreszcie pewnej nocy, jakby rozdarty od spazmatycznych krzyków rannego. Jakież było zdumienie trzech osób, gdy z wnętrza tego wrzodu wytoczyła się ołowiana kula! Po tym wypadku Odrowąż przyszedł do siebie, choć był jeszcze bardzo wychudły i osłabiony. Rany na jego głowie i ciele pogoiły się. Rozdarcie pod okiem dobrze zarosło i źrenica była zupełnie zdrowa. Gęste włosy osłoniły blizny rąbane na czaszce. Książę podnosił się z łóżka. Sam już kusztykał, gdy trzeba było uciekać i kryć się w stodole podczas przemarszów wojsk. Sam o kiju słaniał się po domu.

Pewnego wiosennego dnia stali z panną Salomeą w oknie sypialni. Pupinetti śpiewał, przekrzywiając

główkę,—a co zobaczył, że słońce tryska z za wiosennych obłoków, tocoraz głośniej szczebiotał. Przed oknem, na pustym dawniej gazonie puściła się jasna trawa, lśniąc w ogniach wiosny tysiącem młodych piór. Wśród tego gazonu stała brzózka młodociana, wysmukła i w drzewo już przerastająca, lecz jeszcze wiotka i chuda. Wątłe kłobuczki stulonych listków osypały jej pręty, czub i boki. Poprzez tę szatę przezroczystą widać było wszystkie pręty i witki, każdy pęd i jego odnóżkę. Brzózka stała w wiosennej zasłonie, jak anioł, któryby z przelotnych spłynął obłoków i spoczął przez krótki czas na nieszczęśliwej ziemi. Ruczaje, pędząc tu i tam w ogrodzie, pozamulały dawne ścieżki, rozmyły granice, niszcząc wszystko, co na tej pochyłości zaznaczyła swego myśl i wola człowiecza. Radość niestrzymana, igraszka rozkoszy bytu, drgała w skrętach i splotach nagłych strumieni, co z zatraconą szybkością pędziły w nizinę. Jeden z takich przewijał się wpoprzek dawnych alejek i zahaczał o gazon, na którym brzózka jaśniała. Zmulił tu trawę i rozpostarł na niej żółtą powłokę gliny obcej, przyniesionej z góry. Brzózka piła jego zimne wody,—i przedziwny uśmiech spływał z niej na strumień, łącząc oboje. Takisam uśmiech zakwitł na ustach księcia Odrowąża i panny Brynickiej. Cieszyli się widokiem drzewka i bujnej wody. Od tylu tygodni, w udręczeniu przeżytych, swobodne tchnienie wesołości pierwszy raz z ich piersi wybiegło. Skończyła się wreszcie sroga zima, której okrucieństwo najgłębszą miarą odczuwania zmierzyli. Ciepłem znowu tchnął wiatr i żywotwórcze swe soki puściła martwa ziemia. Ta zima miniona zdała się być, jak przepaść pusta, pełna mroku, jako czas niebyły. Przypatrywali się trawom, obłokom i podnieśli wzrok na siebie.

— Czy też i Dominik widzi tę wiosnę?—zapytała panna Salomea nie towarzysza, lecz raczej ogrodowej przestrzeni.

— Żadnego Dominika niema...—odpowiedział.

— A zapewne! Niema... Sama go tu widziałam.

— Sen, jak moja choroba...

— Pańska choroba to także sen?

— Zły sen.

— A ta kula, co z rany wypadła? To także sen? Prawda! Chciałam pana o coś prosić...

— Mnie prosić? "Choćby połowę królestwa!"

— Na razie to tylko o tę kulę, ale za to całą. Niech mi ją pan daruje.

— Dobrze.

— Dziękuję.

— A cóż pani będzie nią robiła?

— Cóż się kulą robi? Będę wojowała.

— Z kim?

— Mało to mam wrogów przed oczyma?

— Jacyż to są wrogowie?

— A już! Będę wyliczała...

— Żeby wymienić chociaż jednego!

— Niedługo pan stąd zniknie, jak poznikało wszystko. Skoro będę znowu samiuteńka jedna i wyda mi się, że pan był—sen,—spojrzę sobie na tę kulę i przekonam się, że pan tu był naprawdę.

Odrowąż zamilkł. Głowa jego bezsilnie wsparła się o futrynę. Myślał... Tyle nieopisanych, odrażających cierpień zniósł w tej izdebce, w tym domu bezpańskim, jak Polska,—a teraz na myśl, którą mu podsunięto, że trzeba stąd "zniknąć," odejść,—drapieżna boleść, stokroć gorsza, niż wszystkie fizyczne, nowem, nieznanem narzędziem rozdarła mu serce. Z ukosa,

nie odrywając głowy od futryny, spojrzał na pannę Salomeę. Po tylu trudach, niespaniach, biedach i prywacyach była przepysznie zdrowa. Pierwszy wiosenny wiatr, który jej przybladłych lic dopadł, pomalował je różem najsubtelniejszym, ozdobił czoło i szyję lekką pozłotą. Zęby, białe, jak najczystszy obłok kwietniowy, uśmiechały się w ponsowych usteczkach. Mówiła, kiwając głową:

— Już się żydy w karczmie zwiedziały, że we dworze ktoś jest. Ryfka mię ostrzegła. Dojrzeli pana ludzie ze wsi, kiedy się to kusztygało do stodoły. Jestem przez pańską tutaj obecność skompromitowana.

— Politycznie.

— Nie tylko.

— Umknę do partyi za dwa, trzy dni i wszystko się skończy.

— Proszę, jaki to pan wartki do umykania! A potrafi też wasza książęca wysokość chodzić prosto na nogach? Bo uczyli mię w klasztorze takiego wierszydełka: "Pierwej, niżeli latać, nauczcie się chodzić..."

— Sama mię pani przed chwilą wypędzała.

— Z tem wypędzaniem! Myślę co tu dalej robić...

— Z czem?

— Ze wszystkiem.

— Nie rozumiem.

— A cóż tam panu po rozumieniu? Był pan tutaj, a teraz wstanie i odejdzie. Ważniejsze przecie rzeczy są na głowie, niż to wszystko.

— Niż co?

— Och, z dopytywaniem się znowu! Nic, tylko mi się wszyscy dopytują:—a kto, a co, a jak, a kiedy, a jakim sposobem? Zdecyduj! Przecie mię to już mogło

na śmierć zanudzić! Nie? Niech że też i książę pan odrobinkę poradzi!

Wszystko, co mówiła panna Salomea, było jak zewnętrzne litery słów maskujących wnętrze duszy. Już oddawna czuła w sobie niepojętą zmianę. Nie była dawną sobą. Przestała być wolną dziewczyną. Wszystko niby to było normalne i w porządku,—wszystko, jak trzeba. Skrwawiony wojak przyszedł, doznał opieki i oddali się do ciężkiego obowiązku żołnierza. Cóż prostszego? A oto na myśl o tem, że on pójdzie, coś wstrętniejsze, niż wszystkie przeżyte męczarnie, coś gorsze niż sama śmierć zaglądało w oczy. Panna Mija krążyła teraz wciąż w myślach, że skoro tylko ten Odrowąż przepadnie, trzeba będzie zrobić coś takiego, by przyśpieszyć swą śmierć. Trzeba wymyśleć jakąś sprawę, któraby była sama przez się dostateczną przyczyną do zadania śmierci. Zostać znowu samej w tej pustce, z chodzącym po niej cieniem, z głuchym, ponurym Szczepanem! Czekać znowu po nocach na fenomeny tragedyi, co się wciąż stawała:—nocnych najść, rewizyi, grubijaństw... Widzenie tych przyszłych dni było po tysiąckroć ohydniejsze, (—choć to tak trudno udowodnić!)—od krótkiej śmierci... Żal było tylko ojca. Cóż będzie, gdy na swym zdrożonym koniku w nocy przyjedzie, w okno zastuka, a pustka mu odpowie? Pójdzie z powrotem i dla przegranej ojczystej sprawy, jak mężnie żył, walecznie zginie. To też pragnęła go pocieszyć tem przynajmniej, żeby samej skończyć w sposób sercu jego miły,—czyli śmierć ponieść. I śniły jej się piękne czyny, ponurym oświetlone urokiem. Widziała je, jak rzeczywistość, zżyła się z nimi. Odrowąż w tem wszystkiem jakby nie istniał. Kiedyniekiedy tylko przypominała sobie, że to będzie z jego powodu i wów-

czas, gdy on będzie nieobecny. Żywiła do niego za to wszystko raczej niechęć niż jakiekolwiek inne uczucie. Obarczała go najrozmaitszemi wyrzutami, a w obcowaniu z nim była zawsze szorstka i nieraz przykra. Ale za to w sekrecie jakże bez miary lubiła na niego patrzyć,—osobliwie, gdy spał! Włosy miał długie, zwisające czarnemi pasmami, jak przepyszne pióra,—rysy twarzy ostre i w jedyny sposób ocienione młodym zarostem. Już to oddawna, gdy znosił bóle fizyczne, męczyła się z nim, a raczej dziesięćkroć więcej,—za niego, dla odkupienia tych cierpień. Rany jego były w jej ciele i w duszy, w sercu i w snach. Ileż to snów przenikły, niby krwawe, bezkształtne zjawy—te głuche i ślepe rany!

Widziała go wielekroć nagiego i zachwycała się bezwstydną pięknością męskiej postaci. Gdy zagoiły się rany i w oczach piękniał, rosło tajemne w jej sercu nasienie tego uroku. W miarę powrotu do świadomości, stawał się sobą, wracał do arystokratycznych upodobań, wstrętów, gustów, przyzwyczajeń, nałogów. Każdy z jego odruchów brała w siebie, jako niewzruszony zakon. Lubiła, co lubił,—nienawidziła, co mu sprawiało najlżejszą przykrość. Na to, żeby mu dogodzić, żeby sprostać jego książęcej potrzebie, nie mogła nic zaradzić, więc trwała w biernem wyczekiwaniu. Ale każdy jej krok, ruch, myśl, każde uczucie i zamiar—były na jego skinienie, dla jego dobra. Nie chciała, żeby o tem wiedział. Wstydziła się, jak śmiertelnego grzechu, tych usposobień. Kryła się z nimi przed nim i osłaniała je zewnętrzną szorstkością, ale też tem boleśniej łamała się i męczyła w sobie. Dawniej spali w jednej izdebce. Gdy noce nie były już tak zimne, wynosiła posłanie do dużej stancyi. Dopóki nie miała

w sobie tych szczególnych uczuć, mogła spać w tamtym pokoju, obok rannego i nic sobie nie robić z opinii wszystkich ludzi, którzyby o tem wiedzieć mogli. Teraz, gdy poczuła ową niezdławioną, niezniszczalną obawę przed odejściem Odrowąża, wstydziła się być z nim nocami razem,—wstydziła się nieobecnych i niewiedzących ludzi, a nawet siebie samej. Co prawda,—zatliło się w niej pragnienie, żeby go całować w łagodne usta i w smutne, cieniem zasnute oczy. Częstokroć w nocy umyślnie przy jego łóżku zostawiała latarnię i, skradając się na palcach z drugiego pokoju do drzwi sypialni, patrzyła bez końca na te usta i na oczy, zakryte powiekami. W tem topieniu oczu w jego ustach była rozkosz śmiertelna.

Pocałunek nie był obcy jej wargom. Wychowana w domu, gdzie było wielu chłopców dorastających, kuzynów, krewniaków,—gdzie trwał nieustanny zjazd gości, sąsiadów i znajomych,—piękna panienka była przedmiotem ciągłej wszystkich pokusy. Nie miała możności odeprzeć wszelkiego rodzaju nagabywań i zalotów, a ulegając im, sama zapoznawała się ze zdradziecką siłą powłóczystych spojrzeń, pierwszych powiewów upodobania, przyjemności zetknięć w ciemnym pokoju i gwałtownych całusów w lica i szyję, niby to wydartych i skradzionych, a właściwie dobrowolnie ofiarowanych. Nikt jednak z przelotnych szczęśliwców nie posiadał uczucia panny Mii. Była to raczej łobuzerya pięknej dziewczyny, rozwydrzonej swem powodzeniem, fuga surowej a bujnej natury. Pewien starszy już kuzyn, który przez czas dłuższy bawił w Niezdołach, podobał jej się, jako mężczyzna. Był bardziej, niż inni, elegancki, miły, a co najważniejsza przystojny. Tego odwiedzała nawet dwa razy w jego stancyi gościnnej,

ulegając prośbom. Pierwszy raz nie broniła mu pocałunków swych rąk, drugi raz objęć w pół i całunków w policzki i szyję. Następnie jednak, gdy spostrzegła, że kuzyn darzy względami każdą przystojną białogłowę, żałowała swego afektu i z całej tej przygody wyniosła głęboką niechęć. O krewniaku, gdy wyjechał, zapomniała. Życie towarzyskie i stosunki płciowe na dworze niezdolskim nie odznaczały się subtelnością. Było to życie zamożnej szlachty bez poważniejszej ogłady. Rozmowy były dość trywialne; stosunki z płcią piękną niemal ordynarne. To też panna Salomea pochwytała mnóstwo najrozmaitszych wiadomości od służby, a głównie z rozmów męskich, które tyczyły się życia płciowego. Myśli jej stały na poziomie niezdolskim.

Teraz dopiero w obcowaniu z księciem Odrowążem spostrzegała coś innego:—wyjątkową miękość traktowania, grzeczność, czystość, powściągliwość w słowie, pomimo, że współżycie było tak bliskie i z konieczności bezpośrednie. O jego stosunkach familijnych nic prawie nie wiedziała. W czasie choroby z okrzyków, w bólach wydawanych, z gorączkowych wzmianek powzięła wiadomość, że ma matkę. Kiedyindziej w momencie przytomności wspomniał, że się kształcił w Paryżu i, że tam długo przebywał. Z rozmaitych wreszcie szczegółów wywnioskowała, że musiał być z bogatej sfery, a w powstaniu uczestniczył wbrew woli najbliższej rodziny. Te wszystkie okoliczności otoczyły go mgłą uroku, niezwalczonym zapachem powabu. Jeżeli się musiała wydalić z pokoiku rekonwalescenta, ogarniała ją natychmiast niezwyciężona tęsknota. Skoro można tam było wejść, coś ją niosło, jak wicher. Gdy teraz zaczął wracać do zdrowia, w ciele jej obudziły się jego siły. Wzmogły się także troski o bezpieczeństwo. Cała

dusza pełna była zmian i wzruszeń, niespodzianych ogniów, bijących z dna serca,—a najczęściej bezmyślnego zatracenia.

Tego wiosennego dnia wszystko stało się bliskie i jasne. Powiew zdawał się wydobywać słowa z ust ściśniętych,—nieść je i dopowiadać dźwięki, których brakło w zduszonej piersi. Książę, wpół leżąc na parapecie okna, oparty o futrynę, spoglądał w zniszczony ogród. Uśmiechnął się łagodnie, mówiąc:

— Gdyby nie pani, tobym już leżał w tej mokrej ziemi. Wyrosłaby na mnie młoda trawa.

— Byłby z pana jaki taki pożytek. A tak, to tylko zmartwienie.

— Zapewne. Przynajmniej koń moskiewski uskubnąłby mię i spożył. A tak, to rzeczywiście tylko zmartwienie. No, ale przecie prosiłem nieraz, żeby mię zgładzić. Nikt nie chciał. Nawet dragoński porucznik...

— Widać pan jest przeznaczony do wyższego jakiegoś celu.

— Do celu wysokiego—i z drewna.

— O, już swoje! Ciągłe wskazywanie na tę swoją bramę tryumfalną...

— Ja! Gdzież tam!

— Dopieroby się to różne księżniczki zapłakiwały gdyby mogły wiedzieć, jak się pan w kadzi na sucho gotował! Szczęście, że się o tem nigdy nie dowiedzą, boby się pan utopił w powodzi łez...

— Co ma wisieć, nie utonie.

— Och, z tą szubienicą! Jakoś się pana śmierć nie ima, więc co będzie, to będzie, a szubienicy nie będzie.

— Jeżeli mię pani będzie bronić zawsze od śmierci, to mi ona nic nie zrobi.

— Zawsze! To "zawsze" będzie trwało—może dzień, dwa, tydzień i drugi niecały. Jakże tu ratować, gdy pan zniknie...

— Jakoś mię pani wciąż stąd słowami wypycha.

— To się wie. Taka już ze mnie niegościnna gospodyni. W śpiżarni pustka, zęby wbij w ścianę! A tu nieoczekiwany gość,—w dodatku książę...

Odrowąż podniósł ciężką głowę, odwrócił się i patrzał w inną stronę. Wiedziała dobrze, że ważkie łzy kapią z jego oczu na odrapany mur podokienny. Coś ją ścisnęło za gardło. Własne nieopatrzne słowa werznęły się w piersi, jak zęby piły. To się uśmiechnęła złośliwie, to spoglądała nań bezradnie, co począć sama nie wiedząc. I oto wbrew woli, gdy włosy nad czołem zdawały się ogniem zajmować od niezwalczonego wzruszenia,—wsparła rękę na jego ramieniu. Położywszy zaś dłoń, uczuła, że jej oderwać nie może. Wstrząsnęła go zlekka za ramię. Nie odwracał głowy. Łzy wciąż kapały z jego oczu. Wtedy, nie panując nad sobą, podniosła drżącą rękę i zaczęła nią głaskać mu długie, lśniące, czarne włosy. Uspokajała go, jak dziecko nieszczęśliwe, łagodnie szepcąc zalęknione, ciche wyrazy. Wreszcie nachyliła się i, wszystka w uśmiech przeistoczona, poczęła całować jego białe czoło. Całowała je łagodnie, delikatnie, jak kwiat, którego niepodobna napatrzeć się, ani nawąchać,—aż go wreszcie same usta przytulą do siebie. Z zapomniałą miłością prowadziła wargami po pasmach jego włosów. Nie odwracał głowy przez czas długi, ani zdumiony, ani przejęty tym jej występkiem. Serce jego zatopione w głębokości smutku nie zdziwiło się i nie rozradowało. Gdy podniósł oczy, wciąż jeszcze pełne były łez. Patrzał na nią przez te łzy bez ustanku napływające i szlochał o straszliwej

doli kraju,—o klęskach, których wspomnienie w lód krew ścina... Mówił jej, jakie były przewidywania siły —i jak zawiodły,—o wierze i nadziei, z których tylko rozpacz została. Przytuliła jego głowę do swojej i coś radosnego szeptała mu w oczy i w uszy. Nie mogliby wyznać, gdyż nie pamiętali, czy to były pocałunki, czy tylko słowa i spojrzenia. Dusze ich nawzajem znalazły się w sobie, pobrały i zakochane jedna w drugiej niosły się nad ziemią, jak dwa wiosenne obłoki.

XI.

Pewnej nocy wiosennej gwałtowna ulewa zdawała się zatapiać świat. Potoki deszczu dudniły po dachu i pluskały za okiennicami, na głucho zawartemi. W pokojach panowała nieprzenikniona ciemność. Panna Salomea od wielu godzin leżała bez snu na swem posłaniu w dużym salonie. Drzwi od Odrowąża były przymknięte, gdyż zawsze teraz te drzwi, idąc spać, przywierała. Wszystkie myśli nieszczęśliwe, z miłości wyrosłe, rozpostarły się nad nię w tej nocy głuchej i potwornej. Zdawało się, że krążą, jak przeklęta czereda dookoła pościeli, że koślawe palce zapuszczają we włosy i wynoszą głowę ze snu. Co począć? Co przedsięwziąć? Jak wyjść ze sprzeczności i dać sobie radę? Jakimże środkiem uśmierzyć niezwalczone cierpienia serca, zadusić szlochy i ciskanie się ślepe wewnętrznej potęgi bólu?

Już w tej nocy tysiąc razy odważała się na rozmaite uczynki. Uciec z tym człowiekiem! Zginąć z nim gdzieś w bitwie, w jakiemś dzikiem, zwierzęcem, iście moskiewskiem zdarzeniu! Skonać z nim razem, tutaj lub gdzieindziej,—byleby tylko samej w tem miejscu bez niego nie zostać!

Jakże to będzie? Nie wiedzieć, dokąd poszedł i nie wiedzieć, co się z nim stało! Przybył obcy człowiek, a stał się wszechwładną siłą, która w duszy rządzi i świat sobą napełnia. Teraz-że czekać na wieść i nie doczekać się nigdy niczego! Żyć, gdy go nie będzie, skoro on jest życiem! Być w temsamem miejscu i wspominać

każdą chwilę, przeżywać powtóre wszystkie wypadki— i nadaremnie czekać, czekać na jakąś zbójecką wieść! Każda rzecz przestanie być sobą,—stanie się obrazem, albo wspomnieniem. Czy znowu—dowiedzieć się, że gdzieś jest, ocalał, ale jest z inną kobietą, mieszka tam i tam... Spostrzegała poprzez nocny mrok obcą twarz, oczy kobiece, w jego oczy wpatrzone, i umierała od tego widoku w najgłębszej męczarni. Och, jakże znieść takie cierpienie?

Porywała się tedy ze swego legowiska do jakiegoś dzieła, któreby go jej oddało. Przecie on jeszcze jest! Tu, za przymkniętemi drzwiami! Zawołać go półgłosem—i obudzi się. Odezwie się cichym, najsłodszym szeptem. Można go widzieć, dotknąć rękoma, mówić i słuchać. O, radości, radości! Przeżywała szczęście swoje, pieszcząc się niem, jak matka dzieckiem. Kładła na sercu, gorejącem w płomieniach, tę chwilę, która biegła, i kołysała ją na łonie swem, błagając, żeby jaknajdłużej, żeby nieskończenie ta chwila trwała! Lecz świadomość szczęścia wzniosła się jeszcze wyżej i odsłoniła prawdę bezwzględną, że chwila upływa,—dzień— noc przeminie, a następna doba to już może ostatnia. I znowu wybuchała podnieta: co czynić? Jaki znaleźć ratunek? Jak zacząć? Co zacząć? Na co się odważyć? Wspominała ojca—i konało w niej serce. Patrzyła w tę miłość nieustraszoną źrenicą i przeważała ją po tysiąckroć dokładną miarą swojej nowej, nieszczęsnej miłości. Ta niepojęta dla wszystkich siła, to nic,—stało się wszystkiem i wszystko pochłonęło w sobie. Słyszała głosy: oto Mija! Na tem skończyła! Zwyczajne, pospolite rzeczy, ordynarne dzieje. Puściła się z powstańcem, który do domu zaszedł. Nikt jej nie pilnował, więc skorzystała. Bezgraniczna, niezgłębiona męka, straszliwa

moc miłości—i ta siła sądu ludzkiego, co się w powyższych zawierała słowach! Jakież okrucieństwo! Jaki szał ludzki! Płomienie biły na głowę i serce dziko wrzało. Szlochała w poduszkę.

Więc cóż uczynić?—"Milczeć, zapomnieć,"—jak to mają zwyczaj nauczać starsze niewiasty. Porwała się ze swego miejsca z dziką rozpaczą: wiedziała, że nie zapomni i, że sobie rady nie da. Gdy przyjdą te dnie, które w dalekim mroku widziała,—udusi się z męczarni. To znaczy zapewne rozkaz:—"milczeć, zapomnieć." Jakże zapomnieć o tej głowie, tych oczach, o tym uśmiechu, o dźwięku jego wyrazów! Jakaż jest na to siła, co jest za sposób, żeby zapomnieć? Wiedziała, że takiej siły nigdzie niema i że nic na świecie wydać jej ze siebie nie może. Bo jakże wyjąć z duszy cały jej świat, jak wyrwać wszystko, co tym światem rządzi?

Postanawiała znowu... Przedsięwzięcia dziwaczne, najbardziej nieprawdopodobne, wobec których przed chwilą mróz jej plecy przenikał, wydawały się naturalnemi i łatwemi do wykonania. Lecz nim chwila minęła, wyrastał mur rzeczywistości. Zamykała się brama z prawej i brama z lewej strony, a głuche życia więzienie kładło na ręce kajdany.

Cóż uczynić z miłością ojca? Podeptać, odepchnąć? Przyjedzie w nocy i nie zastanie. Szczepan go zawiadomi, że tak i tak. Nie zabili jej wrogowie, nie "zgwałcili" przemocą żołdacy,—coby dla świętej sprawy z żołnierską mocą przebolał i Bogu oddał na sąd,—lecz ohydnie puściła się z powstańcem. Uciekła z nim i gdzieś się wałęsa. I oto miłość ojcowska, głębokie, naturalne czucie, jak oddech proste,—ukazało się, jako złe, jako przemoc i tyrania. O, rozpaczy, rozpaczy! Jakże to mogła zrozumieć w sobie, osądzić,—jaką wszechmocą pokonać

i skarać? Leciała do straszliwego zjawiska, żeby je szarpać i deptać, a nagłem tknięta wspomnieniem, patrzyła w inną stronę. Ukazywały się cudne widoki. Pojechała z nim, ze swym małżonkiem, w dalekie, obce, szczęśliwe kraje. Niema już tej ohydnej zbrodni, co się wśród nocy wałęsa po drogach, placach i domach ziemi zdeptanej, kołace do okien i rozrywa ludzki sen! Niema już tortur poniżenia i zgryzot wstydu, drgania kobiecej nagości pod okiem cudzoziemskich żołdaków! Wyciągnęła ręce w ciemność do szczęścia, które było za lekko przymkniętemi drzwiami.

Lecz wyciągnięte ręce chwytał i załamywał los... Musiały się cofnąć. Siedząc na łóżku z głową nisko zwieszoną, z rozpuszczonemi włosami, zatopiła w nich palce. A jak włosy palcami, taksamo myślą przebierała pasma i widoki swoich zagadnień. Przelotne marzenie, szczęśliwy mrok uczuć a omdlałość woli—poniosły w kraj pół jawy, gdzie fakty nieprawdopodobne stają się dokonaniem. Widziała obce miasta, słoneczne krainy. Przesuwali się ludzie, obcą gwarzący mową. Nawijały się przygody niewiadome duszy, zagadnienia, o które jeszcze nigdy nie zahaczała myśl. Widziała twarze ludzi, kształty gmachów, barwy pól, aleje i zagaja drzew w słonecznej, wyśnionej stronie. Tam to—daleko —odbywała się wędrówka z jej księciem panem...

Nagle, w pośród tego półspania, dał się słyszeć daleki w domu łoskot, jakby kto strzelił z palnej broni, albo uderzył z mocą w puste naczynie. Potem nastała cisza tem głębsza i zupełniejsza. Włosy zjeżyły się na głowie. Trwoga wionęła przez zmartwiałe ciało. Natężony, a pobudzony słuch powziął złudzenie nowego huku. Był ten drugi łoskot,—czy nie? Zapewne był, bo ciało po nim drży jak liść. — Dominik! — Jeszcze chwila

i coś pokojem wionęło, jakby się drzwi do wielkiego salonu na rozcież a bezszelestnie otwarły. O, Boże! Stoi we drzwiach! Czarna postać,—biała twarz.

Zakryła dłońmi oczy, zwinęła się w kłębek, wtuliła głowę w poduszkę, lecz widoku postaci nie mogła z oczu wytrącić. Lęk począł nią miotać. Coś pędziło z miejsca, uderzając w kości, gnąc żebra. Nie mogła! Porwała się na nogi. Przeraźliwie krzyknęła.

Z za przymkniętych drzwi książę odezwał się raz i drugi. Szeptem pytał, co się stało. Czy to żołnierze we drzwi łomocą? Plusk deszczu zagłuszał jego słowa, a dudnienie ulewy po dachu przeszkadzało rozróżniać wyrazy. Nie wiedząc ze strachu, co się z nią dzieje, drżąc na całem ciele, panna Mija wysunęła się z pościeli i w bieliźnie szła przez ciemność, patrząc rozwartemi oczyma we drzwi salonu, gdzie niemal na jawie widziała stojącą Dominika postać. Jeszcze zakrzyknęła i, straciwszy rozsądek, dopadła drzwi Odrowąża. Wskoczyła do tego pokoju wszystka w ogniach przerażenia, szczękając zębami,—i z krzykiem. Dopiero tam, gdy stanęła obok łóżka powstańca, opamiętała się, co zrobiła. On wtedy, dostrzegłszy białą jej postać w ciemności, wyciągnął ręce i trafił na zaciśnięte dłonie.

— Co się dzieje?—pytał.

— Dominik!—wykrztusiła, nie mogąc ustać.

— Gdzie?

— Tam,—za mną!

— Ależ niema nikogo!

— Stoi we drzwiach.

— To złudzenie.

— Przecie rzucał już beczkami.

— Co się też pani wydaje!

— Pan nie słyszał?

— Dzieciństwo! Kadzie porozsychały się, stojąc w przewiewnej sali, a teraz od ulewy znowu nasiąkają wilgocią i trzaskają.

— Lepiej tak nie mówić!...

Gładził pieszczotliwie jej ręce, żeby ją uspokoić. Każde takie pogłaskanie w istocie uciszało wzburzenie, lecz zarazem tchnęło językami ognia. Chciała wydostać dłonie z jego rąk, lecz ich nie puszczał. Przeciwnie przyciągał, przygarniał je do siebie,—do ust, do piersi. Tulił je do swej szyi, do czoła, gładził się nimi po twarzy. Nachyliła się niepostrzeżenie, przyciągana przezeń, i uczuła oddech na policzku. Nie mogła odejść, dźwignąć głowy. Niebiańskie zstąpiło szczęście, gdy ręce jego opasały ją poprzez bieliznę i pociągnęły bezsilną w to jego łoże. Radość niewysłowiona wytraciła do cna rozum, pamięć, świadomość, odczuwanie ciemności, wzrok i słuch. Sama jedna zastąpiła wszystko. Z westchnieniem nienasyconej rozkoszy przytuliła się cała, wzdłuż do tego człowieka, którego tak kochała! Na szept odpowiadała szeptem, na każdy pocałunek pocałunkiem, na każdą pieszczotę pieszczotą. Stała się, jak nie wiedząca fala morza, która tonie w innej fali,— jak powiewny obłok, który się w inny obłok zamienia, —jak gałązka drzewiny, co się posłusznie za wiatrem kołysze, nie wiedząc w jakiem miejscu i czemu. Rozwiązały się wszystkie myśli, ustała trwoga przed rozstaniem i straszliwe zagadki proste znalazły wytłomaczenie. Poczęła coś mówić o myślach, które ją prześladowały, gdy się sama jedna tarzała po łóżku w tamtym pokoju. Na pytanie, czemu oddawna nie przyszła, skoro się bała tak bardzo i martwiła tak głęboko, nie znalazła odpowiedzi. W istocie, wydała się sobie głupią i tchórzliwą. Poznała tę chwilę swego życia, jako

szczęście bez granic, bez miary, bez początku i końca. Oto ta chwila rozstrzygnęła wszystko. Podłożyła prześliczne ramiona pod głowę ukochaną, przygarnęła do siebie tego człowieka odebranego śmierci i kołysała go na czystem łonie, jak niedawno kołysała samą chwilę miłosnego szczęścia obcowania z nim pod jednym dachem.

Odrowąż poczuwszy rękami jej twarde, jędrne ciało, —dziewiczą piękność jej bioder, piersi, ramion i nóg,— ogłuchł i oślepł, stracił rozum i oszalał z rozkoszy. Zdawało mu się, że umiera. Istność jego zatonęła w niej i znikła, jako odrębny byt. Wtulił się w nią i przeistoczył w samo szczęście. Pocałunki stawały się coraz bardziej nienasycone, bez końca, ogniste. Krzyk radosny wymykał się z ust. Nazwy pieszczotliwe spadały na usta, na oczy, na piersi, na włosy...

Deszcz bił w dach, zacinał w ściany, bulgotał za zawartemi okiennicami wśród ciemnej, nieprzenikniowej nocy.

XII.

Zajechała nareszcie przed ganek żydowska parokonna bryka, a z głębi jej półkoszków wysiedli obydwoje państwo Rudeccy. On sam został za dużą kaucyą uwolniony z więzienia dzięki staraniom żony,—ale był chory. Niby to chodził o lasce, lecz wyglądał bardzo niedobrze i nic nie mówił. Pani Rudecka była także nie do poznania zmieniona. Mało ich wszystko, co zastali, zdawało się interesować.

Zasłano łóżko panu w jego dawniejszej kancelaryi i bez zwłoki się położył. Pani obeszła z Salomeą izby i zakamarki domu. Spostrzegłszy obcego człowieka w alkierzu swej wychowanicy, gospodyni domu nie wyraziła zdziwienia, ani niechęci. Kiwała tylko głową, zamyślona ponuro, gdy jej rozpowiadano, kto to jest i dla czego tu leży. Dwaj jej synowie przepadli w tem powstaniu. Jednego tak rozsiekano, że szczątków nie znalazła. Drugiego widziała w śmiertelnem gźle z trójkolorową kokardą pod szyją. Patrzała, jak go razem z towarzyszami broni bez trumny spuszczono w pospólny dół. Trzeci syn był jeszcze kędyś w polu, nie wiadomo żywy czy umarły, zdrów czy ranny. I cóż z tego, że gdy jej synowie włóczeni byli po ugorach zimowych przez zdziczałe konie, nie znaleźli dachu nad głową, ani nawet trumiennych desek w tym kraju, za który ponieśli śmierć,—obcy człowiek doznawał w ich ojczystym domu opieki i wygody? Wszystko już było jedno jej sercu. Zamyśliła się, pokiwała głową i odeszła z tej izdebki.

W tym czasie Odrowąż znowu był popadł w chorobę. Pewnej nocy, na dwa tygodnie przed przyjazdem państwa, Ryfka pukaniem w okno dała znać, że wojsko idzie. Nim zdołano obudzić kucharza, dwór został otoczony i książę boso i w bieliźnie musiał umykać boczną sionką w ogrody. Pobiegł na górę za folwarkiem i krył się w zaroślach aż do odejścia żołnierskiej roty. Gdy go znaleziono nazajutrz rano, był przemarznięty do szpiku kości i prawie nieprzytomny. Dostał silnej gorączki i popadł w ciężką chorobę, o której nie wiadomo było, jaka jest, bo nie było lekarza, któryby ją nazwał. Były dnie i noce, że z gorączki majaczył. Zdawało się, że zaraz umrze. Gdy obydwoje gospodarstwo wrócili do domu, choremu było już znacznie lepiej, ale jeszcze stan był zatrważający. Gorączka trzymała. Nic nie jedząc, ani pijąc, chory szklanym wzrokiem patrzał w przestrzeń.

Pan Rudecki, przetrwawszy bezsennie pierwszą noc w swym pokoju, wstał wcześnie następnego dnia,— mimo upomnień i protestów żony, ubrał się w grube buty, w dawniejsze swoje odzienie i wyszedł z domu. Zstąpiwszy z ganku, oglądał wszystko: rozebrane płoty, ogród, który chwastem zarastał, ślady końskich postojów wokoło dworu, spalone budynki gospodarskie, co w postaci okopconych słupów sterczały wśród zieleni... Zajrzał do pustej stajni, do pustych obór, pustych dołów kartoflanych. Przypatrywał się polom niezoranym i niezasianym—i całej pustce, która te miejsca osiadła.

Stał tak na gumnie, z uwagą rozglądając się wokoło. Poczem wrócił do mieszkania. Ale, znalazłszy się tutaj, gwałtownie zaniemógł. W złym stanie przeniesiono go na łóżko. Pani Rudecka poleciła Szczepanowi, żeby za jakąbądź cenę wynajął na wsi lub u żydów parę

koni i sprowadził z sąsiedniego miasteczka znanego felczera, który miał wielką w całej okolicy sławę i praktykę. Nad wieczorem felczer, starozakonny, w podeszłym wieku człowiek, przyjechał. Oglądał dziedzica Niezdołów, badał stan rzeczy, cmokał ustami. Zalecił spokój i przepisał rozmaite środki zaradcze. Na gorące prośby panny Salomei obejrzał również powstańca,—co uczynił w wielkim strachu i jeszcze większym sekrecie. Znalazł ciężką, niebezpieczną chorobę. Nie chciał wymienić jej nazwy. Zabronił rozmawiać z nieszczęśliwym księciem, zbliżać się do niego,—przestrzegał przed jakiemkolwiek jego wzruszeniem, otwarcie mówiąc, że może go ono zabić. Wreszcie, mądrze i tajemniczo przewracając oczy, oświadczył, że jak Pan Bóg da, to obadwaj chorzy mogą jeszcze powrócić do zdrowia. On sam nie wiele tu może poradzić. Z tem odjechał.

Pan Rudecki nie przeżył widoku, który nań czekał w Niezdołach. Po trzech dniach zakończył życie. Pogrzeb jego był prosty i ubogi, odpowiedni do tego czasu i warunków. Gromada wiejska nie stawiła się. Tylko paru starszych włościan zajrzało do dworu popatrzeć na dziedzica, jakby z ciekawości, czy na prawdę umarł. Trumnę zbił wiejski majster, który zaopatrywał w to ostatnie schronienie sąsiadów wioskowych.

Gdy zwłoki pana Rudeckiego wywieziono na cmentarz parafialny i pochowano, w domu niezdolskim nastały czasy jeszcze smutniejsze. Lały się nocne łzy wdowy i matki osierociałej. Splątały się teraz w jedno: —niechęć do życia i potrzeba tego życia dla dzieci pozostałych,—wstręt do jakiegokolwiek czynu i konieczność zabiegliwej czynności. Znowu szły koleją rewizye żołnierskie i postoje rozbitków powstańczych.

Obok tego wszystkiego w głuchej pustyni żalu przewijało się wiekuiste złudzenie wędrówek Dominikowego cienia, który zdawał się ze wszystkiego natrząsać. Wdowa słyszała wciąż jego kroki, trzaskanie drzwiami, jego śmiech w pustym, dalekim pokoju, za dziesiątemi drzwiami... Zdawało się jej, że tamten wciąż chichoce z radości, iż się tak wszystko zepsuło w tem dziedzictwie, w tym domu, w tem szczęściu. Jego męka, nuda życia i dzika śmierć—wzięły odwet. Chadzał tedy nocami po pustym dworze, przesuwał się obok sprzętów, zaglądał przez szpary uchylonych drzwi, czatował za szafami... Przypatrywał się wszystkiemu—i chichotał do rozpuku zły cień niezdolskiego dworu.

XIII.

Nadszedł już piękny miesiąc maj, a Józef Odrowąż nie powrócił jeszcze do zdrowia. Wiosenna zieloność okryła rany poszarpanej ziemi. Pióra, liście, szypułki, pokrętne badyle i wielorakie odmiany barw osłoniły rany ziemi i zalecały się oczom ludzkim. Podobnie, jak wsysały w siebie wilgoć i zgniliznę, taksamo barwami, kształtem i nieskończoną potęgą swego rozrostu chciały wessać w siebie cierpienie dusz, zniszczyć pamięć o tem, co już padło i umarło. Na dobro nowego życia rosło i bujało wszystko,—na stratę śmierci. Słowik śpiewał nocami nad wodą, w sąsiedztwie wzgórka, pod którym Hubert Olbromski znalazł schronienie. We dworze niezdolskim inne cokolwiek zaczęło się życie. Pani Rudecka jęła godzić i przyjmować służbę, parobków, skupować inwentarz, zaprowadzać ład, pracę i rygor w gospodarstwie. Myślała już o odbudowaniu stodół, obór i śpichlerza. Gotowano obiady i wieczerze. Szczepan stał znowu przy patelni, rondlach i saganach. Miał do dyspozycyi popychadło, brudne dziewczysko, szturmaka od szorowania statków i skubania kurcząt. Krzyczał na nie dzikim głosem za wszystkie czasy i poszturgiwał je, odbijając w dwójnasób dawną kucharską bezwładzę. Stosownie do zastarzałego przyzwyczajenia gadał z ogniem, coś mu oświadczał, dowodził, kłócił się, twierdził i zaprzeczał. Nieraz, widocznie, ogień bardzo mu się sprzeciwiał, bo stary tupał krypciami i wygrażał mu pięścią.

Czekano wciąż, że ojciec panny Salomei, stary pan Brynicki, rzeczywisty od wielu lat gospodarz w Niezdołach, rządca całego majątku, niepostrzeżenie z partyi wróci, obejmie władzę, zaprowadzi nanowo porządek, nastawi i w ruch puści cały ten wielki, dawny zegar gospodarski. Czekano nadaremnie... Pewnego odwieczerza przyszedł do dworu zdrożony wieśniak z odleglejszych stron, ze świętokrzyskich lasów, przynosząc wieść okropną: ojciec panny Salomei już nie żył. Raniony w bitwie kędyś w górach, krył się ciężko chory po chałupach wieśniaczych w pobliżu klasztoru Świętej Katarzyny, u dobrych ludzi pewnej leśnej wsi. Kurował się sam, jak mógł i umiał, staremi, żołnierskiemi sposoby. Przykładał różne maście na rany, pił odwar z ziół, sobie wiadomych. — Nadaremnie! — Nadeszła chwila, kiedy pojął, że już koniec żywota.

Uprosił tedy wieśniaka, który go u siebie krył i przechowywał, ażeby zaniósł wieść do córki. Napisał list. Na szorstkim i twardym skrawku siwego papieru, który w pochodach gdzieś zdybał, w braku przyborów pisarskich zaostrzywszy kozikiem ostatnią ołowianą kulę, która w torbie została,—napisał do córki przedzgonne posłanie. Bogu ją polecał i zacności krewniaków, z którymi tyle lat trudy dzielił i chleb łamał. Zaklinał, żeby strzegła dobrego imienia, żeby żyła i pracowała uczciwie. O sobie donosił, że jest ciężko chory i nie sposób mu już z tego miejsca, gdzie pisze, ani się wydostać, ani kurować gdzieindziej. Nogi odjęło. W głowie huk. Mrok w oczach. Pisał także, że w duszy nie czuje dawnej mocy, a w sercu ma wielki smutek. W przypisku dodawał, że posyła drogiej córce Salomei ostatni grosz, jaki ma, czterdzieści siedm złotych polskich. Raz jeszcze polecając "córeczkę Miję" Bogu, z którym w sercu

umiera, Jemu, co—"niezmiennie czuwa nad światem"—żegnał ją i błogosławił.

Włościanin, który list przyniósł, dodał ustnie, że ów starszy powstaniec pomarł był wkrótce po napisaniu tego listu i nocą, cichaczem pogrzebany jest przez wiejskich ludzi na starym cmentarzu kapliczki tej wsi górskiej w świętokrzyskich stronach. Chłop ów rozsupłał węzełek i uczciwie wyłożył na ławie ganku doręczone mu czterdzieści siedm złotych polskich. Opowiedział potem wiele szczegółów o ostatnich chwilach życia tego starszego powstańca. Człowiek ten był zgoła inny, niż chłopi niezdolscy. Stał po stronie "wiary," jako i wszystkie sąsiady we wsiach tamecznych. Głęboko się dziwował chłopom, odgrażającym się na "polaków," których spotykał w drodze swej, gdy szedł w daleki, pierwszy raz przemierzany świat, niosąc zlecenie. W jego bowiem okolicy ludzie wierzyli swoim i na polską patrzyli stronę,—pomagali w przeprawach, ukrywali rannych, a nawet sami, co młodsi a ognistszego ducha, z partyą chodzili. Obdarowany dziękczynieniem i nakarmiony, poszedł nazad, gdyż trzeba było śpieszyć coprędzej w dużą drogę, a ścieżkami nieznanemi, mało uczęszczanemi, wskróś lasów, żeby się z wojskiem nie zetknąć. Panna Salomea odprowadziła go parę wiorst miedzami pól,—ostatniego świadka, bolesnego zwiastuna. Po rozstaniu, patrzyła za nim długo—długo—za gońcem, co przyszedł do niej od ojca, a teraz szedł w to miejsce, gdzie on jest. Postać jego malała, czyniła się podobną do ziemi... do zmierzchu... Gdy się oddalił i znikł, popadła w głęboką rozpacz. Zabiła ją na duszy ta wieść. Podwójnie, potrójnie, po tysiąckroć wielkie było jej cierpienie, gdy zestawiła daty i przekonała się, że ojciec dogasał w samotności wów-

czas, kiedy ona oddała się kochankowi. Umierał w tym czasie, czy w pobliżu owej nocy niezapomnianej, kiedy ciężką i niewolę nakładającą wydawała jej się ojcowska miłość. Zmartwiała, bez łez w oczach biegła teraz rozkwitłemi polami do tego domu. Krzyk boleści wydzierał się z jej ust. I oto nagle—tem większą, straszliwszą, jedyną i bezgraniczną zapałała do kochanka miłością.

XIV.

Pani Rudecka postanowiła działać w imieniu i za całą rodzinę. Brała się do gospodarstwa. Lecz wszystko się teraz rwało, szło na marne, leciało z rąk. Stosunki uległy bezwzględnej zmianie. Ludzie byli inni, tem nieżyczliwsi i hardsi, im bardziej nisko schylali dawniej głowy. Wszystko ginęło, skradzione w sposób niemal jawny. Rozsypywały się wszelkie trudy i wsiąkały w nicość.

Panna Brynicka, jako młodsza i zdrowsza, musiała wziąć na barki lwią część roboty. To też niedosypiała teraz, a nie jadła prawie wcale. Troska o księcia doszła do stanu nieprzerwanej rozpaczy, wciąż pokrytej doskonałą miną, konceptem i wesołością dla odwrócenia podejrzeń. Sen zamienił się na półjawę—półmarzenie, znane tylko kochającym kobietom. Jedno ucho w zaświecie sennych marzeń, a drugie nasłuchiwało oddechu, czujnie chwytając każdy szelest. Myśl pryska, unasza się i leci o sto mil od ziemi, a zarazem trwa nieustające baczenie, rokowanie i logiczne wnioskowanie o postępach i stanie choroby.

Przemarsze i najścia wojsk nie były teraz tak częste, gdyż powstańcy, zaszyci w lasy, odciągali nieprzyjaciela od ludzkich siedlisk. Nadto, główna akcya gerylasówki w inne czasowo przeniosła się strony.

Obiedwie mieszkanki starego dworu korzystały, ile sił starczyło, z tego zbiegu okoliczności i pracowały od świtu do nocy. Tyle było zaległości! Śmiały się głośno i mówiły tylko o rzeczach wesołych dla pokrycia

uczuć istotnych, wewnętrznych,—może dla tego zresztą, żeby przez śmiech wywrzeć ucisk na duszę i oduczyć serce nałogu płakania. Ale niezawsze się to udawało. Wietrzono w ogrodzie pewnego słonecznego dnia kufry, na głucho pozamykane tej zimy. Wydobyte rzeczy obiedwie krewniaczki rozwieszały w ogrodzie. Pracowały żwawo i było im wesoło od tej czynności. Ale oto pani Rudecka weszła do mieszkania i długo nie nadchodziła. Wtem młoda panna usłyszała z głębi domu spazmatyczny krzyk. Pobiegła. Szukała, wpadając z pokoju do pokoju. W kącie jadalni,—dużej izby przy kuchni,—zastała panią Rudecką siedzącą na ziemi, za szafą. Nieszczęśliwa matka znalazła w szufladzie ubranko dziecięce Gucia,—syna rozsiekanego w powstaniu. Schwyciwszy dawną kurteczkę ze złocistemi guzikami między zawarte w krzyż ramiona, przycisnęła ją do piersi i, siedząc w kucki na ziemi, kołysała się tam i nazad, ślepa, głucha, nieprzytomna z boleści. Krzyk dziki, podobny do pisku kani, wypadał spomiędzy jej ściśniętych zębów. Podniesiona z ziemi, otwarła oczy, przyszła do siebie, przeprosiła za tę niewłaściwość i wzięła się do roboty. Wszelkie wieści ze świata, wszelki turkot na dziedzińcu sprowadzał drżenie, panikę i męczarnie ucieczki. To też we dworze niezdolskim znienawidzono turkot i tętent. Tymczasem pewnego popołudnia, w drugiej połowie maja, przed gankiem dworu stanęła wielka, lśniąca kareta, zaprzężona w cztery spasione i zgrzane konie. Pani Rudecka z przerażeniem wybiegła do sieni i stanęła za wejściowemi drzwiami, patrząc na świat przez boczne okienko w oczekiwaniu jakiejś nowej klęski. Panna Salomea przypatrywała się również karecie, ukryta za firanką dużego pokoju. Na szczęście nie mężczyzna wysiadł z pojazdu,

lecz kobieta, co było już pewną ulgą. Przybyła pani była wysoka i, pomimo siwiejących włosów, ze śladami piękności na twarzy. Podniosła zasłonę czarnego kapelusza i rozglądała się na wszystkie strony, widocznie, oczekując, że ktoś wyjdzie ją przyjąć. Lecz w czasach tych niegościnne były domy i ludzie nie byli spragnieni widoku ludzi. Gospodyni nie śpieszyła się z powitaniem, w nadziei, że owa dama, jak przyjechała, tak pojedzie sobie w błyszczącej karecie. Czarna pani zbliżyła się do ganku i wstępowała na jego schodki. Schodków tych było kilka,—a zdawało się, że nie może na nie wkroczyć. Trzeba było drzwi otworzyć i wyjść na spotkanie. Gdy pani Rudecka stanęła w progu, przybyła, zobaczywszy ją, skinęła kilkakroć głową. Była blada, jak papier, z podkrążonemi oczami i sinością dokoła ust. Stojąc na pierwszym stopniu schodów ganku, potknęła się na drugim i z dziwną niezgrabnością na nim przyklękła. Głosem dygocącym, przez zęby, które szczękały, jak w febrze, zapytała:

— Wszak to jest dwór w majątku Niezdoły?

— Tak... — odrzekła gospodyni.

— A to może pani Rudecka?

— Ja jestem...

— Mówiono mi... Powzięłam wiadomość, że się tutaj leczył w zimie ranny... Szukam od trzech miesięcy... Powiedziano mi... To młody chłopiec. Brunet. Szczupły. Wysoki.

— A jak nazwisko?

— Nazwisko Odrowąż, imię Józef.

— To pani może jest jego matką?

— Matką...

— Proszę wejść.

— Czy jest?

— Jest.

— Żyje?

— Żyje.

— O, Boże! Tu w tym domu?

— Tutaj. Niechże pani wejdzie.

Ale przybyła nie miała już siły wejść. Uśmiech szczęścia, który na jej usta i twarz wystąpił, był, zdawało się, ostatnią kresą mocy, resztą wszelkiej siły. Osunęła się na kolana i, wyciągnąwszy ręce do pani Rudeckiej, zemdlała. Panna Salomea przybiegła na pomoc, dźwignęła i otrzeźwiła wodą matkę księcia. Furman, który tę rozmowę słyszał, dał koniom po tęgim bacie, nawrócił czwórką w podwórzu i szybko odjechał. Księżna Odrowążowa wniesiona została przez obiedwie panie niezdolskie do stancyi na prawo, leżącej zdala od sypialni rannego. Zaledwie przyszła do siebie, patrząc na pannę Salomeę, spytała:

— To pani uratowałaś od śmierci mego chłopca?

— Skądże ta wiadomość?

— Od doktora...—wyszeptała.

— Od doktora Kulewskiego?

— Tak. Szukałam na wszystkie strony, zjeździłam wszystkie pola bitew, zajazdy, dwory, wsie, rozpytywałam wszystkich ludzi. Nareszcie...

— Ale on jest ciężko chory...

— Chory! Cóż mu jest?

— Nie wiem. Był poraniony...

— Te rany znam. Na głowie, na plecach... oko... Mówił mi doktór wszystko. Czy ta kula jest jeszcze w ranie?

— Kuli już niema.

— Już niema!

— Ale się przyplątała jakaś choroba.

— Mój Boże! A gdzież on jest?

— Teraz nie będzie pani mogła zobaczyć go, boby mógł nie przeżyć wrażenia.

— To taki chory!

— Tak powiedział felczer, co go widział.

— Sprowadzimy doktora!—rzuciła się matka.

— Dobrze!—równie cicho szepnęła młoda.

Nachyliły się ku sobie i zaczęły szeptać, jakby wobec słuchającego nieprzyjaciela, o szczegółach tej choroby, o najdrobniejszych jej objawach, symptomatach, o przypuszczeniach i środkach ratunku. Zapomniały o świecie, nagle związane w jedno, złączone splotem uczuć, który się we dwu osobach wzajem a natychmiast objawił, zadzierzgnął i spoił. Pani Odrowążowa siedziała w rogu sofy, Salomea przy niej na taborecie. Matka objęła tę nieznaną dziewczynę rękoma, niepostrzeżenie w pół,—sunęła dłońmi do jej szyi, przygarnęła do siebie, przytuliła jej ramiona, głowę, plecy, i razem z nią jęła się w uniesieniu wdzięczności kołysać. Gładziła jej lśniące włosy delikatnemi palcami, muskała po stokroć dłońmi policzki. Nie wiedząc o tem, w szale swej radości, ujęła ręce panny Mii, przycisnęła je do ust tak nagle, że tamta ledwie je zdążyła wydrzeć z okrzykiem. Naprzeciwko nich siedziała w swoim fotelu pani Rudecka. Była dwornie uśmiechnięta, wykwintnie spokojna, jak należy wobec gościa. Z głową pochyloną ciekawie, słuchała rozmowy, dzieliła radość matki, która syna odnalazła na krętych, mylnych, dalekich drogach polskiego powstania. Lecz po prawdzie—oczy jej nie widziały osób i uszy nie zupełnie słuchały szczegółów, które tak nieskończenie zajmowały tamte dwie osoby. Oczy jej patrzyły poprzez nie obiedwie kędyś w szyby okna, czy w chropawe ściany domu,

w pola, w dalekie leśne doły, a może zuchwale w niedosięgłe oczy straszliwego Boga.

Księżna, zapomniawszy o świecie, o zwyczajach towarzyskich i wszystkiem, co najpierw trzeba było wykonać, prosiła się panny Salomei, żeby jej pozwolono zobaczyć syna. Lecz młoda opiekunka nie zgadzała się. Zbyt dobrze znając stan chorego, wiedziała, że na widok matki popadnie w gorączkę stokroć silniejszą, a ta gorączka może go zabić. Targowały się długo. Jedna wciąż błagała, druga nie chciała ustąpić. Stanęło wreszcie na tem, że matka przez szparę we drzwiach zobaczy jedynaka. Zapominając o pani Rudeckiej, poszły na palcach przez wejściową sień, przez salon. Panna Salomea przemknęła się przez ten pokój, weszła do sypialni i zostawiła za sobą drzwi niedomknięte. Przez szczelinę można było widzieć twarz chorego. Pani Odrowążowa przypadła oczyma do tej szpary tak cicho, że Salomea nie wiedziała, czy ona tam już jest, gdzie być miała, czy jeszcze zdala stoi. Tymczasem matka powstańca, przysunąwszy się na palcach jak najciszej do otworu między futryną a drzwiami, osunęła się na kolana i patrzyła. Z modlitwą na drżących wargach, przez strugi nieprzebranych łez patrzyła na twarz ulubioną. Minęła tak godzina i druga. Panna Salomea nie mogła jej z tego miejsca podnieść ani oderwać. Dopiero, gdy zbliżył się wieczór i zasłaniać począł chorego, księżna przemocą odciągnięta została do jednego z dalszych alkierzów, gdzie dla niej przygotowano posłanie.

XV.

Inne życie zapanowało we dworze. Księżna dla ratowania syna sprowadzała lekarzy, płacąc im szczodrze za rady i trwogę. Pod rozmaitemi pozorami najęła służbę do jego obsługi. Płaciła za wszystko, sypiąc pieniędzmi na prawo i lewo, byleby tylko ukochany jedynak mógł przyjść do zdrowia. Między innemi zarobił i na ludzi wyszedł, dzięki temu zbiegowi wydarzeń, stary kucharz, Szczepan Podkurek. Kiedy panna Salomea wyjaśniła, w jaki to sposób starzec tylekroć ratował życie młodzieńca,—jak go obdarzył krypciami i karmił kaszą,—ile dlań później uczynił, pani Odrowążowa na wiedziała poprostu, jak dziadowinę wynagrodzić. Cóż innego mogła dlań uczynić, jak go nie obdarzyć pieniędzmi? Wręczyła mu tedy sakiewkę ze złotemi monetami, obsypawszy poprzednio tysiącem dziękczynień. Dziadowina schował sakiewkę w zanadrze i pilnował jej, jak oka w głowie. Posiadanie tak wielkiej ilości złota przewróciło na nice wszystkie jego myśli. Chodził po dawnemu w zgrzebnej koszuli i spodniach wypchniętych na kolanach, dziurawych i brudnych,—w starych trepach z drewnianą podeszwą. Jak przedtem głowy nie nakrywał niczem, gdyż od dawien dawna nie posiadał ani kapelusza, ani czapki. Gotował w dalszym ciągu dla państwa i czeladzi,—sam wszystko musiał warzyć na żądanie przybyłej pani, a coraz wymyślniejsze potrawy dla chorego panicza. Posiadanie pieniędzy było tedy czemś zewnętrznem i nierealnem. Raz wraz wsuwał rękę w zanadrze i ściskał

swój skarb, badając, czy go zmysły nie łudzą i czy to na prawdę on sam, Szczepan kucharz, jest tym bogaczem, o którym mu się wciąż marzy. Gdy w kuchni nie było nikogo,—według dawnego swego przyzwyczajenia,—gadał z ogniem. Gadka była wciąż o kradzieży.

— Ukradł!—ciskał się ku ogniowi z pięściami,—a komuż ukradł? To gadaj, skoro wiesz,—komu! Ukradł! widzicie wy, moi ludzie... Tylą sakwę ukradł,—a komu! Miał je tu kto, nosił, albo zostawił, czy co? Świnie, nie ludzie! Pani mi dała, jaśnie pani, żem jej syna zratował. To za to mi dała. Jeszcze mię po gębie rączką przejechała i w łeb mię cupnęła swoją gębusią. No, żebyśta wiedziały, świnie, nie ludzie! Świadka,—pada,—nie było na te ta sztuki... No, nie było. To ja krzyw? Wiedziałem to, co będzie ze mną robiła, jak tu do kuchni wlazła? Żebym wiedział, tobym was, sobacze, zwołał: chodźże i ślepiaj! Mogłyście stać kaj w kącie i patrzeć. Samebyście, zatracone, obaczyły, jako było. Tu se stanęła, wedle komina... I ja patrzę, i ona patrzy. Dopiero wzięła tę sakwę, z kieszonki wyjęła i w garść mi... Naści,—pada,—bracie,—tak sama jaśnie pani księżniczka pedziała,—Bóg że ci zapłać! Kup że se ta, co sam chcesz. No—to cóż teraz? Prawda, czy nie? Gadaj, ścierwa, jeden z drugim! Każą przysięgać, będę przysięgał! A ona sama przyświadczy, jako że prawda. Tu stanęła wedle komina... I ja patrzę, i ona patrzy. Dopiero wzięła tę sakwę, z kieszonki wyjęła i w garść mi... Ukradł! Nie ukradł, sobacze, ino moje...

Ogień, widocznie, wiary nie dawał,—buzowało się w nim zwątpienie i podejrzliwy śmiech, bo Szczepan pokrzykiwał i grubijańskiemi sypał obelgami, których powtórzyć niesposób.

Co pewien czas, gdy chwilę miał wolną, chodził cichaczem na górę za ogrodami i tam, zaszyty w najgłębszą gęstwinę, wydobywał z zanadrza sakiewkę. Ostrożnie, sztuka po sztuce wyłuskiwał z niej złote monety, kładł je na rozpostartych liściach jednę obok drugiej i usiłował zrachować. Ale dokładne zliczenie tej sumy przekraczało jego znajomość rachunku. Nie mógł ocenić i określić swego skarbu. Coś sobie wciąż przypominał z dawniejszych lat, jakie to są wysokie liczby i rozległe rachunki, obejmujące dużo dziesiątków. Nurzał się myślami w niewiadomy mrok ludzkiego kalkulowania, medytował i wydobywał z nicości jakowąś swoją własną systematykę przyłączania jednych pieniądzów do drugich w celu wydobycia ich sumy, —dodawał z mozołem, jak to czynią parobcy, ciskając na widłach snopki w zapole. Wszystko się to w pewnych miejscach plątało i myliło, zahaczone o niewiadomą wartość złotych pienięðzy. Musiał poprzestawać na tem, że, leżąc na brzuchu, wpatrywał się w błyszczące krążki, rozpostarte na zielonych liściach i wyszczerzał do nich dziurę między zębami w nieopisanego szczęścia uśmiechu. Nie ważył się nikogo poprosić o stwierdzenie wysokości majątku w obawie zdrady, oszustwa, podejścia, kradzieży i rozboju. Tak tedy trwał. Po pewnym czasie zrodziła się w nim żądza, żeby pójść w swoje "kraje," to znaczy do wsi, odległej od kuchni o jakie trzy mile drogi, gdzie nie był już dwadzieścia parę lat, wciąż kucharząc we dworze. Śniła mu się wyprawa w te dalekie okolice, pochód tryumfalny do wsi rodzinnej ze skarbem w zanadrzu. Widział znowu we mgle tę wieś,—błoto, drogi, chałupy, powyginane pleciaki, obdarte i zgarbione drzewa,—słyszał znowu, jak tam psy szczekają, ludzie się swarzą, jak

skrzypi żóraw studni w tem miejscu, gdzie przy gościńcu bajoro najgłębsze. Śmiał się w głos, patrząc w ogień i gadając mu o tem dziwowisku, gdy będzie szedł w swoje strony z wielkim skarbem w zanadrzu.

— Weznę się na prawo od figury bez tę dziurę w Walkowym parkanie i pójdę ścieżką do przełazu u Bartosiowej stajni. Psy mię ta przecie znają,—choć, kto je wie, może już i pozdychały?.. Che—che—sama mię Bartosiowa pod nogi podejmie... — Siądźcież se, siądźcie, Szczepanie, boście się ta i zegnali, mały to świat o suchym pysku. — Ty, babo, nie wiesz, rzekomo, czemu tak gębą wywijasz? Ja was aby nie znam, Bartosiów!..

Coś się jednak wciąż psuło w perspektywach wymarszu, bo się stary gniewał i srożył, tupał na kogoś nogami i groził pięścią. Prawdziwa trudność nastręczała się z obraniem chwili, bo gdy o niej myślał, to mu, wobec nawału roboty, znikała tak bez śladu, że jej nie mógł pochwycić. Ułożył sobie nawet śpiewkę, którą wykrzykiwał, chichocąc do płomienia pod blachą. Pieśń była niedługa, a zaczynała się od słów:

"Nie uciekam, ino idę,
Bom tu cierpiał wielką biedę"...

Lecz pomimo tej biedy i pomimo uroczych widoków w ojczystej wiosce Szczepan zabiegał około komina w Niezdołach w tymsamym kostyumie i z tąsamą pracowitością. Nie było żadnej nadziei, żeby wykonał plan, w śpiewce zawarty. Nie było zresztą po temu możności, gdyż roboty przybywało coraz więcej i coraz bardziej urozmaiconej. Trzeba było choremu gotować posilne rosoły z kurcząt i wymyślne potrawki. Księżna sama stawała przy zasmolonym kominie, gotując i smażąc dla syna pożywienie. Jakże ją miał Szczepan samą, bez kucharza zostawić? Któż miał gotować obiad włas-

nej jego pani, no i pannie "Samolei," której po śmierci starego Brynickiego był niejako opiekunem?

Księżna Odrowążowa nie mogła wciąż jeszcze pokazać się na oczy synowi. Przez szparę we drzwiach przypatrywała mu się w sekrecie. Salomea, spełniająca przy nim rolę siostry miłosierdzia, stopniowo przygotowywała chorego do widzenia z matką. Korzystając z każdej lepszej jego zdrowia chwili, mówiła o matce, zapytywała, czyby do niej nie chciał napisać... To znowu, czyby ona sama w jego imieniu nie mogła dać znać i prosić o przybycie. Chory początkowo nie zgadzał się, protestował. Później przystał i sam zaczął mówić o matce. Wreszcie, złudzony wersyą o listach, jął dopytywać się, czy niema odpisu. Salomea łudziła go wszelakiemi opowieściami o tem, że list został doręczony, że matka jest już w drodze, że prawdopodobnie przybędzie...
Pani Odrowążowa słuchała za drzwiami tych rozmów, drżąc, żeby nareszcie do syna się zbliżyć. Łowiła oczyma zdaleka jego każde spojrzenie, gest—chwytała każdy oddech i jęk,—płucami odczuwała jego kaszel i sercem wzmożone bicie serca.

Tak na wszystko patrząc, nie mogła nie zobaczyć prawdy uczuć i stosunku chorego do opiekunki. Wyraz oczu syna, jakim witał i żegnał każde wejście i wyjście młodej panienki, powiedział jej wszystko już w pierwszych dniach tego dziwnego współżycia. Nieszczęśliwa matka pragnęła teraz jednej tylko sprawy: uratować życie dziecka. Ileż męczarni sprawiał jej każdy szelest, turkot, tętent, zwiastujący nadejście wojska! Była posłuszna Salomei, jak dziecko, gdyż ta wiedziała, co czynić w razie nieszczęścia, jak ratować. Nieszczęśliwa matka w lot poznawała wszelkie środki, przeszpiegi, kryjówki, manewry—i w lot wykonywała rozporządze-

nia. Ponury i brudny Szczepan rządził nią w nagłych przypadkach, wydawał rozkazy nieodwołalne i w sposób nie znoszący protestu. Była posłuszna, jak służąca. Biegała, dokąd kazano, wykonując wszystko bez szemrania, co tylko dawniej Szczepan załatwiał. W tych dniach niewielu zbliżenie Salomei i matki Józefa Odrowąża było tak wielkie, że stały się obiedwie, niby jedna istota. Rozumiały się nawzajem umysłami, a nadewszystko uczucia ich były dla siebie bez tajemnic. To, co dla wszystkich ludzi było tylko wyrazem, nazwą,— dla nich było światem. Jedna pojmowała wzruszenia drugiej, umiała je poznać, gdy tylko zostały wzmiankowane, zobaczyć jakie są, iść nimi, jakgdyby krajem zaświatowym, pełnym wzgórz, kwiecistych dolin, skał i przepaści, śmiercią ziejących. Gdy chory spał, przytulone do siebie, opowiadały wrażenia swe i wspomnienia. Salomea po tysiąckroć wyjawiała wszystkie perypetye, związane z pobytem młodzieńca w tym domu,— wszystkie etapy jego cierpień, przygody, smutki i radości. Dla matki było to tak zajmujące i wiecznie ciekawe, że musiała po tysiąc razy powtarzać. O niczem innem mówić nie mogły. Świat dla nich istniał w pokoju młodego. Im bardziej na cienkim włosie wisiało jego życie, tem miłość wzajemna tych dwu niewiast stawała się głębszą, ekstatyczniejszą i do szału dochodzącą. Jednym uściskiem ręki wypowiadały sobie więcej, niż zmieścić można w długiej rozmowie. Jednem spojrzeniem dawały wiedzieć wszystko. Gdy chory zakaszlał, albo jęknął, biegły, jak dwa skrzydła tegosamego anioła osłaniać go, chłodzić czoło, pocieszać,—jedna jawnie, druga tajemnie, tamta słowem i pieczołowitem dotknięciem rąk, ta tylko spojrzeniem, wyciągnięciem ku niemu dłoni i modlitwą.

XVI.

Gorączka spadła. Choroba przesiliła się i poczęła ustępować. Przez otwarte okno wpływał z ogrodu zapach rozkwitłych drzew i woń nocnych kwiatów. Ciepły wiatr kurował chorego. Zdawało się, że światło księżyca, wkradając się do tej izby, dotknieniem swego promienia uzdrawia młody organizm, że słońce poranne krzepi siły skuteczniej, niż mleko. Chory zaczął siadać na łóżku, poczuł apetyt i przybytek mocy cielesnej. Wówczas matka weszła do jego izdebki. Obecność jej podziałała na zdrowieńca w sposób bardzo gwałtowny. Okazało się, że prawdę w sobie zawierało ostrzeżenie doświadczonego felczera z miasteczka. Młody książę długo nie mógł przyjść do siebie, leżąc w ramionach matki. Lecz gdy to wrażenie pokonał, jego rekonwalescencya jeszcze szybszym posuwała się trybem. Nasunęła się też najgłówniejsza troska, ażeby w takiej właśnie chwili nie nastąpiła rewizya żołnierska i nie zniweczyła wszystkiego. Już wiele osób wiedziało o obecności powstańca we dworze. Służby przybyło i niemożebnością się stało ukrycie przed nią faktu. Cała wieś wiedziała o tem dobrze. Rozpoczęcie nanowo gospodarstwa sprowadzało do dworu ludzi rozmaitych, z których każdy nie przez podłość nawet, lub chęć nikczemnego zysku, lecz przez zwykłe plotkarstwo mógł zdradzić w każdej chwili obecność rannego i na zgubę go wystawić. Nie było już miejsca właściwego do ukrycia w nagłym razie, gdyż w szopie siano zostało wybrane za zapola, a o innych kryjówkach trudno było już my-

śleć. Pani Odrowążowa czuła to dobrze, że naraża ten dom, tak nieszczęśliwy, i jego gospodynię, która tyle poniosła ciosów, na nowe niebezpieczeństwa,— że zatruwa jej dnie i noce sprawą swojego syna. Wszystko tedy skłaniało ją do decyzyi, żeby go wywieźć. Dokądże zaś mogła wywieźć w kraju? Wszędzie tosamo niebezpieczeństwo czyhało. Postanowiła tedy za wszelką cenę i skoro on tylko stanie na nogach, uciec z nim za granicę. Do tego postanowienia skłoniła ją nadto straszna troska, że gdy tylko jakkolwiek wyzdrowieje, znowu się z ramion jej wydrze do partyi,— oraz jeszcze względ pewien... Księżna widziała oddawna, jaki jest stosunek jej syna do wychowanicy pani Rudeckiej. Miała w macierzyńskiem sercu milion uczuć dla tego dziewczęcia,—kochała je,—uwielbiała za poświęcenie się dla Józefa,—ją jednę na ziemi darzyła najgłębszemi uczuciami duszy,—ale nie mogła bez wzdrygnienia pomyśleć, żeby jej syn mógł pojąć za żonę tę osóbkę... Książę Odrowąż nie mógł przecież ożenić się z panną Brynicką. Pomimo całej miłości, jaką dla niej powzięła, księżna nie mogła oczywiście przełamać w sobie odrazy wobec rozmaitych poglądów, mniemań alkierzowych, przyzwyczajeń niezdolskich i wyrażeń tej panienki. Gryzła z pasyi wargi, widząc wyraz twarzy obojga, wiedziała bowiem, że to nie jest zwyczajny przypadek amorów chorego z pielęgniarką, lecz głęboka miłość. Nie mogła spać po nocach, mocując się w sobie, jak wybrnąć z tego dylematu. Nie była w stanie skrzywdzić takiej dziewczyny, której serce trzymała na dłoni,— bo ona jedna wznosiła się do tegosamego zenitu miłości dla jej syna, co ona sama. Nie śmiała dotknąć i urazić jej uczuć. Nie mogła nawet w sercu swem nie zezwalać na tę miłość, której głębinę nawzajem matczynem swem

sercem zmierzyła. Łamała się wśród przeciwności. Tysiąc miała w sobie sposobów rozstrzygnięcia tej sprawy, a nie była w możności wybrać żadnego. Wiedziała jedno, że musi syna z tych uczuć wyważyć, musi go choćby siłą porwać, zabrać i uwieźć. Pragnęła jednego: stanąć z nim za granicą. Gdy tam już będzie, załatwi wszystko mądrze, godziwie i dobrze. Tylko tam być! Tymczasem żyła wciąż wśród niebezpieczeństw, trwóg i załamań w duszy. Toczyła narady z panią Rudecką, a ta, oczywiście, myślała jota w jotę tosamo. Pozostawała kwestya naradzenia się z Salomeą i synem. Lecz tu siły opuszczały nieszczęsną matkę. Miała do wykonania czyn prosty, a potrzebujący przezorności i rozumu najbieglejszego dyplomaty,—a może siły katowskiego ramienia... Pani Odrowążowa płakała rzewnemi i gorącemi łzami, patrząc na Salomeę i jej troski,—na jej około rannego zabiegi i starania bez pamięci i bez rozumu,—na zatraconą i oszalałą miłość, która samej panience wydawała się być starannie ukrytą, a była jawną, jak na dłoni. Och, jakże było podejść do tego uczucia z notą nieubłagania, która już była wypisana!... Księżna nie miała siły. Bała się również syna. Nie wiedziała, co też on powie. Przeżyła już jednę jego tajemną ucieczkę do lasu, do partyi. Tymczasem, wśród tych wahań, odbywających się w świecie, a raczej w zaświeciu i śnie uczuć, jak zawsze,—czyniło swoje—fizyczne zdrowie. Gdy młody Odrowąż począł przychodzić do siebie, jego matka, która wszystkich etapów choroby nie widziała, traciła o niej pamięć i o wszystkiem, co z chorobą było związane. Malały, oddalały się, nikły cierpienia, trudy, starania, zabiegi i troski, poniesione i przedsięwzięte dla odzyskania i przywrócenia tego zdrowia. Tonęły w niepamięci i wsiąkały w nicość

ponure okoliczności, tamtej sprawie towarzyszące, a w miarę tego procesu zmniejszały się zasługi panny Mii. Przed oczyma matki wyrosła nowa góra trosk o przyszłość. Przed tą zaś przyszłością stała Salomea, jako najgłówniejsza obecnie przeszkoda. Serce matki borykało się już z nią o dobro syna. I cierń niechęci utkwił w tem sercu...

W sekrecie przed wszystkimi pani Odrowążowa wysłała drogo opłaconego posłańca,—po czemu chętny materyał znalazła w karczmie na rozstajnych drogach,—do jednego z arystokratycznych domów w dalszej okolicy z prośbą o pomoc. Otrzymała przyrzeczenie koni i karety, gotowych na każdy znak odwieźć jej syna w dniu oznaczonym za granicę. Tesame osoby zajęły się przez swe rozgałęzione stosunki dostarczeniem dla niej i syna zagranicznych paszportów na fikcyjne imiona. Pewnego dnia przyniósł paszport zgrzany i zdrożony posłaniec. Zdrowie Józefa Odrowąża było już o tyle lepsze, że można było podróż przedsięwziąć,—chociaż jeszcze z łóżka nie wstawał. Należało tedy przystąpić do rozwiązania sprawy w sposób stanowczy i nie cierpiący zwłoki. Pewnego czerwcowego wieczora, gdy wszystko było na ukończeniu, a goniec po konie i karetę wysłany, księżna zaciągnęła Salomeę do ogrodu i zeszła z nią nad rzekę, do starej altany. Wielkie drzewa, okryte młodocianemi liśćmi, wokoło szumiały. Dzikie wino, oplatające zmurszałe słupki i dziurawy daszek tej altany, zasłaniało od zewnętrznego zmierzchu i powiększało ciemność wewnętrzną. Księżna, zaledwie przestąpiła próg altany, upadła na ławkę i przyciągnęła do siebie Salomeę. Objęła ją gwałtownym uściskiem i wpiła się w nią ustami. Tuliła ją do serca i łkała zeschniętem gardłem. Słowa więzły

w tem gardle i zaciśnięte zęby nie mogły się rozewrzeć. Łzy poczęły płynąć z oczu księżny, łzy tak obfite, że zmoczyły twarz dziewczyny, solą napełniły kąty jej warg, zwilżały szyję i ciekły aż na piersi pod rozchylonym stanikiem.

Salomea drżała na całem ciele. Myśli jakieś błyskały w ciemni uczuć, jak letnie lśnienia po nocy, zwiastujące nadejście burzy. Te łzy, co po niej spływały, w niewytłomaczony sposób czyniły się szlakami nieszczęścia, które zwolna ściekało ku jej sercu, szukając go w piersiach. Ręce księżnej jeszcze mocniej, konwulsyjnie opasały ramiona i szyję Salomei, a cichy, zduszony głos wyszeptał:

— Dziecko! Ty go kochasz...

Salomea milczała, lecz dreszcz jej ciała dał dokładną odpowiedź.

— I on ciebie kocha. Prawda?

Milczenie znowu starczyło za odpowiedź.

— A mówił ci, że cię kocha?

— Mówił.

— I ty mu tosamo mówiłaś?

— I ja.

— Odpowiadaj mi, natychmiast! Mów mi prawdę całą, bez jednego zatajenia! Będziesz mówiła prawdę?

— Będę.

Salomea uczuła konieczność posłuszeństwa i mus wyznawania całkowitej, samej tylko prawdy. Była jakby wyzuta z sukien, z bielizny, z ciała i stanęła przed ciemną władczynią swoją, jako bezwładna i drżąca dusza.

— Całowaliście się?

— Tak.

— U niego, w nocy, tam?

— Tak.

— Oddawałaś mu się?

— Tak.

— Ile razy?

— Nie pamiętam.

— Obiecywał ci, że się z tobą ożeni?

— Obiecywał.

— I dla tego mu się oddawałaś?

— Nie.

— A powiedz-no! Tylko szczerą prawdę!... Odpowiesz mi?

— Odpowiem.

— Ale przysięgnij-no! Niech ten Dominik co noc staje nad twoją pościelą, jeżeli powiesz jedno słowo nieprawdy.

— Ach!

Salomea z jękiem przypadła do ramienia pani.

— Więc mów prawdę! Czy już tak samo, jak z nim —byłaś z kim kiedy?

— Nie!

— Nigdy, z nikim!

— Nigdy!

— I nikt cię nigdy przedtem nie całował?

— Owszem, całował mię...

— Kto?

— Jeden tutaj...

— Kto taki?

— Jeden kuzyn.

— Kochałaś tamtego?

— Nie.

— Więc dla czego dałaś mu się całować?

— Bo mi się dosyć podobał.

To wyznanie zdawało się dodawać księżnie mocy. Głos jej stał się pewniejszy. Przebijała się przez ten głos niezwyciężona i zwycięska siła jasnego rozumu.

— Słuchaj, dziecko! Czy chcesz, żeby Józef poszedł znowu do partyi?

— Och, nie!

— Nie chcesz, żeby go tam znowu poranili?

— Och, nie!

— Czy chcesz, żeby wyzdrowiał?

— Czy ja chcę?

— Więc co począć, co przedsięwziąć, żeby wyzdrowiał?

— Nie wiem.

— Myśl całą głową, wysil całe serce!

— Nic nie wiem.

— A czegobyś ty chciała, sama dla siebie?

— Być z nim, służyć mu...

— Tak! Otóż słuchaj... Czy nie tak trzeba zrobić? Jeżeli nie tak, to radź! Ja zrobię, co ty zechcesz.

— Nie mam rady. To ja będę posłuszną.

— A więc słuchaj. Ja myślę, że trzeba go stąd koniecznie wywieźć.

— Wywieźć...

— Nie to myślałaś?

— Nie wiem...

— Gdzież go tu wywieźć w kraju? Pojadę tam — znajdą! Pojadę w inne miejsce, — wszędzie go znajdą! Wezmą do więzienia! Powieszą w moich oczach! albo i za oczami! Więc co? Trzeba go wywieźć za granicę.

— Mój Boże!

— Ale on tam nie pojedzie dobrowolnie. Trzeba mu przyobiecać, że skoro się tylko jego zdrowie polepszy, będzie mógł iść do swego oddziału. Ty mi musisz dopomódz w przekonywaniu go, żeby pojechał.

— Ja to muszę!...

— Bo gdzież on się tutaj wyleczy! Powiedz-że, co myślisz!

— Tu się wyleczył.

— Lecz czyż dłużej może tu zostać? Czy on sam zechce zostać, gdy się wyleczy.

— Nie.

— Tam ja go prędko postawię na nogi. A gdy mu będzie lepiej, — żeby nie poszedł do partyi, — wywiozę go do Włoch.

— Do Włoch!

— Bo tylko tam może wyzdrowieć zupełnie. A przecie i ty chcesz, żeby wyzdrowiał, — żeby już nie szedł bić się i otrzymywać takiesame rany. Czyż nie prawdę mówię?

— Owszem, prawdę.

— A jeśli mówię źle, nieprawdę, to ty mi daj inną radę! Cóż mi z twojego twardego głosu.

W duszy Salomei przewinęło się, jak boleść krwawa, dawniejsze marzenie o wędrówce z małżonkiem po dalekim, nieznanym, włoskim kraju. Wspomniała sobie wyśnione miasta, obrazy gór i mórz, których jeszcze nigdy nie widziały oczy. Podźwignęła się naprzeciwko tej groźnej pani swego losu i spytała:

— I to już żadnej innej rady niema, tylko ta, żeby on jechał teraz za granicę, a potem do Włoch?

— Niema.

Głos matki Józefa był mocny, ostry i przeszywający, jak kula. Salomea milczała. Zimno ją kłuło w ramionach i dosięgło wnętrzności. Rozpacz mrowiem wpełzała we włosy. Głos wewnętrzny odezwał się przez jej usta:

— A ja?

Pani Odrowążowa mówiła coraz ciszej, coraz wyraźniej, przyciskając ją do swego boku:

— Jesteś przecie młodziutka... Kochasz go. Uratowałaś mu życie. On ciebie kocha. Byliście ze sobą. Ja wszystko wiem i przebaczam. Lecz on teraz jest tak chory! Pomyśl, ty, jedyna, która go kochasz... Przecież musi się w spokoju, w dobrym klimacie leczyć, zdala od tych strasznych pól i lasów. Musi innemi spojrzeć oczami na wszystkie sprawy. Musi w swej duszy przekląć te lekkomyślne przedsięwzięcia, te obłąkane zamysły!

Salomea w głębokiej swojej boleści nagle ujrzała cień ojca, — i cień tego, co w sąsiedztwie tej altany leżał w ziemi. Dumny żal w niej drgnął. Niezłomny honor, którego dotąd nigdy w sobie nie odczuwała, kazał powiedzieć:

— On nie przeklnie tych obłąkanych zamysłów!

— Otóż musi! Co jest godne przekleństwa, musi być przeklęte!

— Nie! To, co oni czynili, nie jest godne przekleństwa.

— Mój syn musi sobie przypomnieć, że nie jego to rola terać się w zgniłych barłogach, ukrywać w sianie, —że on jest — pan — i z rodu — książę!

Salomea dosłuchała się w mowie swej pani ostatniego akcentu i zrozumiała go. Zacięło się w niej coś, jakgdyby zamek, do którego klucza już nikt nigdy nie znajdzie. Milczała. Znikł dreszcz i tylko jednolite rwanie bólu w sercu samo jedno zostało w jestestwie. Słuchała jeszcze, gdy księżna mówiła:

— Ty jesteś moje drugie dziecko... Moja jedyna! Nigdy, przenigdy o tobie nie zapomnę. Na śmiertelnem łożu będę pamiętać twoją twarz i twoje imię. I on — wierz mi, kochana! Będzie o tobie, jak o najdroższej pamiętał. Nie ja to będę, którabym przeciwko tobie

słowo do niego powiedziała. Skarz mię Boże, jeżeli nie mówię prawdy! Ale masz obowiązek. Wychowała cię pani Rudecka, matką ci była, gdyś tu została sierotą. Czy nie? Czy nie była ci matką i opiekunką?

— Tak.

— A teraz ona jest sierotą, najbiedniejszą z ludzi matką pobitych synów w tym pustym domu. Czy miałabyś serce opuścić ją samą, gdy na twojej głowie stoi cały ten dom i gospodarstwo?

Salomea zdobyła się na męstwo i zapytała w szaleństwie swej beznadziejności:

— Czy ja nie mogłabym się przydać na co w tej włoskiej podróży?

— W jakimże charakterze? W jakim?

— Jako służąca.

— Nie, dziecko, nie możesz być służącą. Na takie twoje poniżenie jabym się nigdy nie zgodziła. Właśnie dla tego, że towarzysko nie stoimy na równi, nie zgodzę się na twoje poniżenie. Mogłabyś towarzyszyć Józefowi tylko jako żona... Ale to jest przecie niemożliwe. Sama dobrze rozumiesz, że to jest niemożliwe.

— Więc cóż mam począć?

— Wezwij na pomoc Boga, miłość Józefa i tej opiekunki, która cię wychowała. Może i moją, jeżeli w twem sercu tę łaskę znajdę. Nakaż milczenie swemu sercu... Czas zagoi tę ranę, którą ci teraz zadaję... Córeczko moja, córeczko moja miła! Najdroższa. Najdroższa!...

Księżna zsunęła się na kolana i w szlochach opasała Salomeę ramionami. Łkała:

— Gdybyś mogła odczuć, jak moje serce nad tobą i nad twoją nieszczęsną miłością płacze! Zawsze na wskróś widziałyśmy nasze serca, a tylko teraz... Teraz, gdy ty tak cierpisz, ja ci pomódz nie mogę. Ja ci zadaję

ten cios! Nóż wbijam w serce, które mi wróciło syna... O, Boże! Nim to przyszłam powiedzieć, oczy wypłakałam we łzach. Ach, prawda, — zapomniałam...

Księżna poczęła szukać czegoś w kieszeniach. Mówiła:

— Nie weź-że mi tego za złe i nie przypuszczaj nic pospolitego... Chcę się z tobą podzielić wszystkiem, co posiadam, duszą i majątkiem. Gdy wrócę do domu, przekonasz się sama... A teraz, — połowę tego, co mam ze sobą... Musisz przyjąć! Musisz!

Księżna włożyła w rękę Salomei długą i grubą sakiewkę, wypchaną złotemi monetami. Zachyliła jej palce dookoła tej sakiewki, podniosła rękę i martwą wsunęła ofiarowany skarb w kieszeń jej sukni. Panna Salomea przelotnie pomyślała:

— Ah, — pieniądze...

Serce jej przeszywała wiadomość, że on odjeżdża na zawsze i że ona sama jedna tutaj zostaje. Poza tem była ciemność. Jak echo piorunu leciały przez serce słowa:

— "Czas zagoi tę ranę"...

Wsłuchiwała się w dźwięk i treść tych słów — z oddali, ze swego samotnego miejsca. Pragnęła już odejść. Być samą! Gdzieś uciekać! Coś niezrozumiałego wyszeptała, nie odrywając ust od ramienia swej pani. Księżna przytuliła do siebie młodą dziewczynę, objęła ją rękami. Łzy obfite, niestrzymane, iście macierzyńskie, poczęły płynąć znowu z tych możnych oczu na twarz Salomei. Były tak szczere i tak serdeczne, że wsączyły do zranionego serca jakiś cień pocieszenia. Objęły się obiedwie i zamilkły, patrząc w otchłań swych uczuć i widząc nawzajem głębiny serca. Salomei zdawało się wciąż, że już z tego miejsca odeszła i że dokądś

idzie, w bardzo daleką drogę. Dowlokła się uczuciami na jakowąś wielką wyniosłość. Patrzyła na tamtę, nigdy niewidzianą stronę. Westchnęła pod naporem nieznanej myśli: ach, więc to znaczy słowo — matka... Widziała serce matki i wszystkie w niem uczucia... Zrozumiała, co taka czuje i jak płyną jej myśli. Patrzyła na to, jakby na leżącą ziemię i płynące obłoki. Dziwiła się, ile jest w matce uczuć, jakie są. Rozróżniała ich załamania, skręty... Uśmiech przepłynął przez wszystkie owe dalekie widoki, jak święty słońca połysk przez sierocą okolicę. Chciała otworzyć usta i powiedzieć, że przecie i ona ma już płód w łonie, lecz to zewnętrzne słowo cofnęło się we wstyd i znikło na dnie serca.

Księżna z zamkniętemi oczyma tuliła w ramionach Miję. Widziała jej uczucia miłosne. Były to uczucia niemal jej samej. Kwiecista łąka, którą raz jeden widzą za życia człowiecze oczy... Noszą się w wonie-jącym wietrze motyle, kołyszą wielobarwne zioła. Radosna pieśń wymknęła się z dziewczęcych ust, gdy bose stopy biegną w rosach kwiecistej łąki.

Toż to ona sama na ten zakątek raju, na boski pierwiastek w ludzkim żywocie, ma cisnąć przekleństwo śmierci, wytracić kwiaty, pobić motyle, zagasić światło, a kwietny zapach przemienić w trupi zaduch!...

Ścisnęła ręce, zwiesiła głowę na ramię przyjaciółki i, wszystko widząc, płakała. Po cóż są kwiaty i po co to słońce? Czemuż musi uczynić to dzieło straszne? Czemuż musi zdobyć się na męstwo potworne i nieuniknioną tyranię? Czemuż musi podnieść rękę, czemuż koniecznie ścisnąć dłoń i dusić gardziel, którą miłosnym oplotła uściskiem?

Jęk głębokiej męczarni wymknął się z ust, łkanie zamuliło słowa.

XVII.

Przekonywanie Józefa Odrowąża o konieczności wyjazdu dokonało się na innej zasadzie.

Księżna nie przeczyła młodzieńcowi, kiedy się zrywał i zabierał do partyi, — a w miarę postępów wyzdrowienia i przybytku sił niecierpliwił się coraz bardziej. Prosiła go tylko o jedno, żeby się zupełnie wyleczył i zdrowy poszedł na nowe trudy. Ażeby się zaś w zupełności wyleczyć, wyspać z tylu chorób na dobre i odpaść po wychudnięciu, trzeba było kilkunastu nocy spokojnych i kilkunastu niezakłóconych dni. Gdzież to było znaleźć, jak nie za granicą?

Matka wymogła na synu, że właśnie dla jaknajszybszego dostania się do partyi pojedzie z nią najprzód do Krakowa i, zaopatrzony nanowo w odzież, broń i rynsztunek wojenny, z nową jakowąś partyą, pod nowym dowódzcą, o której to formacyi, podobno, słyszała, — a nadewszystko z nowemi siłami ciała i duszy, — ruszy w pole. Młody przystał. Nie wiedział, gdzie się znajduje jego dawny oddział. Gdzie go szukać? Od kogo powziąć języka? Gdzie się zaopatrzyć w jaką taką broń? W Krakowie rozpatrzy się w sytuacyi, dowie o postępach ruchu, rzuci przecie okiem na jakąś mapę, wybierze nowy oddział, ujrzy nowe oblicza i nową odetchnie nadzieją. Zachodził w głowę, kto też tworzy nową partyę, o której matka wspominała. Jakże tęsknił do wodza, do nieubłaganego, żelaznego strategika, który uderzy nogą w krwawą ziemię i obudzi legiony! Pragnienie walki w młodym księciu było tak głębokie i po-

tężne, jak potężnemi były cierpienia, przez które przeszedł. Zimnemi oczami wpatrywał się w przestrzeń i widział w niej wojnę scytyjską, nieznaną światu walkę na śmierć, która się z polskiej wywinęła nędzy. Zagasły w nim wszystkie wspomnienia i została jedna tylko żądza: — stanąć w szeregu, słuchać rozkazu.

Te uczucia, a nadto obawa rewizyi, podniecenie i lęk pani Odrowążowej, ażeby nie wpaść teraz w ręce władzy, sprawiły, że zgodził się wyjechać niezwłocznie. Salomea go nie wstrzymywała. Przeciwnie, — zachęcała. Cichy uśmiech błąkał się około jej zaciśniętych ust, gdy go zachęcała do tego wyjazdu... do partyi... Mówili ze sobą o mądrym, przebiegłym, twardym i nieustraszonym wodzu, który przecie jest gdzieś na tej ziemi, Napoleon z duszą Machnickiego. Mówili o wielkiej bitwie, która zgładzi i zniweczy niewolę, wszystko bolesne odkupi, nagrodzi rany poległych i bohaterską ich śmierć. Cóż znaczy dostać kulą w łeb, jeżeli to się stanie, — i dla tego, aby się stało? Czyliż nie będzie to szczęście najwyższe skonać na placu odrodzenia z tej hańby?

Opowiadał o pewnym pomniku w Paryżu, na którym wyobrażony jest żołnierz umierający, który ostatnim uściskiem objął lufę armaty i na niej kona. Mówił jej o niepojętym ogniu, który jego duszę na widok tego spiżowego żołnierza zawsze przenikał. Była to radość. Teraz taka właśnie doskonała radość w nim jest, gdy ma iść znowu.

Oczy panny Salomei z płomiennie czarnych stały się matowe i szare, gdy na niego w osłupieniu patrzyła. Księżna nie zostawiła teraz obojga sam na sam. Stała się czujna i niezwyciężona w swem postanowieniu. W kole tych trzech osób miała się dokonać gra szczególna na wytężonych strunach uczuć. Młody książę

szedł w nieświadomości do swego rzekomego czynu i dla tego czynu poświęcał miłość, wdeptywał ją bez litości w ziemię. Bezlitość jego była tak wielka, jak bezlitośnym jest los Polski. Z zaciśniętemi zębami, z uśmiechem połyskliwym na ustach patrzał na Salomeę.

Śpiewał o zachodzie słońca Pupinetti. Książę skinął ręką ku Mii, wskazując ptaszka. Było wszystko w tym jednym skinieniu. I ona je dobrze zrozumiała. Przywtórzyła skinieniu ruchem głowy. Ale w tejsamej chwili pomyślała, że trzeba będzie otworzyć klatkę i wypuścić ptaka na wolność, — bo jakże będzie znosić jego śpiew, gdy zostanie tutaj sama? Niech leci w słoneczne kraje, tam, gdzie będzie jej kochanek! Krzątała się pilnie, składając rzeczy pani Odrowążowej w mocną, skórzaną walizę. Zajęta była jakiemś urwanem uchem tej walizy, drobiazgami, bielizną, zapasami, przygotowanemi przez Szczepana na drogę. Wszystko stało się nagle. Za chwilę mógł się dać słyszeć tętent najścia wojsk, albo turkot zajeżdżającej karety, która niezwłocznie zabierze... Zabierze na wieki. Pozory były, że tylko na pewien czas... Lecz ona przecie wie dobrze, iż to na wieki. On sam zapomni w dalekich krajach. Książę pan... Tylko jeszcze Bóg mógłby wszystko wywrócić, złamać straszną wolę, potargać zamysły. On tylko jeden mógłby zesłać pomoc niewiadomą, wszechmocne zdarzenie swoje, — czyjąś śmierć...

Wyjazd miał się odbyć w nocy, żeby jaknajwiększą część drogi, — pierwszy etap do majątku przyjaciół księżnej, leżącego nad granicą, — odbyć lasami i nie za dnia. Noc powiększała straszliwy niepokój serca. To zacichało na jakiejś błahostce pociechy, na złudce nikłego olśnienia pozorem spokoju. Wielki ciężar na włosku... Jakaś nadzieja bezmyślnego — co mi tam! — roz-

szerzyła się aż do granicy cynizmu. Już—już było sercu lepiej. I oto niepostrzeżenie wszystko waliło się w straszliwą, śmiertelną ciemnicę. Włosy wstawały na głowie, dym dzikiego opętania kłębami buchał w uczucia i w językach ognia palił się oszalały rozum. Cóż to się dzieje! Za chwilę będzie pustka w tem miejscu! Ten przerażający dom... Dominik przejdzie opuszczonemi pokojami, stanie nad pustem łożem rozkoszy, przechyli głowę tam-nazad, wsłucha się w śpiew żółtego ptaszka — i zachichoce niedosłyszalnym śmiechem. Jakże tu oddychać? Jak żyć? Co począć! Podnosiła oczy na tego młodego człowieka, który jej życie zabrał i sam stał się jej życiem. Wyznawała mu oczami całą, bezdenną prawdę. Nie powiedzą mu usta, — nie! — nie powiedzą. Lecz oczy nie mają nad duszą władzy. Zapłakał, — on, szlachetny i silny, co się nie lękał śmierci i nieraz prosił o nią, — co teraz znowu szedł ku niej śmiało, pewny, że ku niej idzie... Zawrzało serce od uwielbienia. Kupiły je nanowo te męskie łzy. Nie zdradzi się przed tobą i nie zdradzi ciebie serce kochanki, polski rycerzu! Będzie milczało, cokolwiek się stanie, aż do ostatniego momentu! Stojąc zdala, przyciskała do oczu i ust jego włosy, usta i ręce, — oddawała mu oczyma swe ciało, swą nagość i dumę, honor swój i życie, aż do ostatniego momentu!

Józef Odrowąż, ubrany już w podróżny kostyum wykwintnego pana, nie mogąc jeszcze po chorobie chodzić, słaniał się z łóżka na sofkę, z sofki na fotel. Jakże był inny! Ubranie, przywiezione specyalnie z miasta, zmieniło go zupełnie. Tenże to jest, którego z krwawych ran obmyła? Jak niewidziany i niesłychany, żałosny ptak zjawił się przed oczyma. Ciemna szrama, przeorująca pod okiem policzek, nadawała mu wyraz

wzniosły, pół boski. Włosy ostrzyżone przy samej skórze czyniły jeszcze młodszym tego rekruta. Oczy mu goreją. Usta zacięte. Uśmiech...

Przesiadł się na fotel, — zatonął w nim. Ręce oparte na poręczach, głowa w tył odwalona... Nie podnosząc tej ciężkiej głowy, wpatrzony z odległości w matkę i pannę Salomeę, zanucił cicho, z niezłomnym entuzyazmem:

> "Precz z tytułami — książę i pan —
> Zetrzyjmy ślad haniebnych lat!..."

Pani Odrowążowa przypatrywała mu się także z dobrotliwym i łagodnym uśmiechem. Przez chwilę. Wnet poczęła zabiegać w dwójnasób około swych i jego rzeczy, nie opuszczając już ani na moment tego pokoju, gdzie był jej syn i Salomea. Ci obydwoje byli teraz okryci szatą spokoju, uciszeni w sobie. Lecz w pewnej chwili pannie Brynickiej coś się przypomniało. Przez zewnętrzne zdrętwienie, jak przez skorupę, przerznął się, przebił i wydarł zdrój wewnętrzny. Poruszyła się niespokojnie. Coś chciała wykonać, coś zdziałać, coś powiedzieć... Dusiła się. Jęła się przeciągać z bolesnem poziewaniem. Ach, nareszcie! Prawda — prawda! Wyszukała w staniku sukni zaszytą kulę. Rozerwała paznogciami zaszycie, wyłuskała zeń ołowianą kulę, która była wypadła z Józefowej rany. Nieznacznie, krótko ucałowała tę bryłę moskiewskiego ołowiu. Podała ją na dłoni pani Odrowążowej. Jąkając się, nie mogąc znaleźć dokładnych słów, przez szczękające zęby grzecznie i spokojnie wykrztusiła:

— Ta kula... To odemnie... Odemnie... Na pamiątkę!...

Pani Odrowążowa wzięła kulę i ważyła ją na pięknej, białej, delikatnej dłoni. Głębokie zadumanie poryło jej

mądre czoło. Patrzyła ponuremi od męczarni oczyma w twarz Salomei. Och, jakże dla niej był bolesny mściwy czyn tej dziewczyny! Młody książę tem darowaniem kuli zaniepokoił się bardzo. Coś go tknęło! Coś przed nim zabłysło! Oparł chude ręce na poręczach krzesła, żeby wstać. Patrzał oczami inkwizytora w twarz matki. Matka pokiwała bezwładną głową. Była jakgdyby przestrzelona tą kulą. Ręce jej drżały. Józef chciał porwać się z miejsca i pytać, gdy wtem rozległ się turkot... Wszyscy wybiegli na ganek. Stała przed nim podróżna kareta bez latarń. Oczom Salomei kształt jej i zarys czterech koni ukazał się, jakgdyby widzenie rydwanu śmierci.

Z jękiem wewnętrznym wsparła się o ścianę. Człowiek przebrany za stangreta wymówił hasło. Z pośpiechem, co tchu, krótko popasając konie, wynoszono i przywiązywano walizę. Po krótkiem ze wszystkimi pożegnaniu księżna i jej syn wsiedli do środka. Pojazd oddalił się z przed ganku wolno, cicho, noga za nogą, żeby nie wywoływać turkotu ani tętentu. Wsiąkł w ciemność nocy. Znikł.

Pani Rudecka, znużona i, jak zawsze, smutna, oddaliła się z ganku coprędzej, — rada, że nareszcie wywieziony został niebezpieczny gość. Szczepan, który pomagał walizę ładować, odszedł również. Panna Salomea została na ławce sama. Patrzyła w tę stronę ciemności, która pochłonęła karetę. Kolana jej były ściśnięte. Ręce na nich złożone. W sercu spokój.

Wskutek nieprzewidzianego w sferze uczuć zawrotu, poczęła z niejaką przyjemnością myśleć o pieniądzach, ofiarowanych jej przez księżnę Odrowążową. Myśl o tem była jakby uciskiem na serce, zduszeniem wszelkich wzruszeń. Chwila, o której sama myśl przerażeniem ściskała duszę, chwila odjazdu, przeszła, minęła bez

żadnego prawie uczucia. Salomea dotykała lękliwie myślami wszystkiego: — pustki pokoju, klatki kanarka, trwogi wobec Dominika, — i ze zdumieniem spostrzegała, że wszystko stało się niebolesne, a wszelkie czucie stępiało. Ohydną ulgę przynosiła myśl, że tyle jest pieniędzy... Gdyby żył ojciec, jakżeby się, zapewne, ucieszył! Bo przecie uczciwie zdobyte, za rzetelną usługę... Nie byłby już tym ubogim rządcą w jednym zawsze kubraku i długich butach, co nie dosypia i nie dojada, tłucze się świątek i piątek od folwarku do folwarku na siodle, wiecznie w swarach, twardych kłopotach, zawsze w skwar albo niepogodę na powietrzu, wśród udręki i baczności o cudze zyski... Któż to wie, czy za tyle pieniędzy nie możnaby było wziąć dzierżawy w innej stronie, — niewielkiego folwarku, gdzie na własnem spokojne zakwitłoby gospodarstwo, — miałoby się inwentarz, sprzężaj, parę lepszych koni do wyjazdu, bryczkę resorową do kościoła, ubranie godowe. Chłopi mówiliby, jak się patrzy, — "wielmożny panie"... Myśl błąkała się po tem jakowemś nieznanem miejscu. Lecz że musiała wrócić z kraju bezcelowych śnień do grubej rzeczywistości, więc się powlokła na daleki grób. Och, — pójść tam na klęczkach, wyszukać mogiłę, przypaść do niej piersią, objąć rękoma! Powiedzieć tej garstce piasku, co się stało, wyznać jej swój grzech podły, okropny, haniebny! Wytłomaczyć upadek swój i odsłonić winę! Trzeba wznieść za te złote pieniądze żelazny krzyż na grobie... Położyć napis...

Zadumała się nad tem, jak też trafić do tego miejsca. Przypomniała sobie o liście ostatnim, pisanym ołowianą kulą. Wysunął się szczegół, że jest tam nazwisko wieśniaka, u którego ojciec leżał przede śmiercią. Dostawszy z kieszeni ów list, trzymała go w ręku. Ciemność

nocy nie pozwalała czytać ostatnich ojca wyrazów. Ręce opadły.

Lecz oto boża dłoń poczęła z ziemi usuwać grubą nocną zasłonę. Wyłoniły się z oćmy zarysy olch nad wodą, pochyłych w różne strony koron na wyniosłych pniach, — kształtów dziwnych, niespodzianych, jak formy uczuwania w cierpieniu. Te postaci, zarysowujące się na niebie, przytuliły pomiędzy sobą wzrok. Na chwilę, — bo wnet wydarł się spomiędzy nich... Daleko, szary brzask oddzielił ziemię, od nieba. Miękkie mgły śniadą smugą zamajaczały nad rozdołem rzecznym. Ptaki ozwały się w tej mgle, tak harmonijnie, jakby to jej obraz ukazujący się z mroku temi głosami dał znać o sobie, wyraził barwę i postać swoją. Łagodny, zwilgły w nizinach wiatr ruszył senne gałęzie. Blisko, na rabatach ogrodu zajaśniały białe kolory. Ta barwa utopiła w sercu żądło wspomnienia — i sama stała w oczach, jak uwidoczniony, nagi ból. Lecz mężne oczy pokonały ją. Musiała wessać w siebie zemstę i stać się tylko sobą. Przeszło...

Ciężka senność ogarniała ciało i duszę. Teraz nareszcie można będzie wyspać się po tylu niewczasach we własnem łóżku, które przez tak długą porę obcy zajmował człowiek. — Nie będzie już serce drżało od stuknięcia w szybę, — niechże przychodzą i patrzą, niech szukają i węszą! — Nie będzie już trudów szalonych, bieganiny bez końca i niezmiernej, bezsennej troski. — Niema już kogo pilnować. — Będzie spokój, cisza, porządek. — Spać — Salomea wstała z miejsca, żeby wykonać zamiar i iść do siebie. Lecz zamiast tego, po krótkiem wahaniu, ruszyła przejść się ponad rzeką. Rachowała na to, że zanim zdąży zejść ku wodzie, rozwidni się i będzie można w liście ojca przeczytać nazwę wsi

i miano wieśniaka, w którego chacie umarł. Szła wolno drogą w dół, po miękkim piasku, który nocne rosy znacznie zwilżyły, okrywając go zwierzchu ciemnym osadem. Później wtargnęła na mokrą trawę i, sama nie wiedząc czemu, szła ku rzece. Przez chwilę zatrzymała się i pobyła w altanie, obrośniętej pachnącem winem. Myśli jej były ciche i umiarkowane, zabiegające około sprawy, co sobie teraz za pieniądze kupić, jakie sprawić rzeczy. Wbijała się w dumę, że już nie będzie popychadłem na łasce u dalekich krewnych, — sierotą, do której buziaka zabiera się każdy przyjezdny jegomość. Pokręcą się i nakonkurują teraz, zanim z którym mówić zechce...

Wolno a niepostrzeżenie wzmagał się brzask. Rozbrzmiewał głośniej śpiew ptaszęcy. Widać już było daleko kwieciste, niekoszone łąki, matem rosy spojone. Krople jej wisiały na płatkach i szypułkach, szare, jak kulki żywego srebra. Odległy las stał się siny. Na wielobarwnem niebie czerwonego przybywało blasku. Salomea wyszła z altany i udała się ku rzece, która wezbrała po brzegi od świętojańskiej powodzi. Wody były mętne, gliniastego koloru, krętemi wirami pędzące. Zmulały czerwone i żółte kwiaty, w pałąk gięły nawisłe badyle, garnęły prądem pławiny olszowych zarośli, wikle i wierzby. Mokry czad bił stamtąd i zapach wzmożony niezliczonego ziela. W głębokiej rannej ciszy Salomea usłyszała nagle pogłos. Krótkie dudnienie, jakgdyby daleki łoskot bębna. Nasłuchiwała. Kiwnęła głową. To powóz, uwożący księżnę panią i jej syna, przejeżdżał daleki most na tejże rzece, w łąkach, pod lasem. To tupot czterech koni w lejc zaprzężonych i stuk kół karety o okrąglaki mostu. Zadumała się nad tym dźwiękiem.

I oto nagle dusza w niej rozdarła się, jak postaw sukna, któryby ręce biesa we dwie strony targnęły. Rozpacz nieopisana, uczucie ślepe i głuche, dzikie, jak żądza w tygrysie, kiedy się rzuca na ofiarę, wypadło z niewiadomej kryjówki ducha. Bezmyślne z szaleństwa ciało pobiegło dokądś brzegiem rzeki, zawrotami jej krętemi, to w prawą, to w lewą stronę. W pewnej chwili, w jakiemś miejscu Salomea zatrzymała się. Patrzyła na burzliwą, zmąconą, rudemi baniami wirującą wodę. Rozmyślała — rozmyślała...

Coś w niej wzniosło się, wyważyło z jestestwa i dźwignęło żelazne. Roześmiała się głośno. Wydostała z kieszeni sakiewkę księżnej, nabitą złotemi pieniędzmi, — odsypała ich część na dłoń i z wysoka, z zamachem cisnęła w pędzącą wodę. Woda plusnęła — na znak.

Salomea wysypała z sakiewki drugą i ostatnią część — i wsiała złoto w pędzącą wodę.

Woda plusnęła — na znak. Ona jedna zrozumiała męczarnię serca. Ona jedna przywtórzyła mu dźwiękiem zrozumiałym. Załatwiwszy się z temi pieniędzmi, Salomea odeszła z tego miejsca. Brodziła po wysokich trawach, mokrych od rosy. Przypatrywała się kwiatom wybujałym, które zdawały się jakoś litować, a nic poradzić nie mogły. Chciała wyjść na miejsce suche, gdyż trzewiki miała przemoczone. Znalazła się na piasczystej drodze, która prowadziła ze dworu do najbliższego mostu. Już wstawał dzień i pozwalał widzieć w mokrym piasku wyciśnięte głębokie ślady kół karety i kopyt koni. Zobaczywszy zaś te świeże ślady, białe na piasku ciemnym od rosy, Salomea zatknęła się od ponownego zdumienia. Coś w niej rwało się i rozdzierało...

Szła zwolna ku domowi. Lecz na jakowymś drobnym kamyku potknęły się jej stopy. I tak tam padła twarzą w ów mokry piach.

Stary Szczepan wstał, jako co dnia, o świcie i szedł po wodę z wiadrami do stoku, co tam pod gruszą bił od wieków. Mruczał do siebie stary kucharz i poskrzypywał wiadrami, jako co dnia. Skręcił z drogi na ścieżkę, prowadzącą do zródełka, gdzie było bliżej. Aliści — zda mu się rzucić okiem na drogę — leży cosik czarnego. Tknęło go wnet złe czucie, że toto będzie jakaś bieda od polskiej strony. Już się był nawet cofnął, żeby ta przecie ktoinszy spotkał... Ale z samej ciekawości podszedł ostrożnie. Gdy się zaś dobrze zbliżył, cisnął wiadra na ziemię — i do niej co duchu w gnatach. Podjął ostrożnie z ziemi grubemi rękami bezsilne ciało, — zachylił zwisłą głowinę sobie na ramię i niósł do domu zwolna, pojękując:

— Cóż .ci też to, chudziąteczko, — cóż ci to? Oj, wiedział stary, oj, wiedział... Dogodziły ci, widać, — trafiły cię, oj, celnie, — da postrzeliły celnie!...